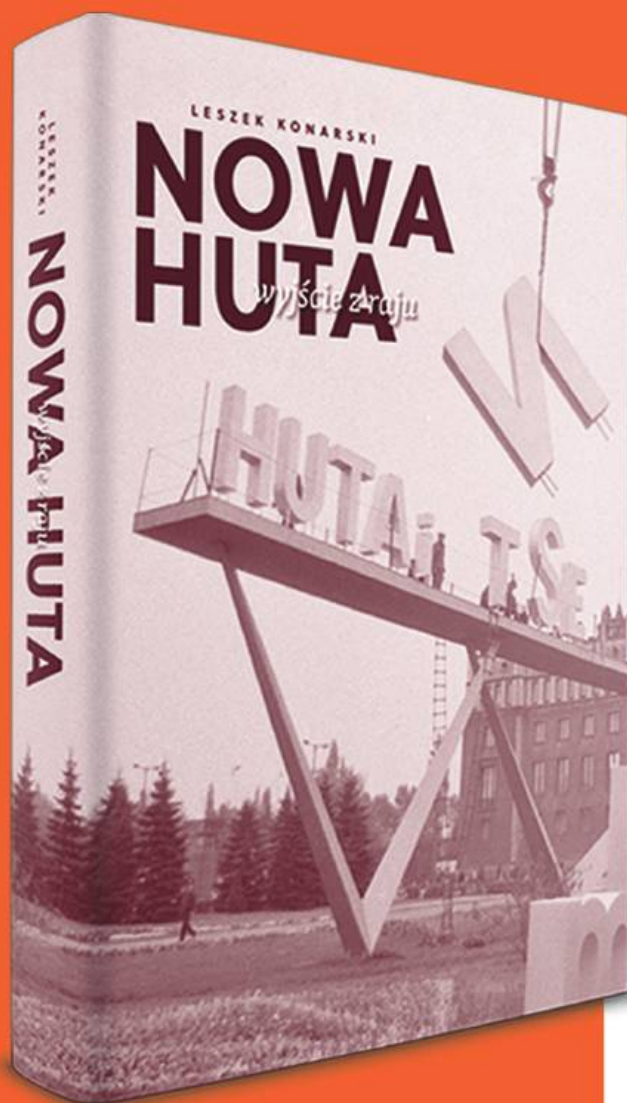


**Ksiądz Jarosław Wąsowicz**

GRZECHY KAPELANA PREZYDENTA

Dodruk na życzenie Czytelników

NOWA HUTA. WYJŚCIE Z RAJU



49 zł

**TO MIASTO POWSTAŁO
Z TĘSKNOTY DO
SZCZĘŚCIA, Z TĘSKNOTY
ZA GODNYM ŻYCIEM**

Prawda o Nowej Hucie.
Reporterska opowieść
o 70 latach Nowej Huty
– od roku 1949 i budowy
pierwszego bloku mieszkalnego
aż po wygaszenie w roku 2019
ostatniego wielkiego pieca.



**E-book
tylko 15 zł**



Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.



Jerzy Domański MÓJ PRZEGLĄD

Zaczął od straszenia

Nie spodziewam się po Karolu Nawrockim niczego dobrego. I ta prognoza sprawdzi mi się, niestety, z nadatkiem. Doszło do inauguracji jego prezydentury mimo braku konkretnej odpowiedzi na najprostsze pytanie, jakie można postawić po wyborach – ile naprawdę dostał głosów. Usłyszysz to pytanie jeszcze wiele razy. Nie wywinie się też od wyjaśnienia wielu ciemnych kart w życiorysie. Jest ich na tyle dużo, że zdaniem ponad 10 mln głosujących dyskwalifikują go jako głowę państwa.

Nawrocki jeszcze nie ma narzędzi, by te miliony ludzi skutecznie zastraszyć. Chociaż chęć, by rządzić całą Polską twardą bokserką ręką, ma ogromną.

Jego wystąpienie inauguracyjne to był jednostronny pokaz wielkich ambicji i zadufania. Ja, ja i jeszcze raz ja. Czegóż on osobiście nie robi, nie rozwiąże, nie pokaże, nie stworzy, nie zbuduje. Megalomania na pograniczu kabaretu i rozmów w szatni bokserkiej. Kilkaset słów, którymi się posługuje, nie robi z niego porywającego mówcy. Podobnie jak odmienianie przez przypadki słowa Polska nie robi z niego modelowego patrioty.

Krzyczał na wiecach i krzyczał w Sejmie. Może ktoś mu powie, że krzyk jest oznaką słabości, a nie siły. Wielcy liderzy często mówili prawie szeptem, a byli pilnie słuchani. Tyle że oni mieli ludziom coś ważnego do powiedzenia. Mieli strategię. A Nawrocki? Krzyczał w Sejmie,

że będzie głosem narodu. Jakoś mu ten naród szybko się zmniejszył. O połowę. To pierwszy prezydent, który ma ofertę tylko dla swoich wyborców. Kampanię oparł na chytrym pomysle prezesa Kaczyńskiego, który zrobił z niego kandydata obywatelskiego. Jeszcze jedno kłamstwo. O obywatelach Nawrocki nawet nie wspomniał. O prezesie PiS również ani słowa. Choć bez niego kończyłby się teraz pakować w IPN. Taki, widać, los Kaczyńskiego – kreuje prezydentów, z którymi później walczy. Nawrocki ogłosił, że Polska musi wrócić na drogę praworządności. Ja też na to liczę. Spodziewam się, że zostaną wyjaśnione zarzuty wobec niego. A liczni aferzyści i złodzieje z PiS trafią za kraty.

Kolejna rocznica wybuchu powstania warszawskiego to jeszcze mniej prawdy. Wygrywa propaganda. Nie godzimy się na to. Mamy bardzo dobrze udokumentowane dwa tomy „Zakłamanie historii powstania”. Warto ją kupić. Dla dzieci i wnuków. Prawda sama się nie obroni.



sklep.tygodnikprzeglad.pl

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Prezydent niektórych Polaków**
Nawrocki idzie na wojnę z rządem
- 11 Kapelan prezydenta**
Ks. Wąsowicz od kiboli i nazioli
- 15 Nasi chłopcy berlingowcy**
Już lepszy Polak z Wehrmachtu
- 17 Polska telewizorami stoi**
Ale fabryki są zagraniczne
- 20 Mali ludzie, wielkie zasięgi**
Sharenting a prywatność dziecka
- 24 Wakacje nad polskim morzem**
Pogoda nie pogoda, mają swój klimat

ZAGRANICA

- 28 Azowiec na czele Ukraińskiego IPN**
Kontrowersyjne sympatie
Ołeksandra Alfiorowa
- 32 Trump, Epstein i zdradzona MAGA**
Korespondencja z USA
- 36 Podzielona Europa, głodna Gaza**
Akcja propagandowa Izraela
- 54 Korsykanie opuszczają wyspę**
Kryzys śmieciowy i zamierające życie

LISTY

- 40 Obława augustowska**
Fakty i kontrowersje
Polemika ze Stanisławem Kulikowskim

KULTURA

- 42 Niewypowiedziane pół świata**
– rozmowa z Agnieszką Przepiórką
- 46 Culturalia**
- 48 W poszukiwaniu własnej pracowni**
O atelier łatwiej było w Paryżu
- 66 Stróżka. Kolor – Pamięć – Emocje**
Malarstwo Magdaleny Nałęcz

OBSERWACJE

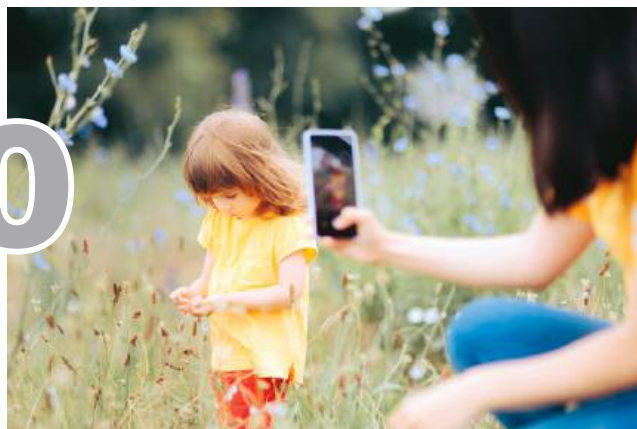
- 52 Dziwidło i inne dziwadła**
W świecie roślin wszystko jest możliwe
- 56 Praktyczna wiedza kata**
Jak dawniej leczono
- 58 Pieskie życie**
Co język mówi o stosunku do zwierząt

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Zaczął od straszenia
- 27 Jan Widacki**
Polska bez Dudy
- 31 Andrzej Szahaj**
Polska anarchia
- 39 Roman Kurkiewicz**
Najjaśniejszy Pan Nasz,
król Karol „bokser” Nawrocki I
- 47 Tomasz Jastrun**
Migawki i obrazy
- 51 Wojciech Kuczek**
Nie zabił dla Nawrockiego

20

KRAJ



MALI LUDZIE, WIELKIE ZASIĘGI

Sharenting a prywatność dziecka



54

ZAGRANICA

KORSYKANIE OPUSZCZAJĄ WYSPĘ

Kryzys śmieciowy i zamierające życie

58

OBSERWACJE



PIESKIE ŻYCIE

Co język mówi o stosunku do zwierząt

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL



f Bodnar zaczął, Żurek dokończy

Po przeczytaniu w sumie optymistycznego felietonu Jerzego Domańskiego raczej wątpię, czy „prezes Kaczyński będzie mógł poznać prawdziwy sens słów, które opisują jego partię. (...) Pora więc na rozliczenie sprawców”. Nie wiem, czy jest to PO-gadanie, czy faktyczna droga do państwa prawa. Na s. 5. pan Michał Czarnowski pisze: „Partia, która ma w nazwie obywatelskość, tak naprawdę jest antyspołeczna, antypracownicza i, jak pokazały ostatnie lata, przypomina sobie o najuboższych obywatelach tylko przed wyborami”.



Można dodać do tego, że partia Donalda Tuska przypomina sobie przed wyborami również o innych obietnicach przedwyborczych. Jak wyglądało rozliczanie PiS z IV RP? Po 2007 r. epa-

towano nas różnymi sensacjami, np. „Zbigniew Ziobro, zbrodniarz – morderca laptopa” i podobnymi. Robiono igrzyska dla ludu, kończąc je po ośmiu latach decyzją, że Zbigniew Ziobro nie stanie przed Trybunałem Stanu. Bo w Sejmie w tym ważnym głosowaniu zabrakło 35 osób, w tym Ewy Kopacz, Tomasza Siemoniaka, Waldemara Pawlaka, Janusza Piechocińskiego i Grzegorza Napieralskiego. Gdyby nie brak m.in. tych pięciu głosów, Ziobro nie mógłby stwierdzić: „Jestem trochę zaskoczony tą kolejną nieudolnością i nieudacznictwem PO i PSL. Przez osiem lat gardłowali, że trzeba mnie postawić przed TS, i mieli ku temu okazję”. Nie jestem prawnikiem, ale jeśli rząd Donalda Tuska nie rozliczy do końca kadencji choćby tych, którzy zostali wymienieni w „100 konkretach na pierwsze 100 dni rządów”, będzie dla mnie jasne, że nie chce stwarzać precedensu. Nie rozumiem obaw PO-PiS – przecież niewinny nie ma czego się bać!

Józef Brzozowski

f Stracone 10 lat

Pan prezydent Andrzej Duda bezkrytycznie popierał Ukrainę, wiedząc, że nasza pomoc idzie zbyt daleko i jest krytykowana przez wielu Polaków. Co więcej, zabrakło wdzięczności z drugiej strony. Bajki w stylu „Jasionka jest nasza, autostrady są nasze” z wywiadu pod koniec prezydentury dodatkowo ośmieszyły odchodzącą głowę państwa. Żelenski nie traktował go z należytą powagą, bredził w ONZ głupoty na temat Polski podczas kryzysu z ukraińskim zbożem, zwał winę za tragedię w Przewodowie na Rosję i utyskiwał, że Polska nie strąca rakiet nad zachodnią częścią Ukrainy, próbując stworzyć negatywny obraz Polski w oczach światowej opinii publicznej. Przykre i straszne. Prezydentura Dudy była słaba.



Damian Paweł Strączyk



f Po czynach go poznamy

Myślę, że powołanie sędziego Żurka na ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego jest nietrafione – mimo prześladowań, jakich doznał pod rządami PiS, a raczej właśnie dlatego. Już jest i nadal będzie oskarżany o prywatę i brak obiektywizmu wobec nominatów oraz przestępczych działań ludzi poprzedniej ekipy. Zauważmy, co się dzieje wokół prokuratora Ewy Wrzosek, tu jest i będzie to samo, oboje są posądżani o działania z osobistą zemstą w tle, nawet przez ludzi im życzliwych. Gdyby to była osoba typu prof. Ewy Łętowskiej, mało kto miałby powody do zwalczania prawniczki z takim autorytetem i zasługami dla polskiego wymiaru sprawiedliwości.

Ewa Wesółowska

ZDJĘCIE TYGODNIA



Po przybyciu pomocy humanitarnej Izrael rozpoczął ostrzał. Bajt Lahija w północnej części Strefy Gazy, 3 sierpnia 2025 r.

W lipcu inflacja spadła do **3,1%** w ujęciu rocznym i jest najniższa od ponad roku.

Rosnie zadłużenie państwa i rosną zakupy czołgów. Do 2030 r. mamy być pancerną potęgą Europy. Nikt nie ma takiej mozaiki sprzętu jak Polska. 250 nowych czołgów **Abrams** i 116 starych, używanych, 235 **niemieckich leopardów**, 360 **koreańskich K2**, ponad 100 czołgów **PT-91 Twardy** i jeszcze stare **T-72**. Nie da się tego ogarnąć logistycznie. Ale kto bogatemu zabroni zasać kasą?

62,9% Polaków nie ufa Szymonowi Hołowni, 18,5% raczej ufa (**IBRiS na zlecenie Onetu**).

Po 2017 r. powołano na stanowiska sędziowskie **3250 tzw. neosędziów**.

Nareszcie jest coś, w czym jesteśmy najlepsi na świecie. Mamy pierwsze miejsce, na 197 państw świata, w globalnym rankingu ODIN oceniającym dostępność danych publikowanych przez krajowe urzędy statystyczne. **Gratulacje dla GUS**.

Ponad 2 mln razy polskie służby i policja sięgały w 2024 r. po billingi rozmów Polaków z ostatnich 12 miesięcy. Przepisy, które na to pozwalają, są niezgodne z prawem unijnym.

Polscy siatkarze w chińskim Ningbo **wygrali Ligę Narodów**. Ekipa Nikoli Grbiccia wygrała z Japonią, Brazylią i Włochami po 3:0.

Nowym dyrektorem generalnym Lasów

Państwowych został **Adam Wasiak**, który był już dyrektorem w latach 2012-2015, za rządów PO.

Prof. Krzysztof Ruchniewicz nie jest już pełnomocnikiem MSZ ds. polsko-niemieckiej współpracy społecznej i przygranicznej. Jego stanowisko zostało zlikwidowane. Od listopada 2024 r. jest dyrektorem Instytutu Pileckiego.

Co czwarte dziecko urodziło się w 2023 r. w rodzinie, w której rodzice nie mają ślubu. Najwięcej w województwach lubuskim (47%) i zachodniopomorskim (46%), a najmniej na Podkarpaciu (15%) i w Małopolsce (17%) (**GUS**).

Wybijanie stad zwierząt w ramach zwalczania ASF, ptasiej grypy i pomoru drobiu kosztowało w 2024 r. skarb państwa ponad 243 mln zł. Wybito wówczas 3 mln ptaków. W tym roku już 7 mln ptaków.

Liderem w hodowli bydła są Indie, które w 2024 r. miały 307 mln sztuk. Wyprzedaży Krazylię (192 mln), Chiny (105 mln), USA (87 mln) i Argentynę (52 mln).

W kryzysie bezdomności jest **183 tys. mieszkańców Londynu**.

W Polsce działa ponad 25 tys. kół gospodyń wiejskich. Powstały przed wojną i skupiały ok. 100 tys. kobiet w 4 tys. kół. W PRL były organizacją masową z 35 tys. kół. W 2023 r. połowa kobiet mieszkających na wsi deklarowała się jako konserwatywne (**CBOS**).

PRZEBŁYSKI

Lotnisko w Radomiu im. PiS

Ryszard P. (nazwisko znane redakcji), nasz czytelnik z Radomia, pisze, że jak słucha Nawrockiego, Marcina Horały i Pauliny Matysiak bredzących o CPK, to chętnie by ich przyjął u siebie. Ma do pokazania Port Lotniczy Radom. Prawdziwy cud gospodarki piśowskiej. W 2024 r. strata portu przekroczyła 46,76 mln zł. Inwestycja, w którą Morawiecki wpompował 800 mln zł, jest pokazem marnotrawstwa. Do lotniska widmo trzeba dopłacać. Rok temu było to 415 zł do każdego ze 112 tys. pasażerów. Takie są skutki pomysłów Suskiego i Bielana. Może Nawrocki, tak chętny do oskarżeń, odwiedzi ten pomnik marnotrawstwa i nieudolności PiS?



Żart rzecznika

Mówi się, że Kancelaria Prezydenta RP to gromada smutnych facetów. Znają moc twardej ręki Nawrockiego i wiedzą, co ta ręka kiedyś robiła. Nie jest im więc do śmiechu.



Tym bardziej że konkurenci patrzą. Kancelaria to mały dwór. Z bardzo ambitnymi urzędnikami. Pochlebstwa to ich oręż. Na razie przewodzi Rafał Leśkiewicz, rzecznik prasowy Nawrockiego. Chyba ze względu na starą znajomość z prezydentem poszedł na całego: **PREZYDENT KAROL NAWROCKI NIE BĘDZIE ZALEŻNY OD ŻADNEJ PARTII I ŻADNEGO LIDERA** („Super Express”).

Zapunktował u szefa. Ale Kaczyński i PiS wpisali go na listę. Czarną.

TW „Lucjan” znowu nadaje

Chyba z tęsknoty za starymi czasami odezwał się w Częstochowie emerytowany biskup włocławski Wiesław Alojzy Mering. Jego słowa, że „rządzą nami ludzie, którzy samych siebie uważają za Niemców”, obiegly kraj. Niewielu zauważyło inny wątek wynurzeń żwawego 79-latką: „Polską szkołą rządzi barbaria” z nawiązaniem do imienia pani ministrowi. Choć wie, może ten prostacki atak uratował jej posadę.

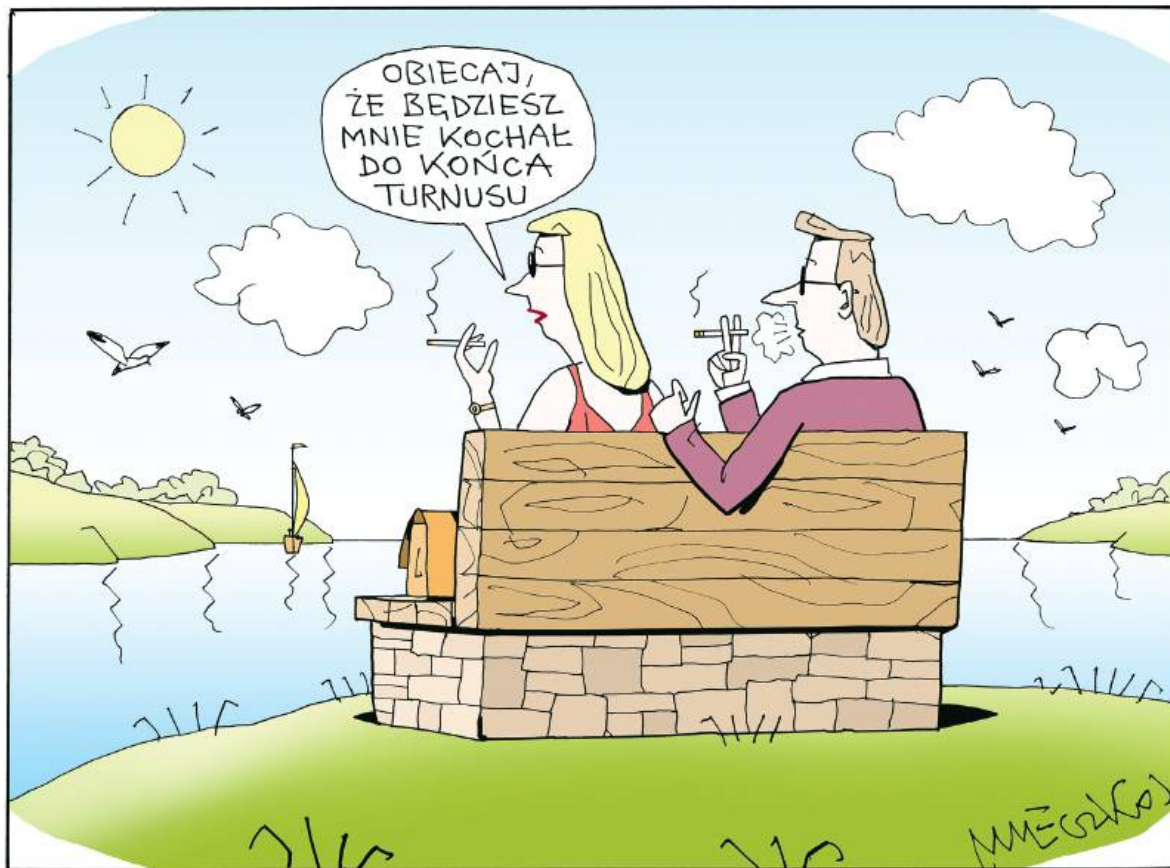


Bp Mering nie zawsze był taki niezłomny. W IPN jest jeszcze gruba teczka z jego aktami. TW „Lucjan” to we własnej osobie Wiesław Alojzy Mering. Przyzwoitość to nie jest trzecie imię tego księdza.

A klienci E.ON jęczą

Najbardziej zadowolony z usług E.ON Polska jest prezes tej firmy, dr Andrzej Modzelewski. Niemiecki właściciel też musi być zadowolony. Zwłaszcza z dochodów firmy.

Znacznie gorsze są nastroje konsumentów. E.ON jest przecież głównym dostawcą energii elektrycznej dla mieszkańców Warszawy, którzy pojękują, gdy otwierają rachunki. Jęczą spółdzielnie mieszkaniowe. Ale do gabinetów zarządu firmy te narzekania słabo docierają. Prezes Modzelewski żyje sobie godnie w błogim przeświadczeniu, że ceny energii dyktuje rynek. A wiadomo, że w kapitalizmie rynek jest nieomylną busolą. Ludzie jednak za tą mądrością nie nadążają. Skargami na ceny i usługi E.ON prezes mógłby sobie wytapetować gabinet. I to może nawet kilka razy.



PYTANIE TYGODNIA | Czy sierpień rzeczywiście jest miesiącem trzeźwości?

KRZYSZTOF BRZÓZKA,

były szef Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych

To akcja symboliczna i tak naprawdę dotrze do tych, którzy i tak w miarę możliwości tę trzeźwość, nie tylko chemiczną, także psychiczną, utrzymują. Trzeźwość to kwestia nie tylko alkoholu, ale również postępowania. Jestem umiarkowanym optymistą, jeśli chodzi o powodzenie takich akcji, dlatego że albo prowadzi się skuteczną politykę alkoholową, albo robi tego typu akcje, nawet jeśli są ważne i potrzebne. Ale jeżeli chodzi o skuteczność, wydaje się, że to jednak więcej słów niż czynów. Spójrzmy na realia. Możemy się cieszyć, że spadło spożycie na głowę, ale z powodu alkoholu mamy kilkadziesiąt tysięcy zgonów rocznie. 30% nastolatków było w zeszłym miesiącu pijanych. A my nadal się zastanawiamy nad taką oczywistością jak zamknięcie sklepów z alkoholem nocą, co mogłoby zapobiec choćby morderstwu pod sklepem z alkoholem w Policach.

ŻANETA RACHWANIEC,

psycholożka, socjolożka, USWPS

Sierpień w Polsce tradycyjnie jest miesiącem trzeźwości. Nie ma oficjalnych danych pokazujących, ile osób w tym czasie rezygnuje z alkoholu, ale mnogość wyjazdów Polaków w tym okresie (choćaby na wczasy all inclusive) sprawia, że ta zapoczątkowana przez Kościół tradycja nie powstrzymuje ludzi

od picia. Należy jednak zauważyć ogólny trend, że spożycie alkoholu (zwłaszcza mocnego) w Polsce spada, a coraz więcej osób deklaruje dobrowolną abstynencję nie tylko w sierpniu, ale na stałe. Trend ten dotyczy zwłaszcza młodych ludzi (pokolenia Z), którzy wybierają styl życia NoLo (ang. No/Low Alcohol), co oznacza rosnącą popularność napojów bezalkoholowych i niskoprocentowych lub zerowe spożycie alkoholu. Podsumowując, Polacy piją mniej, niezależnie od miesiąca.

MIROSLAW,

osoba z syndromem DDA

Dla mnie każdy dzień, a więc również miesiąc, jest naznaczony alkoholem. W końcu w przeważającej części składałam się z doświadczeń z nadużywaniem alkoholu przez rodzica. Codziennie też muszę się składać w całość, żeby przezwyciężać różne trudności związane z byciem DDA, czyli dorosłym dzieckiem alkoholika. Przez swoje doświadczenia mam jednak wyjątkowy radar na spożycie dookoła. Być może rzeczywiście gdzieś zaszła zmiana. Postawmy jednak sprawę jasno – Polacy jak chłali, tak chłają. Do nieprzytomności. Zmieniły się jedynie pozory. Pokolenia od milenialsów w górę wódkę wymieniły na niby wyszukane „winkowanie”. Ale to takie samo tankowanie jak zawsze. Hurtowe ilości taniego wina z dyskontów pite bez pojęcia i na umór. Inny sposób na dotknięcie głębi dna. Narodowa trauma pozostaje niezmiennie taka sama – narcystyczna matka i ojciec alkoholik.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

PREZYDENT NIEKTÓRYCH POLAKÓW

Nawrocki idzie na wojnę z rządem. Z maczetą

Robert Walenciak

Wszystko właściwie jest jasne. Karol Nawrocki został zaprzysiężony, jest prezydentem RP i wygłosił orędzie, swój program działania. Orędzie, jak zgodnie mówili komentatorzy, brzmiało jak plan walki z rządem Donalda Tuska. Ogłosili to zwolennicy rządzącej koalicji – i drżą. O tym więc, że mamy nową wojnę na górze, że celem Nawrockiego będzie osłabianie rządu, każdy już wie. Pytanie, jak prezydent będzie realizował ten plan i co z tego wyniknie.

Prezydent z ludu

Jak chce to realizować, też mniej więcej wiemy. Sporo powiedział na początku orędzia, gdy stwierdził, że wygrał wybory wbrew „teatrowi politycznemu, propagandzie, kłamstwu i pogardzie”. Oto więc samotny sprawiedliwy, który rzucił wyzwanie systemowi i sam – atakowany przez wszystkich – zwyciężył. Rebeliant! To kalka rodem z popkultury, ale i z polskiej mitologii, lubiącej samotnych sprawiedliwych, którzy na końcu zwyciężają.

A czy Polacy nie postrzegają tak Polski? Ojczyzny umęczonej, atakowanej przez wrogów – jak mówi Jarosław Kaczyński – ze wschodu i z zachodu i wrogów wewnętrznych (kto jest partią zdrady czy partią interesu zewnętrznego, wyjaśniał wielokrotnie). Ale na końcu tej drogi i walki jest zwycięstwo. Jak w dobrym meczu, bo takich emocji, z happy endem, oczekują kibice, naturalne środowisko nowego prezydenta.

W ten również sposób Nawrocki może tłumaczyć, że przyszedł znikąd. Wciąż jest przecież osobą Polakom nieznaną, produktem kampanii wyborczej. Nie znaliście mnie – zdaje się mówić – bo byłem poza tym zepsutym światem. Ale wkroczyłem.

Swoją „szlachetność” Karol Nawrocki podkreśla jeszcze jednym gestem. Ogłosił mianowicie, że jako chrześcijanin wybacza tym, którzy go atakowali. Puszczą to w niepamięć. Ale wybaczenie nie oznacza, że Nawrocki dopuszcza jakieś porozumienie z drugą stroną, że robi krok w jej kierunku. Nic z tych rzeczy – wybacza niczym rycerz przed walką, ale wybaczeniem nie kupczy.

Polska w ruinie

Nie kupczy, bo walka przed nim. Musi więc być niezłomny. Walka oczywiście o Polskę. Z czarnym charakterem, z Niemcem, czyli z Donaldem Tuskiem, najgorszym premierem w historii III RP.

Już wiemy, jak ma zamiar walczyć – będzie wzywał do siebie premiera i ministrów, a oni będą musieli przyjść. Po to zostanie zwołana Rada Gabinetowa. Tam będzie ich przepytawał i strofował. No i będzie miał własny pakiet ustaw, które skieruje do Sejmu.

„Dziś Polska jest na bardzo złej drodze do rozwoju i musimy mieć tego świadomość. Coś trzeba zmienić”, mówił w orędziu. I wiadomo, co trzeba zmienić – władzę. Dać ją PiS.

To lejtmotyw najbliższych działań. Nawrocki będzie opowiadał, że ma plan uzdrowienia Polski (przecież kraj jest w ruinie), zaprezentuje się jako ten energiczny, zatroskany o kraj

Prezydent Karol Nawrocki przejmuje
zwierzchnictwo nad Siłami Zbrojnymi RP.
Warszawa, 6 sierpnia 2025 r.

i sprawczy. Wszystko po to, by pokazać, kto tu jest złym i hamulcowym.

Ktoś zapyta: jak to się dzieje, że gdy rządził Tusk, Polska jest w ruinie, a gdy PiS, to jest krainą mlekiem i miodem płynącą i wszyscy nam zazdroszczą? Odpowiedź jest prosta: wszystko zależy od umiejętności erystycznych i od zapału w oskarżaniu (lub chwaleniu). Oraz w budowaniu oczekiwań. Nawrocki przecież pyta: gdzie jest ustawa podnosząca do 60 tys. kwotę wolną od podatku? Nie ma? Rząd mówi, że Polski na to nie stać? No proszę, Polska w ruinie! By być wielką, Polska musi mieć wielkie inwestycje! Rząd je hamuje i ogranicza, tak jak CPK. No proszę, Polska w ruinie!

Takich prezentów, które chce wyrywać od złej władzy, Nawrocki ma dla Polaków więcej. To także:

- obniżenie podstawowej stawki VAT z 23% do 22%,
- obniżka rachunków za prąd o 33%,
- projekt PIT zakładający 0% dla rodzin, które mają dwoje lub więcej dzieci, tzn. zwolnienie z podatku dochodowego do 140 tys. zł dochodu rocznie dla każdego rodzica wychowującego co najmniej dwoje dzieci,



- podwyższenie drugiego progu podatkowego o 20 tys., do 140 tys. zł,
- ulgi prorodzinne dla przedsiębiorców,
- likwidacja podatku Belki,
- waloryzacja emerytur minimum o 150 zł i zawsze powyżej wskaźnika inflacji.

Oto schemat: dobry, troszczący się o Polaków prezydent i zła władza. Nie tylko skąpa, ale też uzależniona od Niemców, złej Unii (to główni wrogowie), służąca obcym. Prezydent patriota będzie zatem bronił polskich spraw. Zresztą w orędziu słowa Polska użył najwięcej razy – 101.

To nic, że prezydent nie ma praktycznie żadnych uprawnień, by te obietnice realizować. Nawrockiego i grono jego sztabowców przepętnia wiara, że wystarczy krzyczeć, że się chce, a rząd nie daje, i to będzie polityczne złoto.

Państwo prawa w ruinie

„Dzisiaj Polska nie jest na drodze praworządności – to kolejny rozdział orędzia Nawrockiego. – Ciężko nazwać praworządnym państwo, w którym nie działa legalnie wybrany prokurator krajowy, w którym art. 7

konstytucji mówiący, że władze muszą działać na podstawie i w granicach prawa, jest regularnie łamany”.

To bardzo zdecydowane słowa. Oznaczają, że Nawrocki zajmuje jednoznaczne stanowisko w bitwie o praworządność, i to stanowisko po stronie Zbigniewa Ziobry. Uważa, że Ziobrowy prokurator krajowy Dariusz Barski jest legalny, a jego następcę Dariusz Korneluk nielegalny, i że wszystkie działania zmierzające w kierunku odbudowy praworządności, które prowadził Adam Bodnar, były niezgodne z prawem.

Praworządność dla Nawrockiego to pisowska praworządność. To Barski, przyjaciel Ziobry, świadek na jego ślubie, jeden z architektów sprawy przeciwko Barbarze Blidzie, potem żywiony zleceniami z Ministerstwa Sprawiedliwości na sumę niemal 1 mln zł, a następnie prokurator krajowy, powinien zdaniem Nawrockiego kierować prokuraturą. Barski jest dla niego gwarantem sprawiedliwości. I żadne kompromisy nie wchodzi tu w grę.

Podobnie jeśli chodzi o sędziów. Tu również stanął po stronie sędziów Ziobrowych, a innym pogroził: „Nie będę awansował ani nominował tych

sędziów, którzy godzą w porządek konstytucyjno-prawny. Będę promował, awansował i nominował tych sędziów, którzy porządek konstytucyjno-prawny zgodnie z konstytucją i ustawami przyjętymi przez polski parlament i podpisanymi przez pana prezydenta respektują”.

Staje więc otwarcie na czele tych, którzy chcą trzecią władzę złamać i podporządkować ją rządzącym. „Bezpieczeństwo prawne polskich obywateli, którzy czekają na sprawiedliwe wyroki i porządek konstytucyjno-prawny państwa polskiego, są dla mnie dużo ważniejsze niż samozadowolenie jednej z klas społecznych – mówił, dodając: – Sędziowie nie są bogami”. I chyba tylko przypadek sprawił, że nie użył słowa kasta.

Mamy zatem zapowiedź wojny prezydenta z sędziami. Oto wróg, z którym Nawrocki zamierza się rozprawić.

Prawica w niezgodzie

Gdy Nawrocki wygłaszał orędzie, postowie prawicy nie kryli radości. Ich triumfalizm wręcz uderzał. Lecz na tym tle uderzało i to, że jednym z najsmutniejszych ludzi w Sejmie był Jarosław Kaczyński. Co się stało? Dlaczego nie było w nim radości? Czy dlatego, że Nawrocki w orędziu ani razu go nie wymienił? I choć dziękował długo Andrzejowi Dudzie, nie dziękował PiS?

Być może ta niewdzięczność załobala Kaczyńskiego, ale przecież rzucało się w oczy coś innego. Postowie PiS z Konfederacją uwierzyli, że będą niedługo rządzić Polską. To ich wprawiało w euforię. Ale gdy znaleźli się w tym stanie, nie widać było, aby dogadali się co do sprawy najważniejszej – kto będzie w tym duecie przewodził. A w zasadzie, że przewodził będzie Kaczyński.

Co ciekawe, Nawrocki, pomijając prezesa, sam zgłosił swoje aspiracje do roli patrona nowej większości. To śmieszne działanie, ale pokazuje, że na polskiej prawicy zachodzą ruchy tektoniczne. Nowe pokolenie przebiera nogami, żeby sięgnąć po władzę – spór Mentzena z Kaczyńskim jest tego dowodem – i nie zamierza ▶

► respektować zasad starszeństwa. Ani kierować się polityczną rozważą.

Jakkolwiek bowiem patrzeć, orędzie Nawrockiego było nie tylko triumfalistyczne i butne, ale również płaskie. Stanowiło zbiór zużytych haseł i zawołań, a nie refleksję nad Polską, jej społeczeństwem i historią. Także, a może zwłaszcza we fragmentach, w których Nawrocki powinien się czuć szczególnie mocny – w nawiązaniu do wielkich postaci historii. „Jestem Polakiem i mam obowiązki polskie”, cytował Romana Dmowskiego. Zupełnie ignorując fakt, w jakich okolicznościach te słowa padły i jak te obowiązki – wraz ze zmianą pozycji Polski – się zmieniały.

Program chybotania rządową tódką, chłostania rządu, wykrzykiwa-

O oporze mówił trochę Tusk w krótkim filmiku wypuszczonym tuż przed zaprzysiężeniem Nawrockiego. Zwraca się w nim do wyborców Trzaskowskiego: „Liczyliście, że 10 lat zażenowania, smutku i obaw o ojczyznę skończy się dziś definitywnie. Tymczasem do starych obaw dochodzą nowe. Co to jednak oznacza dla nas, ludzi pragnących uczciwej, wolnej i pięknej Polski, wolnej od przemocy, nienawiści, pogardy? Tylko jedno: musimy być jeszcze silniejsi, musimy być wytrwali, musimy być razem. Bardzo was proszę, nie traćcie waszej wiary w dobro, w uczciwość, w wolność. Ta wiara czyni z Polaków wielki naród. Bez tej waszej wiary nie ma Polski. Jesteście solą tej ziemi. Na was opiera się przyszłość”.

Nawrocki nie wygrał, bo naród zakochał się w nim i w jego intelekcie. Wygrał, bo mieliśmy plebiscyt – za czy przeciw Tuskowi.

nia prawicowych haseł jako prawd objawionych na dłuższą metę Nawrockiemu sukcesu nie przyniesie. Polityka to nie jest mecz, na który się przychodzi, krzyczy różne rzeczy, a potem – wciąż w emocjach – wraca do domu. Polityka trwa nieustannie. I wymaga większej wyobraźni niż wyobraźnia kibica.

Strach ma wielkie oczy

Smutek prezesa mógł więc wynikać także z tego, że Kaczyński dostrzegał i w Nawrockim, i w jego wystąpieniu kłopoty. Owszem, większość komentatorów orędzie Nawrockiego odebrała jako zapowiedź ataków na rząd oraz nową falę w polskiej polityce i wieszczy wielkie kłopoty dla ekipy Tuska, które, nikt w to nie wątpi, mogą nastąpić. W zasadzie już nastąpiły. Ale czy to oznacza, że Nawrocki przejedzie się po rządzie Tuska jak walec po asfalcie? A może zrobi niewiele? I sukcesu mieć nie będzie?

Wszystko zależy od dwóch czynników. Od tego, jaki prezydent napotka opór, oraz od tego, w jakim tempie jego sylwetka polityczna będzie erodowała.

Można rzec: Tusk ratuje, co się da, i próbuje porządkować rozbite szeregi. Ale przecież tak do końca te szeregi rozbite nie są. Zresztą w polityce najczęściej wystarczy parę miesięcy, parę bitew i szeregi wracają do dawnej sprawności.

Czy tym razem tak będzie? Zobaczmy. Wszystko jest płynne. Karol Nawrocki zapowiedział, że będzie jeździł po kraju i promował swoje pomysły. Wielu komentatorów już zdążyło zakrzyknąć, że będzie to cios dla rządu. Może i tak. Ale w polityce druga strona może się odwinąć, wtedy nikogo nie zdziwią grupy witające Nawrockiego transparentami „Nie oddam ci kawalerki” czy „Witamy sutenera”.

Bo, owszem, kampania prezydencka się skończyła, ale pamięć o niej trwa i ludzie nie zapomnieli, co podczas niej się zdarzyło. Emocje nie wygasły. Te grupki, które przyjechały do Warszawy świętować zaprzysiężenie Nawrockiego, też miały swoje hasła. „Do Berlina!”, wołały do Tuska. I dorzucały: „Precz z komuną!”.

Odfóźmy awantury na bok. Teraz dwa zdania o zużywaniu się polityków. Otóż polityka to nie jest dyscyplina dla amatorów. Żeby

znaleźć się na szczycie, trzeba wielkich umiejętności, doświadczenia i talentu. Czy Nawrocki to ma? No i jest w polityce coś takiego jak zużywanie się polityków, ich nieuniknione porażki. I Tusk, i Kaczyński w swojej karierze mieli ich wystarczająco dużo, by nabrać umiejętności omijania raf i wygrzebywania się z kłopotów.

Z innymi jest gorzej – nie brakuje nam gwiazd jednego sezonu, które biły rekordy popularności, a potem spadały. Szymon Hołownia, Ryszard Petru, Paweł Kukiz to pierwsze z brzegu postacie.

Nawrocki, nie mam wątpliwości, w najbliższych miesiącach będzie notował znakomite wyniki jako ktoś w polityce świeży, jako nadzieja na jej odnowienie. A potem zderzy się z różnymi sprawami, w polityce ich

nie brakuje, i wróci do szeregu. Pytanie, do którego rządu. I ile będzie to prawicę kosztowało. To wszystko wie Kaczyński. Wie, że Nawrocki nie wygrał, bo naród za-

kochał się w nim, w jego intelekcie i zręczności. Wygrał, bo mieliśmy plebiscyt – za czy przeciw Tuskowi, za czy przeciw establishmentowi, tym ustawionym, z wielkich miast.

Pozycję w polskiej polityce Nawrocki musi więc dopiero sobie zbudować. I jeżeli wydaje mu się, że zbuduje ją jako szeryf poganiający, chłoszczący Tuska oraz jako arbiter między PiS a Konfederacją, to jest naiwny. Piłka w grze.

PS W dniu zaprzysiężenia media opublikowały sondaż, w którym Polacy odpowiadali, kto był najlepszym prezydentem w historii III RP. Wygrał bezapelacyjne Aleksander Kwaśniewski, wskazało go 39,1% Polaków. Andrzej Duda, któremu Nawrocki tak długo dziękował, zebrał 15% zwolenników. Wynik sondażu jednoznacznie pokazuje, co Polacy cenią. To rozsądek, mądrość, umiejętność zasypywania podziałów, budowania zgody i poruszania się w świecie. Symptomatyczne, że w swoim wystąpieniu Nawrocki nie wspomniał Aleksandra Kwaśniewskiego ani razu.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

KAPELAN PREZYDENTA

Jaki prezydent, taki jego duchowy przewodnik



Ks. Jarosław Wąsowicz w towarzystwie kryminalisty Grzegorza H., znanego jako „Śledziu”.

Andrzej Sikorski

„Kończąc pracę nad nową strukturą Kancelarii, zaprosiłem do współpracy salezjanina, ks. dr. hab. Jarosława Wąsowicza, który będzie pełnił funkcję kapelana prezydenta. Ks. Jarosław Wąsowicz to duchowny i naukowiec. Człowiek odważny, oddany Panu Bogu patriotą. Antykomunista, były członek Federacji Młodzieży Walczącej. Dyrektor Archiwum Salezjańskiej Inspekcji Pilskiej. Były członek Rady Muzeum II Wojny Światowej. Pomysłodawca akcji społecznej »Serce dla Inki«. Organizator ogólnopolskich pielgrzymek kibiców na Jasną Górę oraz wyjazdów wakacyjnych dla dzieci z polskich rodzin mieszkających na Wileńszczyźnie. Autor kilkuset publikacji naukowych i publicystycznych, wykładowca. Człowiek pogodny, pracowity, a także pełen życzliwości”, napisał Karol Nawrocki na portalu X.

Życiorys czcigodnego kapelana jest piękny i bohaterski, ale

mocno niekompletny. Śpieszę wypełnić tę lukę.

Kapłan nienawiści

Ks. Jarosław Wąsowicz ma 52 lata i jest o 10 lat starszy od Karola Nawrockiego. Panowie znają się od dawna. Wielebny przez lata był przewodnikiem duchowym i politycznym Nawrockiego. Uformował go jako fanatycznego antykomunistę. Przekłada się to na walkę z liberalizmem, lewactwem i Unią Europejską.

Powiedzmy wprost: Wąsowicz to nacjonalista, szowinista, ksenofob i rasista, akceptujący przemoc nie tylko na stadionach, ale i w życiu publicznym. Idolami księdza są „żołnierze wyklęci”, w tym Narodowe Siły Zbrojne, partyjne wojsko przedwojennych polskich faszystów z Obozu Narodowo-Radykalnego. NSZ nie podporządkowały się podziemnym strukturom państwa polskiego, a okryta złą sławą Brygada Świętokrzyska kolaborowała z hitlerowcami. „Żołnierze wyklęci” nie chcieli

zaakceptować powojennej rzeczywistości i chwycili za broń, wyczekując wybuchu III wojny światowej.

Podziemie antykomunistyczne ma na sumieniu wiele zbrodni. Państwem popełnianych mordów była katolicka, antydemokratyczna i nacjonalistyczna ideologia z okresu przedwojennego. Narodowcy chcieli stworzyć wyznaniowe państwo autorytarne. Nie uznawali mniejszości narodowych, którym odmawiali wszelkich praw. Zakładali całkowitą eliminację ludności żydowskiej (poprzez wysiedlenie), którą oskarżano o promowanie szkodliwych dla polskości idei komunizmu, socjalizmu, liberalizmu i masonerii. „Żołnierze wyklęci” walczyli nie tylko z nową władzą, ale także z ludnością cywilną, dokonując mordów, rozbojów i rabując co popadnie. Wystarczyło samo podejrzenie o niepolskie pochodzenie lub sprzyjanie komunistom – i niewinne osoby, często całe rodziny, kobiety i dzieci, były zabijane w okrutny sposób. Szacuje się, że „żołnierze wyklęci” ▶

► zamordowali ponad 5 tys. cywilów, z czego 200 ofiar to dzieci do lat 14.

Ale dla Wąsowicza katami byli Leszek Kołakowski, Tadeusz Mazowiecki i Zygmunt Bauman, którzy, jak twierdził, z bronią w ręku zwalczali tzw. podziemie niepodległościowe.

To podobno Wąsowicz był inicjatorem skandalicznej wystawy zorganizowanej w 2020 r. w Muzeum II Wojny Światowej. Zgodnie z jej przekazem za wybuch wojny nie odpowiadał nacjonalizm niemiecki, doprowadzili do niej Marks, Engels i Nietzsche, bo ich prace filozoficzne zaprzeczały istnieniu Boga (sic!).

Lewacka zaraza

Nie żadna miłość bliźniego i nuczanie Jezusa, ale nienawiść jest prawdziwą ideologią ks. Jarosława Wąsowicza i Karola Nawrockiego.

Wąsowicz jest nieformalnym kapłanem stadionowych chuliganów i organizatorem corocznej Patriotycznej Pielgrzymki Kibiców na Jasną Górę, która od kilkunastu lat odbywa się w styczniu. W tym roku do Częstochowy przybył także Karol

witamy go wśród nas w nowej roli, z nadzieją, że nigdy nie zapomni drogi, którą w życiu prowadził go Pan Bóg (...). Witamy więc brata pośród braci, z nadzieją, że jego pielgrzymowanie do Królowej Polski będzie trwało w kolejnych latach, jeśli taka będzie wola Boża już w nowej roli", powiedział Wąsowicz.

Podczas spotkania w auli ojca Kordeckiego 11-letni Xavier, syn stadionowego chuligana, zapytał pretendenta do najwyższego urzędu w Polsce, „czy jeżeli zostanie prezydentem, to nie dopuści lewackiej ideologii do szkół”. Wywołało to entuzjazm zgromadzonych, a kibole zaczęli krzyknąć w ekstazie: „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę!”. Wyraźnie wzruszony Nawrocki zaprosił chłopca na mównicę i podziękował mu za pytanie, które, jak stwierdził, „jest wielkim zobowiązaniem”, po czym dodał: „Odpowiedź może być tylko jedna. Drodzy państwo, jesteśmy dzisiaj na Jasnej Górze, jesteśmy w miejscu, w którym słyszymy głos młodych obywateli zaniepokojonych tym, co się dzieje w polskich szkołach. I odpowiedź

Wąsowicz to nacjonalista, szowinista, ksenofob i rasista, akceptujący przemoc na stadionach i w życiu publicznym.

Nawrocki jako kandydat na prezydenta. W wygłoszonej homilii duchowny kreślił polityczną instrukcję dla swojego podopiecznego.

„Trzeba z odwagą podjąć walkę z cywilizacją śmierci, bo, jak widać, zatacza coraz szersze kręgi, a sprawa bezwarunkowej dostępności aborcji, czyli zabijania nienarodzonych dzieci, jest przez niektórych podnoszona jako zasadnicza sprawa w programach wyborczych, a następnie jako najważniejsze zadanie do zrealizowania przez liberalno-lewicowe rządy. Trzeba wreszcie z odwagą zwalczać promocję obcych nam standardów moralnych, bo są one nie tylko moralnym nieuporządkowaniem, ale, jak pokazuje historia, stawały się one zawsze jedną z przyczyn upadku cywilizacji i kultury humanistycznej. (...) Karol Nawrocki zawsze uważnie wstuchiwał się w nasze głosy. Dzisiaj

tutaj może być jednoznaczna. Xavier, oczywiście nie dopuszczę do tego”.

Gdy padały te haniebne słowa, obok Nawrockiego stał wyraźnie rozbawiony ks. Wąsowicz...

Dodajmy, że ta „lewacka ideologia”, którą Wąsowicz, Nawrocki i kibole będą wypalać gorącym żelazem, opiera się na tolerancji i poszanowaniu wolności każdego człowieka, szacunku dla różnorodności kultur, tożsamości, stylów życia i przekonań, a także szacunku dla przyrody i zwierząt. Jak widać, współcześni „żołnierze wyklęci” brzydzą się takimi postawami, a dla propagatorów lewactwa nie będzie litości.

Stowarzyszenie Nigdy Więcej, dokumentujące zdarzenia na tle rasistowskim, ksenofobicznym i homofobicznym, odnotowało, że stadionowi arcypatrioci przybyli na Jasną Górę z symboliką nazistowską,

XVII Patriotyczna Pielgrzymka Kibiców na Jasną Górę była okazją do prowadzenia kampanii wyborczej. Nz. Karol Nawrocki i ks. Jarosław Wąsowicz podczas spotkania w auli Kordeckiego. Częstochowa, 11 stycznia 2025 r.



w tym z szalikami, na których widniały hasła: „Naszym wzorem Janusz Waluś” i „Biały honor, biała duma” (tytuł piosenki neonazistowskiego zespołu Konkwista 88, cyfry 88 w jego nazwie symbolizują pozdrowienie „Heil Hitler”), oraz ze znakiem tzw. trystyki (to trójramienna swastyka, symbol neofaszystowskiego Afrykanerskiego Ruchu Oporu, którego członkiem był Waluś) umieszczonym na tle barw flagi III Rzeszy. Kibice żużlowi mieli szaliki z symboliką i nazwą międzynarodowej neonazistowskiej organizacji Blood & Honour (Krew i Honor), z napisem: „Biali kibice czarnego sportu” i tzw. wilczym hakiem (Wolfsangel, symbol dywizji pancernej SS „Das Reich” i współczesnych ugrupowań neofaszystowskich).

Patrioci prezentowali też dumnie szaliki z tzw. krzyżem celtyckim (symbolem zwolenników wyższości białej rasy), hasłem: „Good night left side” popularnym wśród ruchów neofaszystowskich oraz charakterystyczną grafiką, przedstawiającą



napastnika, który bije leżącego na ziemi człowieka. Były także tradycyjne banery z literami „ŚWO”, skrótem od „Śmierć wrogom ojczyzny”, hasła używanego jako zachęta do wymierzania sprawiedliwości lewakom, i napisem: „Stop LGBT” z przekreśloną tęczą.

O tym, że lepiej nie wchodzić w drogę patriotycznym bandytom, nad którymi ks. Wąsowicz sprawuje kuratelę, przekonali się działacze stowarzyszeń Obywatele RP i Demokratyczna RP. W 2018 r. aktywiści w proteście przeciwko szerzeniu nienawiści na pielgrzymkach organizowanych przez duchownego przyjechali na Jasną Górę i w milczeniu rozwinęli transparenty z napisami: „Chrześcijaństwo to nie nienawiść”, „Moją Ojczyzną jest człowieczeństwo” i „Tu są granice przyzwoitości”. Wywołało to wściekłość kiboli, którzy obrzucili protestujących racami, petardami i kamieniami, a potem spuścili im łomot.

„Przez ostatnie 10 lat naszej pielgrzymki słyszeliśmy wielokrotnie

z ust faryzeuszów i uczonych, że to nie jest miejsce dla nas. Cenzurowali kazania i wykłady. (...) Przywołujemy z dumą postaci narodowych bohaterów, dla których hasło »Bóg, Honor, Ojczyzna« to nie tylko hasło ze sztandarów, a życiowe motto. Od

nich chcemy uczyć się miłości do Polski. Pilnujcie Polski”, zagrzewał Wąsowicz kiboli, którzy na klasztornym murze rozwiesili baner z krzyżem celtyckim i napisem: „White United”.

Suto zakrapiany „Śledziu”

Znamienne jest, że Karol Nawrocki, chwalać swojego kapelana, wspominał o jego antykomunizmie, ale nie powiedział nic o stosunku duchownego do hitleryzmu i faszyzmu. W słynnym raporcie

o niebezpiecznych związkach Nawrockiego też jest mowa o ks. Wąsowiczu, który „koleguje się z przestępcami i nazistami”, należy do środowiska kibicowskiego, „gdzie więzy są bardzo trwałe i gdzie nie zrywa się znajomości z kimś tylko dlatego, że ma tatuaże z Hitlerem”.

Jednym z takich kumpli wielbego jest Grzegorz H., pseudonim „Śledziu”, szef bojówki Lechii Gdańsk (należał do niej Karol Nawrocki) oraz członek Blood & Honour. „Śledziu” ma wytatuowaną na ramieniu podobiznę Adolfa Hitlera, a na rękach i plecach liczne swastyki oraz motto SS: „Meine Ehre heißt Treue” (Moim honorem jest wierność).

„Śledziu” przesiedział 14 lat w więzieniu za pobicia, udział w bójkach i nielegalne posiadanie broni. Jednym z wyczynów kumpla Wąsowicza było obrzucenie kamieniami staruszki, która w ciężkim stanie trafiła do szpitala. Powód? Irytacja po przegranym meczu Lechii Gdańsk z Hutnikiem Warszawa. Ulubioną przyspiewką „Śledzia” było: „Guan-tanamera, Gdańsk to jest miasto Hitlera!”. W 2017 r. Nawrocki poręczył za Grzegorza H., gdy ten został zatrzymany w Danii i oskarżony o napad na policjantów po zamieszkach z udziałem pseudokibiców.

We wspomnianym raporcie zamieszczono zdjęcia z 50. urodzin Wąsowicza, na których duchowny pozuje ze „Śledziem”. Na imprezie

Wielbny przez lata był przewodnikiem duchowym i politycznym Nawrockiego. Uformował go jako fanatycznego antykomunistę.

wielbego bawiło się kilkudziesięciu wytatuowanych chuliganów, w tym wielu kryminalistów i entuzjastów Adolfa Hitlera.

Kolega z maczetą

W raporcie są też zdjęcia Wąsowicza z innym nazistą i kryminalistą, Olgiemdem L., zwanym „Olo”, który jako nastolatek został nazi-skin-headem i członkiem chuligańskiej ekipy kibiców Lechii Gdańsk. „Olo” słynął z brutalności i okrucieństwa, a jego ulubioną bronią były noże ▶

► i maczeta. Za pobicie i ugodzenie nożem licealistów trafił za kraty. Po opuszczeniu więziennych murów stanął na czele gangu sutenerów, który zajmował się też handlem narkotykami, ochroną lokali rozrywkowych i wymuszaniem haraczy. Ludzie „Ola” mieli zamordować konkurującego z nim o dominację w trójmiejskim półświatku Danieła Z. „Zachara”, kiedyś prawą ręką słynnego gangstera Nikodema S. „Nikosia”.

„Olo” związany był też z motocyklowym nazistowskim gangiem Bad Company. W 2019 r. na terenie Westerplatte zarządzanym przez Muzeum II Wojny Światowej (Nawrocki był wtedy dyrektorem muzeum, a Wąsowicz zasiadał w radzie muzeum) Bad Company nagrywał rocznicowy klip, w którym wystąpił neonazistowski zespół muzyczny Obłęd.

W grudniu 2024 r. „Olo” został zatrzymany przez funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i trafił do aresztu. Jak poinformowała prokuratura, Olgierdowi L. przedstawiono pięć zarzutów, w tym udział w zorganizowanej grupie przestępczej, podżeganie do podpalenia restauracji i do pobic oraz handel bronią.

Chwała bohaterom

Wąsowicz i Nawrocki napisali wspólnie książkę „Wielka Lechia moich marzeń” poświęconą Tadeuszowi Duffkowi, słynnemu gdańskiemu chuliganowi, który został przedstawiony jako bohater narodowy i wielki patriota. Duffek, podobnie jak Wąsowicz (i wielu innych stadionowych chuliganów), w latach 80.

działał w Federacji Młodzieży Walczącej i Solidarności. Kibole chodzili wtedy na msze, ochraniali opozycyjne demonstracje, a potem tłukli się z ZOMO, z czego utkali sobie kombatancką przeszłość. Duffek ma na koncie morderstwo. Jako nastolatek zadźgał nożem kibica Arki Gdynia, za co trafił do poprawczaka.

Tadeusz Duffek przyjaźnił się z ks. Henrykiem Jankowskim. Często gościem plebanii kościoła św. Brygidy był też „Śledziu”, który ponoć urządził w zacnym miejscu dziuplę z narkotykami. Policja miała na to twarde dowody, ale nie odważyła się wkroczyć. Gdy pod adresem Jankowskiego zaczęły padać oskarżenia o molestowanie nieletnich, współpracę z SB, organizowanie pijackich imprez, epatowanie bogactwem i nadużycia finansowe,

Roman Zieliński, uliczny bandzior i wieloletni lider chuliganów Śląska Wrocław, który napisał jeden z rozdziałów książki „Wielka Lechia moich marzeń”. Zieliński, miłośnik przywódcy III Rzeszy, jest autorem książki „Jak pokochałem Adolfa Hitlera”, w której szczuł na Żydów, Arabów i ludzi o czarnym kolorze skóry. Za nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych i rasowych został skazany na prace społeczne. Zieliński przewodził faszystowskim bojówkom, które m.in. rozbiły we Wrocławiu w 2013 r. wykład prof. Zygmunta Baumana.

Oczywiście podobnych kolegów wielcebnym Jarosław Wąsowicz ma więcej. Z tych najbardziej odważnych walce z lewactwem można by sformować co najmniej trzy kompanie reprezentacyjne. Choć

Nie żadna miłość bliźniego i nauczanie Jezusa, ale nienawiść jest prawdziwą ideologią ks. Wąsowicza i Nawrockiego.

Duffek wspólnie z ojcem i bratem założyli Komitet Obrony Polskości Kościoła i Księdza Prałata Henryka Jankowskiego.

W książce Wąsowicz napisał o Duffkach: „Okazali się wierni w przyjaźni, kiedy lewactwo z każdej strony atakowało kapelana podziemnej Solidarności”. Duffek zmarł w 2005 r. i pochowany został w alei zasłużonych na Cmentarzu Centralnym „Srebrzysko” w Gdańsku-Wrzeszczu. W 2009 r. Lech Kaczyński odznaczył chuligana pośmiertnie Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Kumplem ks. Wąsowicza i Nawrockiego był też (zmarł w 2020 r.)

na organizowane przez duchownego pielgrzymki na Jasną Górę zjeżdża się nawet 5 tys. kibolskich arcy patriotów.

Teraz, gdy ich przewodnik ideologiczny został oficjalnym kapelanem prezydenta RP, również stadionowego chuligana, kibole zyskują specjalny status obrońców polskości. Będą pilnować porządku i asystować podczas oficjalnych uroczystości państwowych, np. przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Tak by żaden lewak nie ośmielił się zakłócić powagi majestatu głowy państwa.

Andrzej Sikorski

PRENUMERATA POCZTOWA PRZEGLĄDU 2025

Jeden egzemplarz w prenumeracie **7,50 zł**

97,50 zł – IV kwartał

Zamówienia można składać do 25 sierpnia 2025 r. w placówkach pocztowych lub u listonoszy albo drogą elektroniczną pod adresem: sklep.poczta-polska.pl



Nasi chłopcy berlingowcy

Łatwiej nam zaakceptować Polaków w Wehrmachcie niż tych, którzy walczyli w rogatywkach z orzełkiem

Krzysztof Wasilewski

Reakcję na wystawę „Nasi chłopcy” gdańskiego muzeum trudno uznać za zaskoczenie. Dotychczasowe próby przywrócenia godności żołnierzom 1. i 2. Armii Wojska Polskiego również kończyły się pyskówką, choć głosów w obronie walczących w tych jednostkach było wyraźnie mniej niż w przypadku Polaków w mundurach Wehrmachtu.

„Nie ma zgody na relatywizowanie historii! Z oburzeniem przyjmuję informację o wystawie »Nasi chłopcy« w Muzeum Gdańskie. Przedstawienie żołnierzy III Rzeszy jako »naszych« to nie fałsz historyczny, to moralna prowokacja, nawet jeśli zdjęcia młodych mężczyzn w mundurach armii Hitlera przedstawiają przymusowo wcielonych do niemieckiego wojska Polaków”, napisał Andrzej Duda na platformie X, zanim jeszcze miał szansę poznać szczegóły wystawy.

Tego typu wypowiedzi jako żywo przypominają te, które po 1989 r. padały w kierunku berlingowców, czyli żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego. „Czerwoni renegaci” – tak nazwał ich prawicowy publicysta Piotr Zychowicz, dowodząc, że „na wojnie ważne jest nie to, z kim się walczy, ale o co. O ile Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie i Armia Krajowa walczyły o niepodległą Rzeczpospolitą, o tyle armia Berlinga biła się o zniewoloną przez bolszewików, pozbawioną Wilna i Lwowa, totalitarną Polskę Ludową”.

Jeszcze dalej szedł Sławomir Cenckiewicz, historyk związany z prawicą, niedawno wskazany przez Karola Nawrockiego na przyszłego szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego. W wywiadzie dla „Polski Zbrojnej” z 2016 r. przekonywał, że żołnierze 1. i 2. Armii Wojska



1. Dywizja im. Tadeusza Kościuszki wyrusza na front latem 1943 r.

Polskiego „nie są Wojskiem Polskim”, ich szlaku bojowego zaś nie można uznać za „część historii orzeża polskiego”. Cenckiewicz krytykował nawet drobne gesty, takie jak upamiętnienie przez Andrzeja Dudę w 2017 r. 72. rocznicy forsowania Odry przez 1. Armie Wojska Polskiego. „Nie akceptuję honorowania LWP i PRL, tej niezgodnej z prawdą historyczną nowomowy III RP”, skomentował na X.

Dekomunizacja berlingowców

W proces wymazywania berlingowców z polskiej historii od początku aktywnie włączył się Instytut Pamięci Narodowej. Na fali tzw. ustawy dekomunizacyjnej z 2016 r. z miast i wsi zniknęły nazwy upamiętniające czyn zbrojny tych, „którzy nie zdążyli do Andersa”. IPN zadekretował np., że ulica 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki w Giżycku to

niedopuszczalny symbol komunistycznej propagandy, który należało niezwłocznie usunąć. Podobny los spotkał ulice, skwery, pomniki i tablice poświęcone 1. i 2. Armii Wojska Polskiego w całym kraju.

Destrukcyjne skutki przyjętej ustawy najmocniej odczuły miejsca pamięci na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Tutaj IPN szedł jak walec, nie bacząc na fakt, że monumenty poświęcone 1. i 2. Armii WP czy upamiętniające zdobywanie Wału Pomorskiego były często jedynymi namacalnymi elementami polskiego powojennego dziedzictwa na tym terenie.

IPN tak tłumaczył swoje stanowisko wobec 1. Armii Wojska Polskiego: „Gloryfikacja tego związku operacyjnego, bezprawnie wykorzystanego przez Związek Sowiecki (oprócz działań militarnych przeciw Niemcom) do realizacji celów ▶

► politycznych, rozbieżnych z polską racją stanu, jest czym innym niż upamiętnienie losu żołnierzy, którzy w różnych okolicznościach znaleźli się w szeregach I Armii. (...) Udział w działaniach zbrojnych przeciw Niemcom był zgodny z oczekiwaniami większości zwykłych żołnierzy. Natomiast na oblicze polityczne tych jednostek, na kształt prowadzonej przez aparat polityczno-wychowawczy indoktrynacji, w końcu na sposób wykorzystania ich walk z Niemcami w propagandzie komunistów i w polityce międzynarodowej Związku Sowieckiego – jako zwyczajni żołnierze nie mieli wpływu”.

Upamiętnienie i zapomnienie

Niepamięć towarzyszy także kolejnym rocznicom związanym ze szlakiem bojowym 1. i 2. Armii WP. Wyzwolenie i zdobycie kolejnych miast, a wreszcie wkroczenie do samego Berlina kosztowało życie lub zdrowie dziesiątki tysięcy polskich żołnierzy. Niemal 2 tys. poniosło śmierć jedynie podczas forsowania Wału Pomorskiego, a prawie 3 tys. zostało wówczas rannych. Tymczasem kilka lat temu IPN zawnioskował o usunięcie m.in. poświęconego im pomnika w Jastrowiu, gdzie w lutym 1945 r. przełamano umocnienia.

80. rocznica zdobycia Berlina, przypadająca w maju tego roku, została co prawda zauważona przez

w uroczystościach uczestniczyli prezes IPN ze swoją żoną, szef UdSKIOR, a także marszałek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska.

Dla żołnierzy 1. Armii WP kluczowe było jednak wyzwolenie Warszawy. Pierwsza próba przedostania się na drugą stronę Wisły nastąpiła rankiem 16 września 1944 r., kiedy grupa ok. 60 żołnierzy 9. pułku piechoty dotarła na prawy brzeg. Kolejne próby forsowania rzeki na-

W proces wymazywania berlingowców z polskiej historii aktywnie włączył się IPN.

potkały silny ostrzał niemieckiej artylerii i stanowisk karabinów maszynowych. „Wróciło nas żywych, z mojej kompanii, dziewięciu czy 11. Z tych prawie 100, którzy razem pojechali”, mówił kpr. Wiktor Kolek.

Berlingowcy szczególnie aktywnie włączyli się w walki na Czerniakowie. Według różnych szacunków pochłonęły one życie ponad 3 tys. osób – a niemal połowa to byli żołnierze Wojska Polskiego. „Dramaturgia tych oddziałów przybyłych zza Wisły (z wielką ochotą wśród żołnierzy) z pomocą powstaniu warszawskiemu 1944 r. jest szczególnie tragiczna w tym, że ich działania – walka w sumie trwała zaledwie jeden tydzień”, oceniał Janusz Dereziński ze zgrupowania „Kryśka”.

cywilów. A dowódcy, którzy do tego doprowadzili, do tej pory patrolują ulicom i szkołom w całym kraju.

Nasi chłopczy czy nasi zdrajcy?

Wbrew temu, co się wydaje, chodzi tu nie tylko o berlingowców i docenienie ich wkładu w pokonanie nazistowskich Niemiec. Tym, którzy odmawiają im upamiętnienia, zależy na całkowitym przekreśleniu

dorobku pokoleń kształtujących Polskę powojenną. Rzecz dotyczy zatem wszystkich, którzy budowali państwo w warunkach, w jakich realnie ono istniało, nie zaś Polskę z fantazji ówczesnych rządów emigracyjnych. Wyraz takiej negującej postawie dał wspomniany już Sławomir Cenckiewicz, który podczas debaty zorganizowanej przez IPN zawyrokował: „Jeżeli ktoś uważa, że w powojennej Polsce walczyło zbrojne podziemie niepodległościowe, a prezydent i rząd na uchodźstwie były legalnymi władzami, to nie może uznać Ludowego Wojska Polskiego za polską armię”. Innymi słowy, wszystkich, którzy do 1990 r. nosili mundur Sił Zbrojnych PRL, należy uznać za zdrajców.

Gdańska wystawa „Nasi chłopczy” na nowo rozbudziła dyskusję o złożoności polskich doświadczeń podczas II wojny światowej. Bez względu na ocenę zasadności wyboru tytułu to jej duży sukces. Warto jednak zadać pytanie, czy w przekrzykiwaniu się, z którym mamy obecnie do czynienia, zdołamy usłyszeć głosy upominające się o żołnierzy 1. i 2. Armii WP? Wszak nie ma wątpliwości co do tego, z kim i o co walczyli, a mimo to tak łatwo wyklucza się ich z pamięci narodowej III RP. Żle to świadczy o obecnym stanie naszej świadomości historycznej, skoro łatwiej nam zaakceptować Polaków w Wehrmachcie niż tych, którzy wtedy walczyli w rogatywkach z orzełkiem – choć bez korony.

Krzysztof Wasilewski

Czy usłyszymy głosy upominające się o żołnierzy 1. i 2. Armii WP? Wszak nie ma wątpliwości, z kim i o co walczyli.

Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Instytut Pileckiego, lecz nie nadano jej rangi, na którą zasługiwała. Pod auspicjami tego ostatniego zorganizowano debatę „Inne doświadczenie roku 1945. Koniec wojny w Europie i Azji”, w której wzięli udział polscy i niemieccy historycy. Nie trzeba dodawać, że w dyskusji doświadczenia polskich żołnierzy zdobywających Berlin nie znalazły się w centrum uwagi. Natomiast w 2024 r., podczas obchodów 80. rocznicy bitwy pod Monte Cassino,

Dla IPN udział żołnierzy Berlinga w walkach o stolicę nie był heroiczną próbą uratowania powstania, lecz zaledwie „jednym z jego najtragiczniejszych epizodów”. Przeprowadzoną przez IPN debatę uznał za „misję stracniczą”, rozpoczętą „na rozkaz sowieckiego dyktatora, wrogo nastawionego do walczącej stolicy Polski, wysłano tysiące żołnierzy na niemal pewną śmierć”. Zadziwiające, że historycy związani z IPN zupełnie inaczej oceniają samą decyzję o rozpoczęciu powstania, która przecież kosztowała życie ponad 150 tys.

Polska telewizorami stoi

Jesteśmy największym w Europie producentem telewizorów



Nowoczesny telewizor LG Qned.

Grzegorz Rudnik

Mamy czym się pochwalić. Nasz kraj jest największym w Europie producentem telewizorów. Z danych GUS wynika, że w 2022 r. z polskich fabryk wyjechało, łącznie z monitorami, 17,173 mln odbiorników. Trafiłem też na informację, że produkowaliśmy nawet 20 mln telewizorów, lecz wolę się trzymać oficjalnych danych.

90% produkcji przeznaczane jest na eksport. Szacunki mówią za to, że ok. 80% podzespołów, z których produkowane są nad Wisłą telewizory, wytwarzamy na miejscu.

W czterech fabrykach należących do koreańskich, chińskich, tajwańskich i japońskich koncernów zatrudnionych jest ok. 7 tys. pracowników. Około 23 tys. jest pośrednio związanych z branżą RTV – mam na myśli inżynierów i kadrę menedżerską, programistów zatrudnionych w ośrodkach badawczo-rozwojowych, specjalistów logistyków,

kierowców tirów rozwożących telewizory po Europie itd.

W 2023 r. wartość eksportu wyprodukowanych u nas telewizorów wyniosła 5,58 mld dol., co oznaczało spadek, gdyż rok wcześniej wyeksportowaliśmy sprzęt o wartości 7,3 mld dol. Jednak w żaden sposób nie zagroziło to naszej pozycji czempiona. Dla porównania – w Turcji produkuje się rocznie ok. 15 mln telewizorów, na Słowacji 6-7 mln, na Węgrzech ok. 5 mln, w Czechach ok. 2 mln, w Wielkiej Brytanii zaledwie 500 tys., w Niemczech jedynie 100 tys. telewizorów Loewe klasy premium, a w Danii tylko 50 tys. odbiorników klasy superpremium Bang & Olufsen.

Tajemnica sukcesu

Produkcja telewizorów w Polsce rozpoczęła się w 1955 r. wraz z utworzeniem Warszawskich Zakładów Telewizyjnych (WZT). 22 lipca 1956 r. z linii produkcyjnej zszedł

nasz pierwszy telewizor Wiśła. Był to właściwie radziecki Awangard z ekranem o przekątnej 12 cali, czyli o wymiarach współczesnego tabletu. W listopadzie 1957 r. pojawiła się pierwsza rodzima konstrukcja, odbiornik Belweder, którego ekran miał 14 cali, tyle co dziś mały laptop.

Produkcję kolorowego odbiornika telewizyjnego Jowisz rozpoczęto w WZT we wrześniu 1973 r. Pierwotnie miał się nazywać PAW, lecz nazwę zmieniono ze względu na wulgarne skojarzenia.

Przełom nastąpił w 1991 r., gdy Zbigniew Niemczycki rozpoczął w Mławie budowę pierwszej w Polsce nowoczesnej jak na owe czasy montowni telewizorów. Biznesmen odniósł spory sukces, importując do naszego kraju japońskie kolorowe telewizory marki Otake. Do jej popularyzacji przyczyniła się nie tylko atrakcyjna cena, ale też rzucona przez prezydenta Lecha Wałęsę myśl: „Otake Polskę walczyłem!”, która stała się swoistym hasłem reklamowym. ▶

► Niemczycki doszedł do wniosku, że bardziej opłacalne niż import będzie uruchomienie produkcji telewizorów w kraju, zwłaszcza że na początku lat 90. Polacy zaczęli masowo wymieniać stare odbiorniki, przede wszystkim radzieckie rubiny, na nowe modele.

Debiut zakładu Curtis Electronics wchodzącego w skład Curtis Group, która w ofercie miała też magnetowidy i inne urządzenia domowej elektroniki, był zachęcający. W 1992 r. biznesmen nawiązał współpracę – niezwykle owocną, jak się okazało – z koreańskim koncernem Lucky Goldstar, który wówczas dostarczał telewizory słynnej spółce Art-B. Siedem lat później Niemczycki sprzedał zakład w Mławie Koreańczykom występującym pod nową, dobrze dziś znaną nazwą LG Electronics.

Obecnie to największy w Polsce zakład produkujący telewizory, w którym

bogatych państw Zachodu, co zaowocowało zmniejszeniem kosztów dystrybucji i uproszczeniem procedur logistycznych. Montaż w Polsce telewizorów, a także pralek, lodówek oraz innych urządzeń AGD, okazał się tańszy niż produkcja w krajach Dalekiego Wschodu i transport drogą morską do Europy. Poza tym jakość produkowanych u nas urządzeń w niczym nie ustępowała wyrobom chińskim, południowokoreańskim czy japońskim.

Dlatego dzisiaj w Polsce działa najwięcej na kontynencie zakładów produkujących telewizory i podzespoły do nich. Są to:

- Zakład LG Electronics w Mławie. Zajmuje powierzchnię 40 ha i może dziennie produkować do 40 tys. telewizorów. W 2020 r. z jego linii produkcyjnych zjechało ponad 8 mln telewizorów i monitorów komputerowych. Poza tym produkowane są w nim płyty główne do telewizorów oraz

jak TCL, Thomson, JVC, IKEA oraz polskiej marki Krüger&Matz, należącej do spółki Lechpol z siedzibą w Miętne koło Garwolina. Swego czasu telewizory innej polskiej marki, Manta, były produkowane w Łodzi w firmie Flextronics.

- Japoński koncern Sharp ulokował swój zakład w Ostaszewie pod Toruniem. Fabryka pierwotnie należała do Japończyków, którzy sprzedali ją słowackiej spółce Skytec UMC, lecz w październiku 2019 r. odkupili od niej 100% udziałów. Tak znajdująca się na terenie Pomorskiej Strefy Ekonomicznej fabryka ponownie stała się japońska. Około 700 osób pracuje w niej przy produkcji telewizorów Sharp i Blaupunkt.

Własne marki sprzętu RTV mają też duże sieci handlowe, takie jak Auchan. Francuzi w swoich supermarketach sprzedają telewizory pod marką Qilive. Ich produkcja – co stanowi ewenement – jest zlecaną chińskim koncernom, takim jak Konka, TCL, Skyworth, Hisense czy Changhong, i odbywa się w Państwie Środka, choć trafiłem na informację, że również one są produkowane w naszym kraju.

A co z popularnymi markami, takimi jak Samsung, Sony, Hisense, Panasonic czy Toshiba?

Samsung ma w Europie dwie fabryki: w Galancie na Słowacji (50 km od Bratysławy) oraz w Jászfényszaru na Węgrzech. Fabryka w Galancie jest największym zakładem Samsunga na naszym kontynencie. Tam powstają telewizory przeznaczone na rynek europejski i stamtąd trafiają także do Polski.

Największa na świecie fabryka telewizorów należąca do koncernu Sony mieści się w Nitrze na Słowacji. Pracuje w niej ok. 3 tys. osób, a roczna produkcja to ok. 3,5 mln sztuk. Japończycy nadal wytwarzają sprzęt wysokiej jakości, lecz muszą konkurować z koreańskimi i chińskimi producentami, a to nie jest łatwe.

Chiński koncern Hisense, który mocno rozpycha się na europejskim rynku, w 2018 r. przejął słoweńskiego producenta sprzętu AGD, spółkę Gorenje. Następnie w miejscowości Velenje, na terenie istniejącego kompleksu produkcyjnego wybudował

Około 80% podzespołów, z których produkowane są telewizory w Polsce, wytwarzamy na miejscu.

pracuje ponad 2 tys. ludzi. Z jego taśm montażowych zjeżdża rocznie od 8 mln do niemal 11 mln telewizorów. W tym najnowocześniejszych, z ekranami OLED, z których słynie LG.

Co sprawiło, że nad Wisłą swoje fabryki zbudowało tak wielu azjatyckich producentów sprzętu RTV?

Jak to się robi nad Wisłą

Źródłem sukcesów była osobiwa mieszanina wysokich unijnych cel na te telewizory, niskich kosztów energii elektrycznej (choć ostatnio to się zmieniło na niekorzyść), dobrze wykształconej i zdyscyplinowanej siły roboczej oraz niskich podatków i korzystnej lokalizacji w centrum Europy.

Z Polski dowolny produkt można dostarczyć np. do Wielkiej Brytanii, Francji czy Rosji w ciągu 24-48 godzin, co w przypadku elektroniki ma duże znaczenie, wszak korzystanie z magazynów bywa kosztowne.

Wejście naszego kraju do Unii Europejskiej w 2004 r. oznaczało zdjęcie barier celnych w eksporcie do

urządzenia dla motoryzacji, takie jak ekrany montowane w nowoczesnych samochodach.

- Zakład TPV Displays Polska w Gorzowie Wielkopolskim. Budowę tej fabryki należącej do wielkiego tajwańskiego koncernu TPV Technology rozpoczęto w 2007 r. Rocznie z linii produkcyjnych schodzi 4-4,5 mln telewizorów. Najbardziej znaną produkowaną tu marką jest Philips, która należy do holenderskiej spółki Koninklijke Philips N.V. Jednak to nie oni produkują telewizory, lecz Tajwańczycy, którzy za korzystanie ze znanego brandu płać Holendrom stosowne tantiemy licencyjne. Jest to największa fabryka TPV Technology w Europie i stanowi europejskie centrum produkcyjne, dystrybucyjne oraz centrum obsługi klienta. Pracuje w niej ok. 3 tys. osób.

- Fabryka TCL Operations Polska w Żyrardowie. Jej możliwości produkcyjne to 3-4 mln telewizorów rocznie. Należy do znanego chińskiego koncernu TCL Technology Group Corporation. Produkowane są w niej odbiorniki takich marek

fabrykę telewizorów. Zakład Hisense Europe Electronics ruszył w styczniu 2021 r. Pracuje w nim 700 osób, a z linii produkcyjnych zjeżdża dziennie 6-7 tys. telewizorów. Sprzedawane w Polsce odbiorniki tej marki pochodzą ze Słowenii.

W przeszłości telewizory marki Panasonic były produkowane w fabryce TCL Operations Polska w Żyrardowie, lecz w ostatnich latach japoński koncern odchodzi od produkcji odbiorników na rynek konsumencki. Dzisiaj modele tej marki są produkowane w czeskich zakładach w Pilźnie.

10 lat temu telewizory marki Toshiba były produkowane w należącym do tajwańskiej firmy Compal Electronics zakładzie w Kobierzycach/Biskupicach Podgórnych pod Wrocławiem, który zajmował się montażem sprzętu RTV dla różnych marek. Dziś prawa do marki Toshiba w Europie ma turecki koncern Vestel, który produkuje odbiorniki w jednej z największych światowych montowni elektroniki użytkowej w Manisie, więc Toshiba to nie Japonia, lecz Turcja.

Wyzwania przyszłości

Przeciętne gospodarstwo domowe w Niemczech, Francji czy Stanach Zjednoczonych wymienia telewizor na nowy model co siedem lat. W Polsce dzieje się to szybciej, nowe odbiorniki kupujemy średnio co sześć lat.

Przeciętne gospodarstwo domowe w Niemczech, Francji czy USA wymienia telewizor na nowy co siedem lat. W Polsce dzieje się to szybciej.

Zazwyczaj są to telewizory o większej przekątnej. Obecnie popularność zdobywają modele 65-calowe. Ich cena niewiele się różni od ceny mniejszych odbiorników, 55-calowych. Producenci i sprzedawcy przekonują nas, że taki sprzęt powinniśmy sobie fundować częściej, i kuszą najrozmaitszymi nowinkami.

Współczesny telewizor to właściwie komputer z bardzo dużym ekranem. Najpopularniejszym systemem operacyjnym jest Google TV, de facto odśłona dobrze znanemu posiadaczom

smartfonów systemu Android, więc nawet dziecko mające taki telefon jest w stanie sprawnie obsłużyć telewizor.

Wszystkie produkowane dziś odbiorniki są „smart”, czyli mądre albo sprytnie. Mogą być sterowane głosem, można zainstalować na nich dowolną aplikację. Najpopularniejsze są te obsługujące serwisy streamingowe, takie jak Netflix, Amazon Prime, Apple TV

Produkcja telewizorów w Polsce rozpoczęła się w 1955 r. wraz z utworzeniem Warszawskich Zakładów Telewizyjnych.

czy Rakuten TV. Najnowszym trendem jest wykorzystanie przez telewizory sztucznej inteligencji, która m.in. poprawia jakość przesyłanego przez internet obrazu oraz zapewnia dźwięk przestrzenny. Wymaga to jednak coraz bardziej wydajnych procesorów, szybszych układów pamięci i jak najlepszego oprogramowania. Jeden ze znanych chińskich producentów ma w ofercie odbiorniki z nowoczesnymi ekranami wykonanymi w technologii Mini LED, jednak ze względu na niedopracowane oprogramowanie efekt nie jest tak zachwycający, jak mógłby być.

Cały czas trwa też rywalizacja między producentami ekranów. Koreańskie koncerny LG i Samsung starają się udoskonalić technologię OLED, polegającą na wykorzystywaniu diod

elektroluminescencyjnych, z których każda stanowi samodzielne, niezależnie sterowane źródło światła dla pojedynczego subpikselu RGB (czerwonego, zielonego i niebieskiego). Wykonane w tej technologii ekrany oferują wysoką jasność, nawet 100 razy większą niż ekrany OLED, dużą odporność na degradację oraz wyjątkowo wysoki kontrast i żywe kolory.

Warto podkreślić, że w polskich fabrykach koncernów LG Electronics w Mławie i TCL Operations Polska w Żyrardowie produkowane są telewizory wyposażone w te nowoczesne ekrany. W Warszawie pod nazwą TCL Research Europe działa też biuro badawczo-rozwojowe chińskiego koncernu zatrudniające ponad stu inżynierów i naukowców. To największa poza Państwem Środka tego rodzaju placówka. Jej głównym obszarem zainteresowania jest rozwój zaawansowanych technologii sztucznej inteligencji (AI), w tym poprawa jakości obrazu, rozwój funkcji umożliwiających urządzeniom rozumienie i posługiwanie się ludzkimi językami oraz optymalizacja algorytmów AI do bezpośredniego zastosowania w telewizorach (zamiast w chmurze), co poprawia szybkość ich działania. Centrum współpracuje z Wydziałem Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego.

Obok sukcesów są też zagrożenia, z których najistotniejsze to rosnące koszty pracy i wzrost cen energii elektrycznej. A także rozwój nowych technologii produkcji ekranów, postępująca robotyzacja oraz silny trend w tworzeniu coraz doskonalszego oprogramowania, co wymaga ciągłych inwestycji w modernizację linii produkcyjnych.

Kumulacja tych czynników może doprowadzić do tego, że taniej da się produkować telewizory w Ukrainie lub na Bałkanach. A wtedy działające w Polsce fabryki zostaną zamknięte. I skończy się dominacja naszego kraju w produkcji urządzeń RTV w Europie.

Grzegorz Rudnik



Mali ludzie, wielkie zasięgi

Gdy prywatność dziecka staje się rozrywką i sposobem na zarabianie

Weronika Mikusek

Kilkuletnia córka polskiej influencerki relaksuje się na masażu, pomaga mamie w kąpeli i idzie na przekłuwanie uszu. Wszystko to możemy obejrzeć na naszych telefonach. Dziewczynka zdobywa dzięki temu fanów, którzy montują kompilacje swoich ulubionych scen z jej życia. Jeden z filmów zebrał prawie 300 tys. polubień i został zapisany na niemal 30 tys. profili na użytek prywatny.

Piąty najpopularniejszy kanał na platformie YouTube, Vlad and Niki, ukazuje codzienne życie czwórki rodzeństwa w wieku od trzech do 12 lat, mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Kanał śledzą 143 mln użytkowników, a najpopularniejszy film obejrzało... 1,1 mld osób.

Jednak za kolorowymi kadrami kryją się pytania: gdzie przebiega

granica prywatności i jakie zagrożenia płyną z pokazywania dzieci w internecie?

Sharenting kontra parenting

Sharenting, od połączenia angielskich słów *share* (dzielić się) i *parenting* (rodzicielstwo), to zjawisko publikowania wizerunku i momentów z życia dzieci w mediach społecznościowych. Mimo że zyskało zwolenników, coraz częściej podnoszą się głosy krytyczne, że jest to forma naruszania prawa dzieci do prywatności, jak i zbyt wczesne wprowadzenie ich w świat medialnego konsumpcjonizmu. W tym kontekście głośno zrobiło się o Fundacji Dzieci Są z Nami, założonej przez Anielę Woźniakowską, influencerkę znaną pod pseudonimem Lil Masti, a wcześniej występującą w sieci jako SexMasterka i walczącą w federacjach freakfightowych.

Fundacja od początku wzbudzała kontrowersje, głównie ze względu na postać założycielki oraz jej przeszłość zawodową i internetową. W sieci zawrzało po opublikowaniu celów fundacji. Jeden z nich brzmiał: „Stawiamy czoła ruchom, które chcą wyeliminować wizerunek dzieci z internetu”. To zdanie szczególnie zbulwersowało przeciwników sharentingu. Wielu ekspertów zwraca uwagę, że uczynienie priorytetem walki z ochroną prywatności dzieci może oznaczać niebezpieczne przesunięcie granic. To nie krytyka rodzicielstwa, lecz wyraz troski o prawo dziecka do intymności, którego samo jeszcze nie jest w stanie dochodzić.

Chociaż nie udało nam się skontaktować bezpośrednio z Anielą Woźniakowską, zainteresowani mogli zapoznać się z oświadczeniem opublikowanym na jej profilu. Tłumaczy w nim, że powstanie Fundacji Dzieci Są z Nami było odpowiedzią

na poglądy propagowane przez przedstawicieli zawodów zaufania publicznego. Celem jest także promocja obecności dzieci w przestrzeni cyfrowej oraz stworzenie „karty dobrych praktyk”. Intencje mogą wydawać się słuszne, krytycy zwracają jednak uwagę, że cała narracja fundacji zdaje się bardziej bronić prawa rodziców do pokazywania dzieci niż praw samych dzieci.

Co na to rzeczniczka praw dzieciaka? Monika Horna-Cieślak w oficjalnym oświadczeniu odniosła się do

przeciwstawienie się nie tylko ekspertom, ale też obowiązującym normom prawnym i społecznym.

Choć Fundacja Dzieci SĄ z Namu promuje widoczność najmłodszych w przestrzeni cyfrowej jako wyraz normalności i wspólnoty, doświadczenia z ostatnich lat pokazują, że ta obecność może mieć dla dzieci bardzo realne i bolesne konsekwencje.

Tak było w przypadku 10-letniej Sary Małeckiej-Trzaskoś, której rodzice wypromowali córkę na

Historia Sary stała się symbolem sytuacji, w której to dorośli zarządzają wizerunkiem dziecka, decydują o jego obecności w mediach i korzystają z jego aktywności do własnych celów, najczęściej finansowych.

Dziecko to nie przedłużenie dorosłego

Marta Wojtas z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę przypomina, że dzieci często nie rozumieją pojęcia prywatności, dlatego obowiązkiem dorosłych jest wytłumaczenie im, czym ona jest i jaką rolę odgrywa w sieci. „Internet jest przestrzenią publiczną, w której obserwować nas może wiele oczu, i warto podchodzić do niej z rozwagą. Wśród tych obserwatorów mogą być osoby, które mają wobec nas dobre intencje, ale i takie, które mają złe zamiary”, podkreśla ekspertka.

Szczególnie niebezpieczne są sytuacje, w których dziecko latami występuje przed kamerą, nie mając kontroli ani świadomości konsekwencji takiej ekspozycji. Psycholożka dziecięca Marta Bąkowska tłumaczy: „Wizerunek to sposób, w jaki ludzie chcą przedstawiać siebie innym, jak chcą być postrzegani i odbierani. Jeśli dorosły ma nad tym kontrolę, może pokazywać to, co jest dla niego akceptowalne. Zazwyczaj

Monika Horna-Cieślak: Sharenting jest sprzeczny z aktualnym stanem wiedzy o bezpieczeństwie dzieci w środowisku cyfrowym.

wypowiedzi Anieli Woźniakowskiej: „Z niepokojem obserwuję ostatnie doniesienia o popularyzacji sharentingu, czyli upubliczniania treści z udziałem dzieci. Działania te są sprzeczne z aktualnym stanem wiedzy o bezpieczeństwie dzieci w środowisku cyfrowym oraz z kierunkami działań instytucji publicznych”. Rzeczniczka podkreśliła ponadto, że „wizerunek każdego człowieka, a więc również dziecka, jest dobrem osobistym i danymi osobowymi, które w przypadku dzieci należy szczególnie chronić”.

Wolność słowa (nie) dla dzieci

Stanowisko rzeczniczki pozostaje w wyraźnym konflikcie z zawartym w oświadczeniu fundacji stwierdzeniem Anieli Woźniakowskiej, że „nie ma badań naukowych świadczących o negatywnym wpływie sharentingu na rozwój dziecka (są jedynie publikacje)”. W odpowiedzi Monika Horna-Cieślak napisała: „Warto przy tym zwrócić uwagę na dostępne badania przeprowadzone w 2024 r. przez Rzecznika Praw Dziecka, które wskazują, że aż 74% nastolatków uważa publikowanie zdjęć/filmów przedstawiających kogoś bez jego zgody za jedno ze szczególnie szkodliwych zjawisk w internecie”.

W tym kontekście deklaracja fundacji o „stawianiu czoła ruchom, które chcą wyeliminować wizerunek dzieci z internetu” brzmi jak jawne

najmłodszą dziennikarkę sejmową w ramach projektu „Perspektywa Sary”. Rozmowy dziewczynki z sejmowymi politykami na platformach społecznościowych i aktywna promocja konta miały wzbudzić podziw dla dziecięcego zaangażowania. Sytuacja zmieniła się po głośnym incydencie z Jarosławem Kaczyńskim w roli głównej. Prezes PiS, rozmawiając z dziennikarzami, odmówił Sarze odpowiedzi na pytanie, mówiąc: „Wolność słowa nie jest dla dzieci, naprawdę odejdź”.

Choć wielu uznało to za przykład arogancji wobec dziecka, prawdziwa fala hejtu uderzyła nie w polityka, ale

Szczególnie niebezpieczne są sytuacje, gdy dziecko latami występuje przed kamerą bez kontroli i świadomości konsekwencji.

w Sarę. Obiektem krytyki stały się jej sposób mówienia, wygląd, a nawet stan zdrowia – afazja. Ujawniono również, że to rodzice dziewczynki występowali w jej imieniu, tworząc posty i prowadząc jej oficjalne profile. Chociaż zapewniali, że „Perspektywa Sary” jest non profit, filmy na YouTube miały włączoną monetyzację. Sprawą zainteresowały się różne instytucje. Interweniowali posłowie, Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, Komitet Ochrony Praw Dziecka i rzeczniczka praw dziecka. Ostatecznie Kancelaria Sejmu cofnęła Sarze akredytację.

wymaga to wewnętrznej zgody. Jednak gdy nasz wizerunek trafia w cudze ręce, mogą pojawić się napięcia. (...) Nieumiejętne lub świadome i celowe wpływanie na czyjś wizerunek może zaburzać obraz siebie. Zarówno u dziecka, jak i u osoby dorosłej”.

Na skutki praktyk rodziców zwraca uwagę Marta Wojtas: „Dziecko może nie mieć tej świadomości, że nie ma kontroli nad wizerunkiem, i może nie odczuwać konsekwencji tu i teraz. Natomiast za kilka czy kilkanaście lat, kiedy ta osoba stanie się nastolatkiem, a później osobą dorosłą, może się okazać, że to, co opublikowali ▶

► rodzice, stanie się rysą na wizerunku lub powodem do wstydu. Takie materiały mogą tworzyć wizerunek, z którym dana osoba nie chciałaby być utożsamiana. Kiedy materiałów w sieci jest dużo, może być trudno je usunąć”.

Publikacja zdjęć dzieci staje się więc nie tylko aktem rodzicielskiej decyzji, ale też działaniem długofalowym. „Obraz siebie to bardzo złożony proces. W lustrze możemy widzieć się inaczej, niż pokazuje nas kamera. Różnice w postrzeganiu zależą od kąta ujęcia, perspektywy zdjęcia, a także od tego, kto na nas patrzy i jak nas odbiera przez pryzmat emocji, czyli stosunku do nas

zgody na publikację wizerunku moich dzieci w internecie. Nie zgadzam się również na publikację ich przez przedszkole i szkołę, ponieważ uważam, że mają prawo samodzielnie zdecydować, czy, kiedy i na jakich warunkach chcą upublicznić swój wizerunek”.

Poza tym Zofia Sobczak zwraca uwagę na presję wywieraną na najmłodszych influencerów: „Wielu twórców internetowych eksploatuje wizerunek dzieci, dopóki są małe i nie potrafią się sprzeciwić. A gdy zaczynają rozumieć swoją sytuację, po prostu odmawiają dalszego udziału. Widziałam to wielokrotnie”. Dlatego opowiada się za wprowadzeniem

wykorzystywane w sposób trudny do wyobrażenia. Eksperci ds. cyberbezpieczeństwa alarmują, że zdjęcia dzieci publikowane na platformach społecznościowych, TikToku, Instagramie czy YouTube, są masowo zapisywane przez anonimowych użytkowników, wycinane z kontekstu, a potem udostępniane na zamkniętych forach. Właśnie tam pojawiają się deepfake’i, czyli sfabrykowane materiały tworzone na bazie prawdziwych zdjęć i nagrań. Ich ofiary nigdy o tym się nie dowiedzą, a pliki mogą krążyć latami.

W tym roku polska policja zorganizowała międzynarodową akcję „Fever”, w ramach której zatrzymano ponad 160 sprawców przestępstw o charakterze pedofilskim i zabezpieczono ponad 520 tys. plików wideo oraz zdjęć. Dzięki akcji udało się zamknąć serwis z pedofilskimi filmami, na którym zalogowało się prawie 2 mln użytkowników. Działalność platformy obejmowała ponad 90 tys. nagrań.

To nie jest problem marginalny. To ukryty ekosystem zasilany przez pozornie niewinne gesty – zamieszczenie zdjęć z wakacji lub filmików z urodzin.

„Dziś mamy nowe wyzwania, takie jak sztuczna inteligencja, a to tak, jakbyśmy wylądowali na obcej planecie, dopiero ją poznajemy, sprawdzamy, to ciągle nowy i mało poznany grunt. W takiej sytuacji nam wszystkim powinien się uruchomić naturalny instynkt samozachowawczy nakazujący czujność”, ostrzega Marta Bąkowska.

Zagrożenie nie wiąże się wyłącznie z tysiącami nielegalnych użytkowników ukrytych forów. Do opublikowanych materiałów potrafią też dotrzeć rówieśnicy i wykorzystać je do ośmieszania, hejtu czy wykluczania. „W Poradni Dziecko w Sieci (FDDS) spotykamy się z sytuacjami, kiedy na te skutki nie trzeba czekać wiele lat, ale np. tylko kilka. Pojawiają się bowiem zgłoszenia dotyczące nastolatków doświadczających cyberprzemocy w związku z tym, że w sieci zostały znalezione materiały opublikowane przez rodziców. I nadal są one dostępne. Trafiły na nie osoby, które nie miały wobec nastolatka czy nastolatki złych intencji,

Skoro zasięgi mają wymierną wartość, łatwo zapomnieć, że dziecko nie jest strategią marketingową.

i nastroju”, przypomina Marta Bąkowska. Tym bardziej niepokojące jest, że dziecko, które nie ma jeszcze w pełni ukształtowanej tożsamości, od najmłodszych lat jest konfrontowane z własnym wizerunkiem jako produktem medialnym.

Rozsądek a ryzyko

W dyskusji o publikowaniu zdjęć dzieci w internecie pojawiają się nie tylko głosy krytyczne. Dla niektórych rodziców to praktyczne narzędzie komunikacji z bliskimi. Bogdan, ojciec trójki dzieci, mówi: „Mam dużą rodzinę rozrzuconą po całym kraju i trochę za granicą. Nie jestem w stanie obdzwonić każdego z osobna za każdym razem, gdy coś się wydarzy u dzieci. Kiedy wrzucam zdjęcia, wiem, że bliscy widzą, że wszystko u nas w porządku”.

Bogdan przyznaje, że stara się być ostrożny, ale nie widzi w tym większego zagrożenia. „Nie pokazujemy wszystkiego. Staramy się, żeby zdjęcia były zwyczajne, rodzinne, bez krępujących sytuacji. Jeśli chodzi o całą debatę, uważam, że to kwestia rozsądku, a nie zakazów”.

Odmienne zdanie na ten temat ma aktywistka Zofia Sobczak z Fundacji Bezpieczna Polska dla Wszystkich, a prywatnie mama: „Nie wyrażam

regulacji: „Współprace reklamowe z udziałem dzieci w mediach społecznościowych powinny być niezgodne z prawem, a publikowanie ich wizerunku na publicznych profilach bardzo ograniczone. Prywatne konta to inna sprawa, choć i tam ryzyko całkowicie nie znika”. Aktywistka wspomina sytuację, gdy na placu zabaw rozpoznała dziecko, które znała wyłącznie z Instagrama. „Nie śledziłam tego konta regularnie, ale i tak pamiętałam, jak to dziecko wygląda. To dało mi do myślenia”, przyznaje.

Sprzeciw Zofii Sobczak wobec sharentingu wynika nie tylko z osobistej przekonania, ale i z troski o bezpieczeństwo: „Pokazuje się dziecko tysiącom, a czasem nawet setkom tysięcy użytkowników, których intencji nie znamy. Wiemy z danych, że wiele profili z udziałem nieletnich jest obserwowanych przede wszystkim przez dorosłych mężczyzn. Serwisy umożliwiające wymienianie się zdjęciami dzieci pozyskują je z otwartych profili rodziców. W skrócie sami rodzice wystawiają dzieci na wykorzystanie przez pedofilów”.

Zapisane, skopiowane, użyte

Świat internetu jest brutalny. Materiały z udziałem dzieci, zwłaszcza te dostępne publicznie, mogą być

a mimo to użyły ich do ośmieszania i obrażania”, mówi Marta Wojtas.

Deбата pokazuje, że nie chodzi wyłącznie o technologię, to bardziej kwestia relacji dorosłych z dziećmi i o gotowość wzięcia odpowiedzialności. W przeciwnym razie ryzykujemy, że w przyszłości „niewinne wspomnienie” stanie się dla najmłodszych źródłem lęku, wstydu albo cierpienia, a my nie będziemy mogli już tego cofnąć.

Cena prywatności

Według nieoficjalnych danych w Polsce szacunkowe zarobki za post sponsorowany na Instagramie wynoszą nawet 30 tys. zł dla dziecięcych influencerów, których obserwuje od 500 tys. do 1 mln osób. W świecie, w którym zasięgi mają wymierną wartość finansową, łatwo zapomnieć, że dziecko nie jest strategią marketingową.

„Wizerunek aktora kojarzony jest z jego rolami. Ale dziecko, które z wiekiem dowiaduje się, że każdy moment jego życia prywatnego mógł

być oglądany przez wielu ludzi, że jego wizerunek krąży w sieci, być może jest przekazywany i powielany lub wykorzystywany w innym kontekście, że część świata codziennie mogła oglądać relacje z tego, jak dziecko je, śpi, a może jest w toalecie, w przyszłości może doświadczyć wielu emocji, od złości i niezgody po wyuczoną bezradność, pogubienie, zakłócenie

reaktywny. Ogromna ilość informacji sprawia, że ludzie raczej działają, niż myślą i analizują. Rozumiem naturalną potrzebę dzielenia się. To zbliża i daje poczucie przynależności do wspólnoty. Tyle że dziś ta społeczność jest globalna, cyfrowa. Właśnie tu powinniśmy się zatrzymać i zadać sobie pytanie: czy naprawdę chcemy, żeby cała globalna wioska zagląda-

Czy chcemy, żeby cała globalna wioska siedziała z nami przy stole i śledziła każdy nasz krok?

w rozwoju spójnego, prawdziwego ja”, zauważa Marta Bąkowska. I dodaje: „Tu zaczyna się kłopot, bo wielu dorosłych wcale tego wysiłku nie podejmuje, działa bezrefleksyjnie, krótkowzrocznie lub obserwując innych, bo »przecież też tak robią«”.

Właśnie ta bezrefleksyjność, podsztyta normalizacją i akceptacją społeczną, sprawia, że granice prywatności są przekraczane.

„Mam wrażenie, że dzisiejszy, bardzo dynamiczny świat jest silnie

ła nam przez okna, siedziała z nami przy stole i śledziła nasz każdy krok? – podsumowuje stan współczesnego świata i miejsce dziecka w cyfrowej rzeczywistości Marta Bąkowska. – Ekran to tylko pozorna granica, pozorna kontrola oraz iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa. Że inni są blisko, gdy coś udostępniamy, i znikają, gdy wyłączamy telefon. Taki mamy świat, ale to nie zwalnia z odpowiedzialności za dziecko”.

Weronika Mikusek





Nad morzem, wiadomo, najważniejsza jest plaża. Ludzie taszczą stały ekwipunek: ręczniki, koce, namioty, całe decathlony.

Wakacje nad polskim morzem

Klimat, jakiego nie ma nigdzie indziej

Anna Wyrwik

Wakacje nad morzem parkami rozrywki stoją – wiemy już ileś kilometrów wcześniej z przydrożnych billboardów, reklamujących rodzinne parki rozrywki. Nad morzem rodzina może iść do rodzinnego parku rozrywki Czarnogrody, do Parku Ewolucji, do dmuchanej Funlandii, do Megalandii albo do „Labiryntu w polu kukurydzy”. Rodzina, park, rozrywka. Rodzinnie nad morze ciągnie sznur samochodów na blachach z całej Polski, by znaleźć się w innym wymiarze.

Wracają, bo znają

W takiej, dajmy na to, Jastrzębiej Górze mieszka około tysiąca osób. W wakacje zaś tysiące ludzi chodzą ulicami miasteczka między kolejnymi lodziarniami, barami i restauracjami. Jest kiermasz militarny, są hale z ubraniami polskich marek o zagranicznych nazwach i wielkie namioty z tysiącem drobniaków z Chin. W sklepach można kupić magnesy, breloczki, biżuterię

z roślin i piasku, dmuchane i plastikowe zabawki do wody, koszulki i czapki. Cała ta architektura jest z blachy, plastiku, jakby wzniesiona została w jeden dzień.

„Przy promenadzie otrzesz się o wielki świat”, słychać z głośnika przed wejściem do Muzeum Figur Woskowych. „Postaci ze świata filmu, muzyki, sportu i polityki oraz cała plejada postaci ze znanych bajek”, wymienia głos i kontynuuje: „Zdjęcie

i wrzuca, bo to wakacje nad morzem. – Chodź, bo nam słonko za chwilę ucieknie – mówi w końcu i ruszają na plażę.

Ja też ruszam dalej, przysłuchując się rozmowom. Temat numer jeden: pieniądze.

– Ja cały rok oszczędzam, ale tutaj to już bez przesady! – mówi koleżanka do koleżanki.

Pieniądże w trybie wakacyjnym liczy się inaczej. Danie dnia za 37 zł,

Morze stawia na rozmiary. We Władysławowie jest „Największa motylarnia”, w Jastrzębiej Górze „Największy na północy wybór magnesów”.

z Ronaldo czy Messim? Bezcenne. Fotka ze słynnym Jamesem Bondem albo Forrestem Gumpem? Ekstra! „Bruce Lee i Sylvester Stallone czekają na ciebie”. W muzeum „staniesz obok Putina i Obamy”.

Dziecko siedzi w ciemnozielonym helikopterku, który się giba po wrzuceniu monety. Gdy się zatrzymuje, dziecko płacze, więc mama wrzuca

zapienką za 35 zł, piwo za 22 zł. Hotel za 300 zł, hotel za 3 tys. zł, hotel za 30 tys. zł.

– I tak nigdy nie będzie cię na to stać – mówi ona do niego. I dorzuca: – A niech ma! Zarobił, to niech jedzie i tyle. A może my mimo wszystko jesteśmy bardziej szczęśliwi?

Pytanie wisi w powietrzu jak zapach morskiej soli.

– Ceny nad polskim morzem są wysokie. Wystarczy dotożyć kilka set złotych i można pojechać do Włoch – mówi Matylda, która pracuje w sklepie Dobre Miejsce w Jastrzębiej Górze. Jej rodzice sprzedają tu od lat pamiątki z całego świata. – Jednak nad polskim morzem jest klimat, jakiego nie ma nigdzie indziej. Może dlatego ludzie co roku tu przyjeżdżają i wracają często nawet w to samo miejsce.

Ale na ceny zwracają uwagę, Matylda potwierdza: – Milion razy dziennie słyszę, że za drogo i w internecie będzie taniej. Próbuje się targować nawet o pierścionek za 10 zł. Nie wiem, skąd ta kultura targowania się nad morzem. Przecież gdy idziesz do spożywczego, to się nie targujesz.

Matylda podkreśla, że nie wszyscy kupują tylko plastikowe pamiątki made in China, bo coraz więcej osób stawia na oryginalność i upewnia się, czy aby na pewno te hand made nie są z Chin. Wchodzą z ciekawości i oglądają rzeczy, a ci bardziej religijni obruszają się przy łapaczach snów.

– Co ważne, już nie przychodzą boso i w strojach kąpielowych, ociekając wodą – podsumowuje Matylda.

Jest ruch

Nad morzem, wiadomo, najważniejsza jest plaża. Czy to Jastrzębia Góra, czy Lubiawo, Łeba czy Rowy, wszędzie od rana tłumy idą w stronę plaży. Taszczą stały ekwipunek: ręczniki, koce, namioty, całe decathlony, maty, leżaki, torby w pasy, piłki, dmuchane zabawki i czasem legendarne parawany. Są też kosze plażowe, jak te z dawnych czasów, taki powrót do tradycji.

Chodzę po piasku, przysłuchując się rozmowom. Temat numer dwa: pogoda.

– Dla mnie to ona nie za bardzo – mówi kolega do kolegi.

Gdy ja jestem nad morzem, upałów nie ma, o czym kolejni wczasowicze informują przez telefony, bo nad morzem dziennie można usłyszeć wiele rozmów telefonicznych o pogodzie. Tak to się toczy, gdy jeżdżę po wybrzeżu, mijając kolejne poniemieckie wsie i miasteczka, plaże i kolejne rodziny.

„Szczęść Boże nad morzem”, głosi plakat powieszony na kościele. „Poczuj smak i duszę regionu” – to z kolei napis nad dmuchanymi zabawkami do wody i ciuchcią za monety. Pluszowe foki i rekiny, muszle, bursztyny, stoiska z kolorowymi włosami, wakacyjne tatuaże, automaty do gier, Basketball King, księgarnie.

– Jest ruch – zapewnia Nel, która pracuje w księgarni w Jarosławcu. Mówi, że najczęściej ludzie kupują romanse i kryminały. Na półkach można znaleźć też wiele książek dla dzieci, przewodników, książek kucharskich, ale i powieści Kurta Vonneguta czy Michela Houellebecqa.

– Ludzie przyjeżdżają nad morze, by odpocząć, ale często wybierają zatłoczone miejsca – zauważa Nel. – Czasem śpią w domkach ściana w ścianę z innymi. Niby nie mają tu pracy i presji, ale bywają spięci, szczególnie rano, gdy idą na plażę. Potem atmosfera jest luźniejsza. Są na wakacjach, jednak nie znaczy to, że nie mają swego rytmu dnia, tyle że wakacyjnego.

Tylko uważaj na ryby

Polskie morze to inny wymiar, miejsce jakby poza czasem. Inny stan świadomości. Wakacje jako przerwa



Klasyczny asortyment nadmorskich sklepów.

– Myślę, że tak na oko połowa ludzi, którzy przechodzą ulicą, zachodzi do księgarni – kontynuuje Nel. – Nawet jeśli nie kupują, to oglądają. Reszta idzie na lody po przeciwnej stronie. Ceny rosną, ale kolejka jest tam zawsze taka sama.

W tym roku największe kolejki są po letnie hity, czyli już nie gęsi, lecz pluszowe kapibary, maskotki inspirowane internetowymi „brainrotami” oraz hit hitów, czyli Labubu. Jeśli jeszcze ktoś nie nadział się w mediach na tę nazwę, pędzę z wyjaśnieniem: to figurki i maskotki z serii „The Monsters”, stworzone przez hongkońskiego artystę nazwiskiem Kasing Lung. Oryginalne potrafią kosztować nawet 3 tys. zł. Nad morzem wystarczy na koncie kilkadziesiąt złotych.

w życiu. Inne ubrania, rzeczy i sprzęty wyciągnięte z głębin pawlaczy, inne fryzury, inne zachowania. Mijam mężczyznę w koszulce z napisem „Weekend” i „Turn” oraz symbolem przetłacznika z off na on. Tak, holiday – turn on. Czas robienia tego, czego się nie robi na co dzień.

W nadmorskiej gastronomii globalizację widać chyba najwyraźniej. Już nie tylko lody, gofry i pizza, już nie tylko kaszubskie przysmaki i góralskie serki, nie tylko hamburgery, ale i kebaby – setki kebabów, kebab na kebabie, „Kebab Kebson” i „Kaszebe Kebab”. Jest turecka chatwa, gruzińska piekarnia i tajskie lody.

Mimo to można odnieść wrażenie, że polscy wczasowicze kulinarnie najlepiej czują się w domu, dlatego wciąż królują restauracje ze słowami ▶

Wakacje nad morzem parkami rozrywki stoją.



„tradycja”, „u mamy”, a przede wszystkim „domowa” w nazwie. Kotlet schabowy lub miętus, ziemniaczki opiekane, surówka, a na pierwsze zupa pomidorowa albo rosół – to głoszą przydrożne tablice-stojaki. Największe branie mają punkty z zestawami obiadowymi za konkretną cenę.

– Tylko uważaj na ryby – mówi sąsiad przy śniadaniu, gdy pytam, gdzie się dobrze zjeść. – Cena jest podana za 100 g. Zamówisz i nagle dostajesz nie wiadomo jak wysoki rachunek!

Z opinii internetowych można przeczytać, że liczy się też ilość. „Super mega ogromne porcje nie do przejedzenia”, „Porcje naprawdę mega”, „Przepyszne i spore porcje”.

Morze w ogóle stawia na rozmiary. We Władysławowie jest „Największa motylarnia w Polsce”, w Jastrzębiej Górze „Największy na północy wybór magnesów”, w Rowach „biją rekord”, bo tam jest „najdłuższa frytka w Polsce”, mierząca 80 cm, a „największe pizze” są w kilku miejscowościach. Za te wszystkie „największe” trzeba zapłacić i tu wracamy do tematu numer jeden.

– Ludzie coraz rzadziej stołują się w restauracjach, dlatego oblegane są nadmorskie markety. Turyści bywają skąpi. Przyjeżdżają nad morze raz na rok i skupiają się na tym, by przeżyć jak najtaniej – opowiada Hubert. – Jest medialna nagonka na ceny nad morzem, ale przecież ceny wszędzie rosną. Ludzie przyzwyczaili się do tych sprzed lat i nawet o jazdę meleksem za 9 zł się targują.

Hubert pochodzi z okolicy i mówi, że poza sezonem nic tu się nie dzieje. Nie ma sklepów, barów, restauracji, waty cukrowej. Cała ta blaszano-plastikowa infrastruktura po sezonie zostaje zwinięta i wyrzucona. Za rok postawiona zostanie nowa. Bo to wszystko wygląda tu na nowe.

Zatem poza sezonem nic się nie dzieje, a w sezonie Hubert jeździ po Jastrzębiej Górze meleksem i wozi

Wczasowicze kulinarnie najlepiej czują się w domu, dlatego wciąż królują restauracje ze słowami „tradycja” i „domowa”.

wczasowiczów. Jest jednym z wielu tysięcy ludzi, dzięki którym to wszystko codziennie się kręci. Pracownicy sezonowi. To na nich opiera się funkcjonowanie polskiego morza w trybie wakacyjnym. Kelnerzy i barmanki, sprzedawcy, ratowniczy, osoby sprzątające, trenerzy, instruktorki. Bez końca można wymieniać ludzi, dzięki którym 2 mln urlopowiczów (tytuł według GUS było nad polskim morzem w 2024 r.) ma co, gdzie i jak robić.

A wczasowicze? Polska średnia. Czasem wolą market, jak mówi Hubert, czasem się awanturują, wielu podczas wakacji wyrzuca z siebie frustracje zbierane przez cały rok. Poza tym to wymiana uśmiechów, radość ze słońca, dobra była ryba i serio, te historie o skarpetkach w klapkach, pijanych o nagich torsach czy o tym, co 500+ robi na wydmach, to dawno i nieprawda.

Posłuchajmy trochę

Wieczorem ludzie chodzą już zrelaksowani, lekko zmęczeni po całym dniu. Idą wzdłuż plaży, z butami w dłoni, patrząc na zachód słońca. W Jarosławcu też tak chodzą po największej sztucznej plaży w Europie, która ma 5 ha i nazywa się Dubaj. Niedaleko jest kebab Dubaj, w środku miasteczka krzyż, z którego Jezus patrzy na wakacyjne cuda, „have a nice shopping”, „geniessen sie ihren einkauf”, można sobie zrobić kubek albo widokówkę z własnym zdjęciem.

We wszystkich nadmorskich miejscowościach można. I we wszystkich wieczorami ludzie schodzą z plaży i korzystają z cudów. Na ulicach iluzjoniści robią sztuczki, muzycy grają na gitarach i śpiewają „Zawsze tam, gdzie ty”, Peruwiańczycy malują obrazy przy dźwiękach jak do medytacji, a kolejni uczestnicy „Mam talent” pokazują, co potrafią. Wczasowicze stoją i patrzą, bo nigdzie im się nie śpieszy. Ludzie siedzą na balkonach. Na balustradach suszą się ręczniki, na stołach grzeją butelki z pepsi i whisky. Inni siadają na hokerach przy barach

i zamawiają drinki o nieznanych smakach.

– Posłuchajmy trochę – mówi dziewczyna i idzie w kierunku placu.

Idę za nią, za nimi, za tłumem. Na placu jest scena, gra zespół. A wokół ludzie w wieku od miesiąca do 80+. „Hej szalata, szalata”. Pod sceną dzieci skaczą, a dorośli siedzą na murkach z puszkami piwa, nogi już lekko podrygują, głowy chodzą, pierwsze ruchy biodrami, zew wolności. „Ale jo nie bede, ale jo nie bede”. Mnie się podoba. Bo tutaj jest właśnie taka zwyczajna Polska. Betonowy plac, a dalej morze, zachód słońca, billboard z reklamą strzelnicy rekreacyjnej, pieski, wózki, kolorowe warkoczki.

– Czym się martwisz? – słyszę, jak za mną ona pyta jego.

– W poniedziałek znowu do pracy...

Anna Wyrwik

Z Galicji



Jan Widacki

Polska bez Dudy

Dnia 6 sierpnia 2025 r., w rocznicę wymarszu z krakowskich Oleandrów 1. Kompanii Kadrowej, Andrzej Duda wymaszerował z Pałacu Prezydenckiego. Jeden i drugi wymarsz był historyczny. O ile jednak pierwsza kadrowa swoim wymarszem rozpoczęła nowy rozdział historii Polski, o tyle wymarsz Dudy z Pałacu Prezydenckiego zamknął trwającą 10 lat żalosną prezydenturę. Prezydenturę niszczącą państwo i jego system prawny, dzielącą społeczeństwo na dwa wrogie obozy, łamiącą konstytucję, na straży której Duda ślubował stać i jeszcze w tym celu wzywał Pana Boga do pomocy. Ale Pan Bóg wezwania nie posłuchał.

Do historii przejdą liczne memy, których Andrzej Duda był bohaterem, zestaw min (coś z pogranicza Mussoliniego i Maliniaka) oraz głupawe powiedzonka, naprawdę nieprzystojące głowie państwa. Ot, choćby pierwsze z brzegu o „ojczyźnie dojrzałej”, o Unii Europejskiej jako „wymagowanej wspólnoty”, o LGBT, że „to nie ludzie, to ideologia”.

Największą pretensję do Andrzeja Dudy mam o to, że nie pozwolił mi na szacunek dla głowy państwa. O to, że ośmieszył urząd prezydenta RP, ten urząd, który powinien wyrażać majestat Rzeczypospolitej, 10 latami prezydentury rozpoczętej od nocnego mianowania sędziów dublerów do Trybunału Konstytucyjnego, od ułaskawienia nieskazanych jeszcze prawomocnie Kamińskiego i Wąsika, a zakończonej ułaskawieniem nacjonalisty, nieroba i awanturnika Bąkiewicza i odznaczeniem w Pałacu Prezydenckim Złotym Krzyżem Zasługi Magdaleny Ogórek, a gdzieś ukradkiem w Krakowie (podobno w jakimś banku przy kantorku?) Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski Jacka Majchrowskiego.

Aby nie było wątpliwości, Jackowi Majchrowskiemu, najdłużej w historii sprawującemu urząd prezydenta Krakowa, order ten niewątpliwie się należał. Nadziwić się jednak nie mogę, że ten order od Dudy Jacek Majchrowski przyjął, i to w takich okolicznościach. Przez całe lata wielu ludzi odmawiało przyjęcia orderów od tego akurat prezydenta. Majchrowski takich wątpliwości nie miał. Oczywiście to jego wybór i jego sprawa. Zawsze twierdziłem, że należy mu się w Krakowie pomnik. Nadal tak twierdzę, ale po tym ostatnim wydarzeniu to chyba należy się trochę mniejszy i w jakiejś bocznej ulicy.

W Krakowie ludzie zastanawiają się nie tylko, dlaczego Majchrowski od Dudy na koniec jego kadencji ten order

przyjął, ale bardziej dlaczego Duda w ostatnich dniach swojej kadencji ten order nadał. Były do tego o wiele lepsze okazje, choćby na zakończenie sprawowania przez Majchrowskiego urzędu prezydenta miasta Krakowa. Dopiero tydzień przed zakończeniem kadencji Duda o Majchrowskim i jego zasługach sobie przypomniał? Wśród domysłów i plotek przeważa ta, że Duda przypomniał sobie, że musi wrócić do Krakowa, i chciał tym gestem wobec Majchrowskiego podliznąć się tutejszym środowiskom. Złośliwi twierdzą, że nie mogąc z wielu względów wrócić na Uniwersytet Jagielloński, szukał posady na Uniwersytecie Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Nie wiedział, że Majchrowski już ten uniwersytet razem z pracownikami sprzedał innemu właścicielowi? No chyba niemożliwe. Czy tym wątpliwym gestem wobec Majchrowskiego poprawił sobie notowania w środowisku krakowskim? Też wątpię. Majchrowski na tym stracił, a Duda nic raczej nie zyskał.

Największą pretensję do Andrzeja Dudy mam o to, że nie pozwolił mi na szacunek dla głowy państwa.

Dziś (a piszę te słowa wieczorem 6 sierpnia) w Pałacu Prezydenckim jest już nowy lokator. Karol Nawrocki. Choć na razie, na czas remontu pałacu, ma zamieszkać skromnie (jak Piłsudski) w Belwederze. Zgodnie z bliską mi doktryną przeszłość Nawrockiego „odkreślam grubą linią” (jak wolą niektórzy, „grubą kreską”). Niech tak będzie. Tak zadecydował naród w demokratycznych wyborach. Oceniać Nawrockiego będziemy jako prezydenta po tym, jak będzie sprawował ten urząd. Nic, a już szczególnie jego przemówienie wygłoszone przed Zgromadzeniem Narodowym, nie wskazuje jednak na to, by miał on przywrócić blask urzędowi prezydenta Rzeczypospolitej. Urzędowi, którego godność skutecznie umniejszył i który ośmieszył Andrzej Duda. Jedyne chyba, czego można się spodziewać, to to, że nie będzie chodził na pasku Jarosława Kaczyńskiego, tylko będzie rozgrywał między PiS a Konfederacją. A Jarosław Kaczyński z „prezesa państwa” stanie się na równi ze Sławomirem Mentzenem pententem Nawrockiego. I dobrze mu tak. Ale Polsce niczego dobrego to nie wróży.

Bohdan Piętko

Azowiec na czele Ukraińskiego IPN

Żaden poprzednik Ałfiorowa nie wypowiadał się tak o Hitlerze

Józef Stalin twierdził, że walka klasowa zaostrza się w miarę postępów budowy socjalizmu. Uparcie przychodzi mi to na myśl w związku ze współczesną Ukrainą, gdzie w miarę postępów budowy nowoczesnego europejskiego państwa (słyszemy przecież, że Ukraina ma skorzystać ze „skróconej” drogi wejścia do UE) zaostrza się radykalnie nacjonalistyczna polityka historyczna. Ta polityka opiera się na permanentnym kłamstwie, ponieważ stanowiąca jej istotę gloryfikacja OUN/UPA i ukraińskiej dywizji SS „Galizien” nie jest możliwa bez zaprzeczania ich zbrodniom.

Proces zastraszania nacjonalistycznej polityki historycznej Ukrainy postępuje od 2014 r. i należy przypuszczać, że nadal będzie się zaostrzał, ponieważ na czele Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej (UINP) stanął właśnie człowiek wywodzący się z jawnie neofaszystowskiego ruchu politycznego.

Na czele UINP stanął właśnie człowiek wywodzący się z jawnie neofaszystowskiego ruchu politycznego.

27 czerwca br. Rada Ministrów Ukrainy powołała na stanowisko szefa UINP Ołeksandra Ałfiorowa (ur. w 1983 r.), historyka, dziennikarza (m.in. prowadził program „Freski historyczne” w ukraińskim Radiu Kultura) oraz majora rezerwy. Od 2010 r. Ałfiorow pracował w Instytucie Historii Ukrainy Narodowej Akademii Nauk. W dorobku ma 15 książek oraz ponad 100 artykułów naukowych. Głównie mitologizujących historię Rusi Kijowskiej, Kozaczyzny i Ukrainy w duchu nacjonalistycznym.

Po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji w 2022 r. Ałfiorow wstąpił do Sił Operacji Specjalnych „Azow-Kijów”. Służył w 3. Samodzielnej Brygadzie Szturmowej, wywodzącej się bezpośrednio ze wzbudzającego kontrowersje pułku „Azow”, jako „oficer odpowiedzialny za przygotowanie humanitarne i zabezpieczenie informacyjne w ramach zespołu wsparcia psychologicznego personelu”. Czyli

prawdopodobnie był kimś w rodzaju oficera politycznego. Równocześnie – jak pisał portal Kresy.pl – „kierował grupą ekspercką ds. derusyfikacji w Kijowie”. Derusyfikacji, czyli zmiany nazw ulic i demontażu symboliki kojarzonej z Rosją i ZSRR. U nas to się nazywa dekomunizacja.

Trzeba wyjaśnić, czym był i jest tzw. ruch azowski. To formacja polityczna wywodząca się z batalionu „Azow”, który od maja 2014 r. walczył z separatystami rosyjskimi w Donbasie.

We wrześniu 2014 r. batalion został przekształcony w pułk o tej samej nazwie, a w czerwcu 2015 r. w brygadę, która od stycznia 2023 r. jest brygadą szturmową. Pułk „Azow” stał się zaczynem tzw. ruchu azowskiego, w skład którego oprócz samej jednostki weszły organizacje polityczne, wspierające jej działalność i kształtujące jej doktrynę. Doktrynę otwarcie faszystowską, zarówno w symbolice (nawiązanie do emblematu Wolfsangel), jak i w treści. Pierwszym dowódcą pułku „Azow” był Andrij Bilecki, który następnie został deputowanym do parlamentu ukraińskiego i liderem funkcjonującej w ramach ruchu azowskiego partii Korpus Narodowy.

Przez swoich zwolenników Bilecki był nazywany „białym wodzem”. Urodził się w 1979 r. w Charkowie, a do polityki wszedł jako lider legalnej, zarejestrowanej w 2006 r. przez sąd w Charkowie, neonazistowskiej organizacji Patriot Ukrainy.

Ta organizacja wybrała jako swój symbol emblemat 2. Dywizji Pancerniej Waffen-SS „Das Reich” i 34. Dywizji Grenadierów Waffen-SS „Landstorm Nederland”, czyli Wolfsangel (wilczy hak). Symbol ten przejęty został przez batalion i pułk „Azow” oraz ruch azowski.

Patriot Ukrainy był częścią Prawego Sektora, który odegrał kluczową rolę w zorganizowaniu i przeprowadzeniu przewrotu politycznego w Kijowie w 2014 r. (drugiego Majdanu). W skład Prawego Sektora wchodziły ponadto – co warto przypomnieć – takie skrajnie nacjonalistyczne siły jak Wszechukraińska Organizacja „Tryzub” im. Stepana Bandery, Biały Młot, UNA-UNSO i ultrasi Dynama Kijów. Patriot Ukrainy poprzedzał Prawy Sektor organizacyjnie i ideologicznie.

Misja i władza

BBC opisała Bileckiego w 2014 r. jako zwolennika białej supremacji. Znacznie dalej poszedł ukraiński socjolog Wołodymyr Iszczenko, który stwierdził, że Bilecki jest „faktycznym neonazistą”. Od tego czasu zaczęło się jednak na Zachodzie ocieplanie wizerunku pułku „Azow” i ruchu azowskiego. W 2018 r. „The Guardian” poinformował, że Bilecki „w ostatnich latach stonował retorykę”. Jednak w tym samym artykule przytoczono wypowiedź Bileckiego z 2010 r.: „Misją Ukrainy jest poprowadzenie białych ras świata w ostatecznej krucjacie przeciwko dowodzonemu przez Semitów Untermenschen (podludziom)”. W 2021 r. przywódczyni politycznego skrzydła „Azowa” Ołena Semenyaka

powiedziała, że celem ruchu azowskiego jest „stworzenie sojuszu skrajnie prawicowych ugrupowań na całym Zachodzie z ostatecznym celem przejęcia władzy w Europie”.

Wiele dla ocieplenia wizerunku ruchu azowskiego, czyli negacji jego faszystowskiego charakteru, zrobiły też polskie media głównego nurtu. Schemat był zawsze ten sam: może jest coś na rzeczy z tym faszyzmem, ale oni przecież walczą z Rosją i to jest tylko przeciw Rosji. Możliwe, że Biłocki zrewanżował się, podpisując list do radnych Lwowa z lutego 2016 r., zainicjowany przez środowisko polskiego skrajnie prawicowego miesięcznika „Szturm”. W liście tym apelowano o ochronę polskiego dziedzictwa historycznego i zaprzestanie prowokowania przez lwowskich nacjonalistów konfliktów z Polską. Nie przyniosło to żadnego wymiernego rezultatu, jednakże podpisanie listu przez Biłockiego wywołało ogromny entuzjazm w całym obozie proukraińskim w Polsce. Od razu obwołano „białego wodza” wielkim przyjacielem Polski.

Faszystowski wizerunek ruchu azowskiego i jego pierwszego lidera negował przed zachodnimi mediami również Ołeksandr Ałfiorow, rzecznik prasowy Biłockiego, który z czasem wyrósł na jednego z liderów ruchu azowskiego. Według Ałfiorowa Biłocki miał przejść ewolucję do bardziej umiarkowanego nacjonalizmu, a dotyczy to też całości ruchu azowskiego. Fakty jednak temu przeczą.

W sierpniu 2023 r. 3. Samodzielna Brygada Szturmowa, sformowana na bazie pułku „Azow”, udekorowała swoich żołnierzy własnymi odznaczeniami, wzorowanymi na emblemacie 36. Dywizji Grenadierów Waffen-SS „Dirlewanger” – jednostki złożonej z kryminalistów, która pacyfikowała najpierw białoruskie wsie, a potem warszawską Wolę podczas powstania w stolicy. Chodzi o dwa białe skrzyżowane granaty na czarnym tle – azowcy dodali do nich na środku trzeci granat. Emblemat dywizji



Rada Ministrów Ukrainy powołała na stanowisko szefa UINP Ołeksandra Ałfiorowa, historyka, dziennikarza oraz majora rezerwy.

„Dirlewanger” jest od dawna używany w środowiskach neonazistowskich na całym świecie.

Godłem brygady – tak jak wcześniej pułku i batalionu „Azow” – jest symbol określany przez azowców jako „Idea Nacji”. Znak ten powstał w rezultacie przetworzenia nazistowskiego symbolu Wolfsangel i jest do niego łudząco podobny. Ukraińska historyczka Marta Hawryszko zwróciła uwagę, że Ałfiorow w przeszłości gloryfikował ukraińską

W Ukrainie zaostrza się radykalnie nacjonalistyczna polityka historyczna, która opiera się na permanentnym kłamstwie.

ochotniczą dywizję Waffen-SS „Galizien” i gdy służył w 3. Brygadzie Szturmowej, jeden z jej pododdziałów zaczął używać zmodyfikowanej symboliki opartej na emblemacie dywizji „Dirlewanger”.

W 2023 r. Ałfiorow wypowiedział się na antenie Radia Hromadske na temat skandalu z uczczeniem weterana dywizji „Galizien” w kanadyjskim parlamencie. Relatywizował problem i otwarcie bronił formacji Waffen-SS. Sugerował, że nikomu poza Ukraińcami nie wypomina się służby w Waffen-SS, a przypominanie kolaboracji

z hitlerowcami jest ponoć rosyjską propagandą.

„Istniał silny radziecki mit o zbrodniarzach z SS. (...) Kwestia kolaboracji nie była poruszana na świecie od bardzo dawna. Podnosi ją tylko jeden kraj, Federacja Rosyjska. To manipulacja polityczna, jeden z elementów wojny”, powiedział Ałfiorow i dodał: „Musimy mówić o sobie, rozpowszechniać nasze idee. Ale nadal nie rozpoznaliśmy swojego stanowiska w kraju, nie tylko wobec członków dywizji [„Galizien”], ale także wobec UPA. Nie mamy twardego wewnętrznego stanowiska, więc nie możemy niczego przekazywać jako kod. A na świecie wszyscy już to mają, więc jesteśmy stale bici”.

Z empatią o Hitlerze

Ktoś może uznać, że nie ma nic sensacyjnego w gloryfikowaniu przez Ałfiorowa dywizji „Galizien” i UPA. Przecież jego dwaj poprzednicy Wołodymyr Wjatrowycz i Anton Drobowycz robili to samo. Żaden z nich jednak nie wypowiadał się z empatią o Hitlerze i to jest właśnie nowość w wypadku ich następcy.

Na początku lipca br. Ałfiorow powiedział w wywiadzie internetowym,

że Rosjan nie można porównywać do Niemców z okresu III Rzeszy, ponieważ Niemcy są narodem o wysokiej kulturze, natomiast Rosjanie są gorsi od orków i bardziej podobni do goblinów (postaci z brytyjskiej literatury fantazy, będących uosobieniem zła). Porównując nazistowskie Niemcy ze współczesną Rosją, zasugerował, że Rosja jest o wiele gorsza. Zdaniem Ałfiorowa nie można też porównywać Putina z Hitlerem, ponieważ Hitler został wychowany na niemieckiej filozofii i dzięki temu był kimś lepszym. ▶

► Nowy szef UINP mówił: „Jak można porównywać człowieka, który miał niemiecką oświatę, który był artystą, został wychowany na niemieckiej filozofii i właśnie wysokiej kulturze niemieckiej, z tym ch... [Putinem]. Jak można porównywać naród niemiecki, który jest wychowany na prawie, na posłuszeństwie, z etyką protestancką albo katolicką, ale chrześcijańską, z narodem, który żyje tam, na wschodzie, z tymi goblinami”.

Gdyby ktoś powiedział coś takiego pod adresem Ukrainy, podniósłby się wielki krzyk w zachodnich i polskich mediach. Ale ta mowa nienawiści jest przeciw Rosji, więc nawet jeśli w zachodnich i polskich mediach tego się nie pochwała (bo w tym wypadku

Nominacja Ałfiorowa na szefa UINP nie wzbudziła żadnych reakcji w świecie zachodnim. W Polsce spotkała się z jedną reakcją, i to pozytywną. Zadowolenie wyraził dr Łukasz Adamski, wicedyrektor Centrum Dialogu im. Juliusza Mieroszewskiego oraz analityk ds. Ukrainy i spraw międzynarodowych. Według Adamskiego nowy szef UINP jest zwolennikiem współpracy polsko-ukraińskiej i znanym popularyzatorem historii (o wydźwięku skrajnie antyrosyjskim, czego wicedyrektor centrum nie dodał, ale co chyba mu imponuje). Przekonanie Adamskiego o tym, że Ałfiorow jest zwolennikiem współpracy polsko-ukraińskiej, wynika prawdopodobnie z opinii, jaką polski

Polskiego Radia wywiad z Aleksiejem „Kołowratem” Kożemjakinem, znanym również jako „Barsik”. To rosyjski neonazista walczący w szeregach „Azowa”. Na stronie Polskiego Radia przedstawiono go jako żołnierza „Azowa”, a tematem wywiadu był jego szlak bojowy. Nie podano informacji, z jakimi poglądami i ideologią identyfikuje się rozmówca ani dlaczego opuścił Federację Rosyjską.

Wspomniana Marta Hawryszko jako jedyna zwróciła uwagę na tę kontrowersyjną rozmowę i podała przemilczane przez Polskie Radio informacje o tatuażach ze swastyką zdobiących łysą głowę Kożemjakina oraz o jego przeszłości kryminalnej. Musiał on uciekać z Rosji, ponieważ został tam skazany za przestępstwo z nienawiści. Pod koniec stycznia 2007 r. rosyjski sąd w Syktywkarze skazał 20-letniego Kożemjakina na siedem lat pozbawienia wolności za napaść na obywateli Azerbejdżanu, której dokonał w sierpniu 2005 r. jako członek grupy skinheadów. Ponadto Marta Hawryszko zwróciła uwagę, że Kożemjakin był współtwórcą wystawy 3. Brygady Szturmowej, zatytułowanej „W burzy stali”, która gloryfikowała dywizję Waffen-SS „Galizien”. Skoro on był współtwórcą, to głównym autorem wystawy musiał być oficer polityczny brygady, czyli obecny szef UINP.

Przytoczona na wstępie teza Stalina o zaostrzaniu się walki klasowej w miarę postępów budowy socjalizmu służyła do uzasadniania terroru. Odpowiedź na pytanie, czemu służy i do czego doprowadzi radykalnie nacjonalistyczna polityka historyczna Ukrainy, sterowana przez takich ludzi jak Ałfiorow, a w przeszłości Wjatrowycz, pozostawiam czytelnikom, a zwłaszcza polskim politykom. Z pewnością jednak nie doprowadzi do zbudowania w Ukrainie nowoczesnego, niepodległego i demokratycznego państwa.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że politycy polscy i zachodni są tego świadomi, ale dla nich liczy się wyłącznie szkodenie Rosji. Szkód dla Ukrainy, Polski i Zachodu dyskretnie nie zauważają.

Bohdan Piętka

Wiele dla ocieplenia wizerunku ruchu azowskiego, czyli negacji jego faszystowskiego charakteru, zrobiły polskie media głównego nurtu.

nie da się ze względu na pozytywne odniesienia do Hitlera), to wyrozumiałe się przemilcza.

W kolejnym wywiadzie z lipca br. Ałfiorow zajął się granicami Ukrainy z lat 1918-1919. Powołał się na mapy tworzone podczas I wojny światowej przez europejskich (konkretnie niemieckich) kartografów i na tej podstawie wyciągnął wniosek, że Ukraina mogła obejmować 800 tys. km kw. w 1918 r., czyli jej terytorium mogło być o 200 tys. km kw. większe niż to, z którym opuściła w 1991 r. Związek Radziecki.

„To Europejczycy modelowali, jak mogłaby wyglądać Ukraina – to nie moje słowa”, stwierdził. Następnie wymieniał terytoria, które mogły należeć do Ukrainy po I wojnie światowej: Słobożańszczyznę, Kubań, Krym, część dzisiejszego Naddniestrza, a także Chełmszczyznę i Podlasie oraz część obwodu briańskiego. Nic nowego. To jest mapa Wielkiej Ukrainy, wykreślona w przeszłości nie przez „Europejczyków”, ale przez nacjonalistów ukraińskich. Ałfiorow zastrzegł jednak, że nie opowiada się za rewizją granic i jest zwolennikiem granic Ukrainy z 1991 r. Po co w takim razie przywoływał wizję Wielkiej Ukrainy?

obóz proukraiński ma na temat ruchu azowskiego.

Od czasu podpisania przez Biłeckiego wspomnianego listu do władz Lwowa w polskich środowiskach proukraińskich pokutuje przekonanie, że azowcy są partnerem do dialogu politycznego. Twierdzi się w tych środowiskach, że ideologia ruchu azowskiego dystansuje się od banderyzmu, ponieważ jest oparta głównie na mitologizacji Rusi Kijowskiej. Tym samym azowcy mają być jakimiś lepszymi, „propolskimi” nacjonalistami w przeciwieństwie do neobanderowców. Pomija się przy tym dyskretnie neonazistowskie inklinacje azowców. To pogląd błędny, ponieważ sam Ałfiorow w wywiadzie z 24 sierpnia 2024 r. dla portalu Telegraf wskazał dowódcę UPA Romana Szuchewycza jako jednego z najważniejszych ukraińskich bohaterów narodowych. Życzę zatem panu dr. Adamskiemu owocnej współpracy z Ołeksandrem Ałfiorowem.

Teza Stalina

Najnowszym przykładem ocieplania w Polsce wizerunku ruchu azowskiego jest opublikowany 3 marca br. przez rosyjskojęzyczną sekcję



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Polska anarchia

Wiem, nie jestem oryginalny (choćby tytuł felietonu, zapożyczony od Pawła Jasienicy). Narzekania na polską anarchię są stare i nieco już zbanalizowane. Tym smutniejsza jest ich ciągła aktualność. Wygląda na to, że niczego nas nie nauczyła nasza historia. Doprowadzenie Polski do upadku z powodu warcholstwa szlachty i magnaterii. Owo słynne na całym świecie liberum veto, zrywanie sejmików i rokosze. Gdy inne nacje budowały silne państwa – albo na odwrót, bo historycy do dziś się spierają, czy narody powołały do życia swoje państwa, czy to państwa stworzyły de facto narody – myśmy odurzali się wolnością pojmowaną jako samowola.

Ta ostatnia to wolność pozbawiona wszelkich granic, poza prawem i dobrym obyczajem. Hołdujemy jej do dziś. Czym innym bowiem są patrole „obywatelskie” na granicy z Niemcami? Jawną pogardą dla państwa i prawa. Wszak to państwo powinno dzierżyć (słusznie) monopol na przemoc, w tym na wymuszanie przestrzegania prawa. Tymczasem polskie państwo się przygląda i grozi paluszkami. Jeszcze chwila i powstaną u nas uzbrojone milicje obywatelskie, wzorem Stanów Zjednoczonych, gdzie jest ich sporo. Tym bardziej że ogromnym uznaniem cieszy się postulat lansowany przez Konfederację – łatwiejszego dostępu do broni. Gdy się ziści, będziemy mieć w Polsce Teksas.

Mentalnie jesteśmy już na to przygotowani. Nasze tragiczne dzieje oraz ostatnie dziesięciolecie wbijania nam do głowy, że państwo jest złe, ponieważ tylko przeszkadza, ogranicza i łupi (podatki), przynoszą owoce. Lansowane na początku transformacji przekonanie, że rynek doskonale poradzi sobie sam ze wszystkim, byle mu nie przeszkadzać, było zaczął libertarianistycznej ewolucji naszego myślenia. Przeszliśmy od solidarności do egoizmu, od wspierania słabszych do darwinizmu społecznego, od pragnienia wolności do ukochania samowoli.

We krwi mamy obecnie chęć prywatyzacji wszystkiego, co wspólne. Wystarczy popatrzeć na rynki naszych miast, gdzie ogródki piwne nie pozwalają przejść chodnikiem, na polskie dworce kolejowe zamienione w centra handlowe (Poznań, Kraków, Sopot), nasze jeziora i rzeki pogrodzone aż po horyzont (jako kiedyś zawzięty kajakarz od lat napotykałem płoty wchodzące głęboko w nurt rzeki, choć to prawnie zabronione). Polska mania ogradzania się na plaży parawanami to też nic innego jak pragnienie prywatyzacji tego, co wspólne.

Wygląda na to, że niczego nas nie nauczyła nasza historia.

Mamy nawet niezłe prawo, ale większość ludzi ma je w nosie. Nigdzie lepiej tego nie widać niż w polskiej praktyce lekceważenia przepisów o ochronie przyrody i o budownictwie. Niby są, ale jakby ich nie było. Jak masz pieniądze, to się wybudujesz niemal wszędzie. Do diabła z ochroną krajobrazu, rzadkiej roślinności czy ostoi dzikich zwierząt. A jak już się wybudujesz nielegalnie, to nikt ci tego nie odbierze. Samowola budowlana kwitnie. Niech więc żyje polska anarchia, a państwo się zwinie do końca. Tak słabe jak obecnie nikomu nie jest potrzebne, a silniejszego nie zniesiemy.

Wolność! Wolność! Wolność! Jej przeciwników zmieniam, jak nasi przodkowie. A ci, co mówią znowu, że „Polska nierządem stoi”, to jeno zazdrośnicy. Sami chcieliby żyć w naszym polskim raju. Anarchii ucieleśnionej. Żeby to jeszcze była anarchia wspólnotowa, którą postulował książę Piotr Kropotkin, z jego etyką solidarności, pomocy wzajemnej i empatii. Albo ta, która chodziła po głowie polskiemu lewicowcom spod znaku Edwarda Abramowskiego (samoorganizacja, spółdzielczość, solidarność). Ale nie, to anarchia skrajnie indywidualistyczna. Lansowana w XIX w. przez niemieckiego filozofa Maxa Stirnera, autora sławnej książki „Jedyny i jego własność”, a w wieku XX przez filozofkę i pisarkę amerykańską Ayn Rand, z jej pochwałą egoizmu i kultem prymitywnego kapitalizmu (niestety, to w Polsce nader popularna postać). Ta anarchia jest nam bliska. Choć o europejskich korzeniach, to amerykańska z ducha. I bliski jest nam amerykański duch podboju, w polskim przypadku – prowincji przez mieszkańców bogatych miast.

Obserwuję to na co dzień jako mieszkaniec przedsiönka Mazur. Przyjechać, kupić kawałek ziemi i wybudować, co się chce, bez oglądania się na interesy środowiska (Natura 2000? A kto by się tym przejmował? Spa ma być i tyle) i miejscowej społeczności (panowie przyjechali, chamy won). Podbić, podporządkować, skolonizować. Trudno się dziwić później, że polska prowincja głośnie przeciwko wielkim miastom. Aż nadto dobitnie widać, że ich mieszkańcy mają ją w nosie, więc odpłaca pięknym za nadobne.

I tak się ten przeklęty polski chocholi taniec tańczy. Coraz szybciej ku przepaści. Wszak za rogiem już widać dzielną młodzież, którym aż ręce się trzęsą, żeby to słabiutkie państwo dobić. Inteligencików pogonić. Kobiety poskromić. Gejów wygnać. Niech rządzi naga siła. Ku chwale ojczyzny oczywiście. ■

I tak się ten przeklęty polski chocholi taniec tańczy. Coraz szybciej ku przepaści. Wszak za rogiem już widać dzielną młodzież, którym aż ręce się trzęsą, żeby to słabiutkie państwo dobić. Inteligencików pogonić. Kobiety poskromić. Gejów wygnać. Niech rządzi naga siła. Ku chwale ojczyzny oczywiście. ■

Trump, Epstein i zdradzona MAGA

Skandal z listą Epsteina to nie tylko ból głowy dla Donalda Trumpa. To test dla MAGA



Trumpowi nie pomaga to, że na nowo rozdmuchano historię jego znajomości z Epsteinem. Aberdeen, 28 lipca 2025 r.

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Oddając jesienią 2024 r. głos w wyborach prezydenckich, rzesze Amerykanów były święcie przekonane, że Donald Trump nie tylko zakończy w jeden dzień wojnę w Ukrainie i w tydzień ujarzmi inflację, ale przede wszystkim wreszcie zdemaskuje i ukarze zdemoralizowane elity demokratyczne. Zrobi to, upubliczniając listę klientów Jeffreya Epsteina, nowojorskiego finansisty skazanego w 2019 r. za pedofilię i stręczycielstwo. Człowieka, którego życie, a zwłaszcza śmierć, do dziś otacza tajemnica.

Po pierwsze, Epstein popełnił w więzieniu samobójstwo zaledwie

miesiąc po rozpoczęciu odsiadki. Jednak w to, że samodzielnie odebrał sobie życie, wierzy raptem co piąty Amerykanin. Połowa respondentów uważa, że Epstein został zamordowany (Yale/YouGov, 24 lipca 2025). Jak inaczej bowiem interpretować fakt, że mimo nakazu sądu, by nie pozostawał w celi sam, w noc jego śmierci nikogo przy nim nie było? I dlaczego na więziennym monitoringu brakuje kilku minut nagrania – dokładnie z momentu śmierci Epsteina? Od razu nasuwają się pytania, kto „pomógł” Epsteinowi umrzeć i dlaczego to zrobił. Sytuację zaognia też potraktowanie po macoszemu śledztwa w tej sprawie rozpoczętego z końcem pierwszej prezydentury Trumpa przez administrację Joego

Bidena – nigdy formalnie nie zostało zamknięte ani nie przyniosło odpowiedzi na mnożące się wątpliwości.

Przyczyny prokuratorskiej indolencji doskonale jednak znał Donald Trump i w czasie ostatniej kampanii nie omieszkął przedstawić ich wyborcom. Oczywiście, że administracja Bidena grała na zwłokę. Przecież Biden sam jest częścią przestępczych elit i chciał wejść do Białego Domu, by nadal je kryć. Na pytania, czy jeśli ponownie zostanie prezydentem, odtajni wszystkie dokumenty ze sprawy Epsteina, Trump odpowiadał zdecydowanie „tak”. Upublicznienie listy Epsteina zapowiadał także podczas wieców i w wywiadach kandydat na wiceprezydenta J.D. Vance.

Czary-mary, listy nie ma

Przewińmy teraz taśmę o kilka miesięcy do przodu.

20 lutego 2025 r. – nowym szefem FBI został Kash Patel, który karierę polityczną zbudował na szerzeniu rozmaitych teorii spiskowych, w tym tej, że Epstein zginął z rąk FBI.

21 lutego 2025 r. – prokuratorka generalna Pam Bondi oświadczyła na antenie telewizji Fox, że lista Epsteina leży na jej biurku i zgodnie z wolą prezydenta wkrótce zostanie upubliczniona.

Jeffrey Epstein popełnił w więzieniu samobójstwo zaledwie miesiąc po rozpoczęciu odsiadki.

27 lutego 2025 r. – Bondi z pomocą przekazała grupie pravicowych influencerów teczkę z wydrukami ze śledztwa DOJ (Departamentu Sprawiedliwości). Okazało się jednak, że niczego nowego do sprawy Epsteina nie wnoszą. MAGA zwiększyła naciski na Białą Dom, by znalazł i pokazał listę Epsteina.

18 maja 2025 r. – Kash Patel oznajmił w Fox News, że śmierć Epsteina była samobójstwem.

1 lipca 2025 r. – Pam Bondi zapewniła w Fox News, że FBI intensywnie pracuje nad weryfikacją dokumentów do upublicznienia, w tym nad listą Epsteina.

7 lipca 2025 r. – DOJ i FBI wydały wspólne oświadczenie: „Nie znaleźliśmy żadnej listy ani wiarygodnych dowodów na to, że Epstein szantażował prominentne osoby w związku ze swoją działalnością. Nie odkryliśmy jednocześnie żadnych dowodów dających podstawy do wszczęcia śledztwa przeciwko osobom trzecim, które nie zostały oskarżone”.

MAGA nie posiadała się z oburzenia. Na początku atakowała tylko Bondi i Patela, ale gdy w ich obronie stanął sam Trump, szydząc w niewybredny sposób z tych, którzy nadal „wierzą w te teorie”, oburzenie zmieniło się w rewoltę. Przeciwko narracji Białego Domu wystąpiły najbardziej wpływowe osobowości medialne na prawicy. Idol konserwatywnej manosfery Joe Rogan nazwał

zachowanie Trumpa gaslightingiem własnego elektoratu (podcast „The Joe Rogan Experience”, 29 lipca 2025). Dziennikarka Megyn Kelly, była gwiazda telewizji Fox, zaatakowała DOJ i FBI za lenistwo oraz fabrykowanie teorii spiskowych, a dla samego Trumpa nie miała „żadnego współczucia w związku z błędami, jakie popełnił w tej sprawie” (talk show „Piers Morgan Uncensored”, 29 lipca 2025). Komentator polityczny Tucker Carlson zaś oskarżył Trumpa o to, że teraz sam broni elit: „Co w historii Epsteina jest wyjątkowo wkurzające?

zдание w sprawie publikacji listy Epsteina, gdy Pam Bondi poinformowała go w maju, że w dokumentach ze śledztwa pojawia się również jego nazwisko, i to nie raz („Jeffrey Epstein’s Friends Sent Him Bawdy Letters for a 50th Birthday Album. One Was From Donald Trump”, „Wall Street Journal”, 17 lipca 2025).

Gaszenie pożaru benzyną

W pierwszym odruchu Trump zareagował na te wiadomości jak zwykle furia, stwierdzając, że wystąpi o 10 mln dol. odszkodowania od właściciela „Wall Street Journal”, Ruperta Murdocha. Co ciekawe, Murdoch jest też przeciwieństwem Fox News. „WSJ” ujawnił, że Murdoch otrzymał pozew dopiero po fiasku negocjacji, w wyniku których dziennik miał zrezygnować z publikacji sensacyjnego listu.

Ochłonawszy, Trump sięgnął po broń, którą kocha najbardziej – fabrykowanie sensacji w celu odwrócenia uwagi od problemu. Wybór padł na historię ingerencji Rosji w wybory w 2016 r. Prezydent odelegował więc szefową wywiadu Tulsi Gabbard, by poinformowała naród, że nowe, odkryte rzekomo w archiwach FBI dowody w sprawie wskazują, że żadnej ingerencji nie było. Była za to zdrada stanu ze strony Baracka Obamy, on bowiem zmontował spisek, by pomóc Hillary ▶

Frustracja zwykłych ludzi patrzących, jak pewnej klasie ludzi wszystko zawsze uchodzi na sucho, za każdym razem” (na zjeździe organizacji Turning Point USA w Tampie, 11 lipca 2025).

Nie pomogło to, że media na nowo rozdmuchały historię znajomości Trumpa z Epsteinem, a serwisy informacyjne zapełniły się ich wspólnymi zdjęciami. „Wall Street Journal” doniósł przy tym, że na 50. urodziny Trump przekazał swojemu „fantastycznemu kumpłowi” list z enigmatycznymi życzeniami odwołującymi się do ich „wspólnej tajemnicy”. W dodatku Trump zmienił



Porozrywane Stany

Błyskotliwa analiza „amerykańskiej duszy” i politycznych wyborów

Eliza Sarnacka-Mahoney,
dziennikarka i pisarka
związana z Polską i USA



58 zł

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

► Clinton w wyborach, w związku z czym pójdzie do więzienia.

Na razie jednak Amerykanie machnęli na to ręką. Dochodzenie przeprowadziła swego czasu komisja złożona z członków obu partii. Po jego zakończeniu wydano oświadczenie, że do prób ingerencji doszło, ale kampania Trumpa nie miała z nimi nic wspólnego. Trump wygrał w 2016 r. własnymi siłami.

Podobnie nie powiodła się próba wzniesienia publicznego gniewu na drużynę futbolową, która zmieniła nazwę z Washington Redskins na Washington Commanders, ewidentnie hołdując, zdaniem Trumpa, ideologii DEI (Diversity, Equity, and Inclusion – promowanie w organizacjach i społeczeństwach różnorodności, równości i włączania – przyp. red.). Może problem w tym, że pod nową nazwą występuje już od ponad czterech lat.

Przed wszystkim Trump i jego otoczenie mniej lub bardziej świadomie sami dostarczają Amerykanom pożywki do spekulacji, czy prezydent nie stara się czegoś ukryć. 28 lipca bowiem nieoczekiwanie wyjawiał publicznie, że zerwał znajomość z Epsteinem, po tym jak ten, mimo przestróg, kontynuował „podkradanie” mu dziewcząt pracujących

w spa w Mar-a-Lago. Czy to znaczy, że Trump doskonale znał lifestyle kolegi? W tym wyznaniu nie zgadzają się również daty. Jedną z „ukradzionych” pracownic była Virginia Giuffre, którą Epstein wykorzystywał seksualnie od 1999 do 2001 r. Przyjaźń Trumpa z Epsteinem trwała tymczasem w najlepsze przez co najmniej kilka następnych lat. W 2005 r. Trump zaprosił przecież Epsteina na swój ślub z Melanią.

która w 2022 r. nieszczęśliwie spadła ze schodów, akurat gdy miała się stać na przesłuchanie w sprawie korupcji w Trump Organization. Wyrok za molestowanie seksualne i łapówki dawane, by zatuszować sprawę? Dla MAGA był to po prostu dowód, że Trump jest prawdziwym mężczyzną.

Odpowiedzi na pytanie o sytuację MAGA mamy dwie. Pierwsza jest prosta i krótka: tym razem Trump sam wpadł w pułapkę, w którą dotąd

Trump miał odtajnić wszystkie dokumenty ze sprawy Epsteina, upublicznienie listy zapowiadał także J.D. Vance.

Rzecz druga – republikanie odmówili głosowania nad petycją w sprawie ujawnienia listy Epsteina, a przewodniczący Mike Johnson wystąpił cały Kongres na wcześniejsze wakacje. Tym samym zagwarantował, że do głosowania nie dojdzie wcześniej niż we wrześniu.

Na wieść zaś, że kongresowa Komisja Nadzoru zapowiedziała przesłuchania Ghislaine Maxwell, współpracownicy Epsteina, która od 2021 r. odbywa 20-letni wyrok za te same przestępstwa, wiceszef DOJ osobiście odwiedził Maxwell w więzieniu. Zaraz po tym kobieta została przeniesiona do ośrodka o minimalnym rygorze. Może tam swobodnie się przemieszczać, bawić ze szczeniętami i nawet korzystać z salonu kosmetycznego. Trudno o wyraźniejszy sygnał, że Trump chce ubiec Kongres, dogadać się z Maxwell i tym samym zapewnić sobie kontrolę nad jej publicznymi wypowiedziami. Na pytanie, czy rozważa jej ułaskawienie, nie dał klarownej odpowiedzi.

W co wierzy MAGA

MAGA ma wszelkie podstawy, by czuć się zwodziona i skonfundowana zachowaniem wodza. Czy jednak jest to dla niej coś nowego? Dłaczego dzisiaj wznici rewoltę, skoro dotąd udzielała Trumpowi kredytu zaufania? Bez wątpliwości rozgrzeszała go mimo jawnych kłamstw i udowodnionych oszustw. Bez mrugnięcia okiem zaakceptowała okoliczności nagłej śmierci jego pierwszej żony Ivany,

łapał innych. Stał się bohaterem teorii spiskowej, tylko że zajął w niej niewłaściwe miejsce. Druga interesuje nas dużo bardziej, bo wnika w naturę relacji Trumpa z MAGA. A przy okazji skłania do refleksji nad przyszłością tego ruchu.

Jak pisałam na tych łamach kilka lat temu, a potem w książce „Jak to się stało? Ameryka po wyborach”, do władzy w 2016 r. wyniosła Trumpa radykalna religijna prawica. On, polityczny nowicjusz, szukał sojuszników i przymierzy. Ona od dekad wypatrywała kandydata, który wprowadzi ją do Białego Domu i pozwoli zrealizować wymarzony cel: ustanowić w Ameryce „królestwo boże na ziemi”. Charyzmatyczny outsider nadawał się do tej roli doskonale. Deal przypieczętowano i Trump zaczął budować swoją markę zgodnie z wytycznymi: jako nowo narodzony chrześcijanin (wcześniej był zdeklarowanym ateistą), który oczyści Waszyngton z brudów (drain the swamp), by wprowadzić tam głos ludu, zwłaszcza rozjechanych przez globalizację niebieskich kołnierzyków.

Gdy pod koniec 2017 r. w sieci pojawił się QAnon, czyli teoria spiskowa postulująca, że Trump prowadzi ukrytą walkę z globalną siecią elit, zajmującą się handlem dziećmi, satanizmem i pedofilią, marka Trumpa i jego relacje z MAGA zyskały nowy wymiar. Scementował się jego kult jednostki, już nie tylko jako krzyżowca broniącego Ameryki przed zepsutymi elitami, ale wręcz nowego



mesjasza zesłanego świata, by dobro wygrało ze złem.

Los Epsteina, jak wyjaśnia Zack Beauchamp, dziennikarz i autor książki o prawicowym populizmie, był dla MAGA jednocześnie objawieniem i ziszczeniem jej teorii. „Epstein był dla prawicy żywym wcieleniem szatana, a jego przyjaźń z możnymi i wpływowymi tego świata, od Billa Clintona po Billa Gatesa, dowodem na to, że wszyscy z tej grupy wykorzystują dzieci. Nie byli to więc zwyczajni politycy, którzy mogą wygrać wybory, lecz oprawcy, którzy skorumpowali system, by służył wyłącznie ich mrocznym żądom. Historia Epsteina stała się więc dla MAGA opowieścią o całej amerykańskiej polityce, a on sam kluczem do wszystkiego, co Trump miał w jej imieniu zwalczać” („Why Trump betrayed his base on Jeffrey Epstein”, Vox, 16 lipca 2025).

W chwili kryzysu Trump potrafił genialnie ten gniew zagospodarować. „Pamiętajcie, oni nie polują na mnie, oni polują na was”, powiedział w Atlancie w 2023 r., gdy toczyło się przeciwko niemu kilka kluczowych postępowań prawnych. Tę frazę MAGA podchwyciła jako swój nowy slogan.

Przekroczona granica

Mamy więc pierwszy powód tego, że MAGA nie chce położyć uszu po sobie. Trump każe jej odstać od sprawy dla niej najważniejszej. Jeśli prezydent rzeczywiście figuruje na liście – jako klient lub choćby tylko osoba świadoma całego zła i przyzwalająca na nie – znaczy to, że sam też jest ogniwem szatańskiego łańcucha. Wybaczyć mu tę zdradę i oszustwo to jak zgodzić się na demontaż całego mitu założycielskiego i podeptanie najświętszych wartości. Skutkiem takiej kapitulacji byłoby przyzwoleństwo na to, aby lider, który już raz okłamał, dalej swobodnie okłamywał. Pod znakiem zapytania staje więc w oczach wyborców zasadność dalszego marszu pod sztandarami MAGA i przywództwem Trumpa.

Drugi powód jest natury psychologicznej. Fundamentem relacji Trumpa z MAGA stała się obietnica – być może najważniejsza

ze wszystkich – że Trump będzie naprawiał system, słuchając głosu tych, których dotąd nikt nie słuchał. Nie wnikać w szczegóły, w jakim stopniu poprawił jej byt i czy w ogóle udało mu się dać tej grupie coś konkretnego. Jednego bowiem nie można było mu zarzucić – że swojego elektoratu nie dopieszczał celebrazjami. Jeśli MAGA jak pies jadła mu z ręki, to dlatego, że hojnie ją karmił i zabierał na wszystkie przedstawienia. Nagłe potraktowanie jej z buta, bagatelizowanie jej potrzeb i przekonań, publiczne wyszydzenie jako „bzdur” wołania o prawdę zostało odebrane przez MAGA jak trzęsienie ziemi. Plama na honorze i uderzenie w ambicje, które przywracały MAGA wiarę w politykę oraz dawały nadzieję na przyszłość. Zniewaga i odrzucenie zawsze zaś bolą najmocniej, bo bolą każdego osobiście.

Kongresowa liderka MAGA Marjorie Taylor Greene, dziś najgłośniejsza

dodatkowo mu sprzyja. Wydarzenia ostatnich tygodni i to, co jeszcze przed nami, nie pozostaną dla amerykańskiej polityki bez konsekwencji. Obnażyły, zwłaszcza przed samym elektoratem MAGA, gorzką prawdę, że ruch ten nigdy nie był populistyczny, lecz personalny. Jego linia polityczna służyła i ma służyć przede wszystkim interesom Trumpa. Jeżeli zaś Trump to MAGA, a MAGA to Trump, trudno sobie wyobrazić, jak ruch będzie funkcjonował, gdy Trump w końcu z polityki odejdzie.

Wiadomo, że chętnych, by wejść w buty Trumpa, nie zabraknie. Warto tu przywołać takie osoby jak obecny wiceprezydent J.D. Vance, popularny gubernator Florydy Ron DeSantis, a być może nawet sama Marjorie Taylor Greene. Niestety, MAGA doskonale wie, że żadna z tych osób nie jest i nie będzie w stanie zawładnąć jej sercem i umysłem tak, jak lata temu zrobił to Trump. Nieuchronne wewnętrzne

Prezydent zmienił zdanie co do publikacji listy Epsteina po informacji, że w dokumentach jest jego nazwisko.

na prawicy krytyczka decyzji Trumpa w sprawie listy Epsteina, nie przestaje go przestrzegać: „Baza zmieni zdanie i nie będzie od tego odwołania. Machanie jej przed nosem kawałkami mięsa już nie wystarczy. Ludzie chcą dostać na obiad cały stek i nie zgodzą się na nic w zamian” (platforma X, 21 lipca 2025).

MAGA odejdzie, by wrócić

Część ekspertów już przewiduje, że afera z listą Epsteina to początek końca Trumpa, jego własny Afganistan. Nawijają oczywiście do kompromitującej akcji wycofywania się USA z Afganistanu w sierpniu 2021 r., po której notowania urzędującego wówczas Joeego Bidena spadły i mimo jego późniejszych sukcesów na innych polach szorowały po dnie już do końca prezydentury.

Poczekalbym jednak z takimi deklaracjami. Trump jest mistrzem kryzysów, ale i mistrzem politycznego spinningu i manipulacji. Życie w erze niekomunikujących się ze sobą baniek

wojny, do których z pewnością dojdzie w formacji już bez Trumpa, być może wbiją gwóźdź do jej trumny.

Czy demokraci mogą już otwierać szampana? Nie mogą i nie powinni. Nawet jeśli Trump odejdzie z polityki, pozostawiając po sobie niesmak wśród własnych wyborców, i tak już przeorał amerykańską prawicę. Tej na stołkach w Waszyngtonie wskazał, jak uprawiać politykę, otwarcie sięgając po kłamstwo, szwindel i teorie spiskowe. Republikańskich wyborców zaś skaził nieufnością i podejrzliwością do wszystkiego, co publiczne, wspólnotowe, instytucjonalne i systemowe.

Pytanie nie brzmi więc, czy MAGA bez Trumpa przetrwa – ani nawet dla czego nie przetrwa. Ważniejsze jest, jak w związku z tym będą wyglądać nowe ruchy wyrosłe na gruncie MAGA i czerpiące z jej doświadczeń. Byłoby też z korzyścią dla demokratów, gdyby przyjęły za pewnik, że walka z nowymi nurtami i ich liderami może być jeszcze trudniejsza niż z Trumpem i MAGA.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Podzielona Europa, głodna Gaza

Wojna informacyjna w konflikcie izraelsko-palestyńskim

Jakub Katulski

Od kilku tygodni użytkownicy mediów społecznościowych w Polsce oglądają materiały o Gazie sponzorowane przez izraelskie MSZ. To odpowiedź Tel Awiwu na apele organizacji humanitarnych o umożliwienie udzielania pomocy Palestyńczykom i na padające pod adresem Izraela oskarżenia, w tym o dopuszczanie się zbrodni ludobójstwa, m.in. przez głodzenie mieszkańców Strefy Gazy.

Sponsorowane przez ministerstwo filmy przekonują, że w istocie przejścia graniczne zostały otwarte po miesiącach blokady, a za to, że nie jest dystrybuowana pomoc humanitarna, która dzisiaj znajduje się w przyczepach ciężarówek zaparkowanych w pobliżu Kerem Szalom, odpowiedzialne są ONZ i Hamas. Dowiadujemy się, że „ONZ odmawia rozdzielania pomocy”, a według innych materiałów to Hamas głodzi izraelskich zakładników, ignorowanych przez media

zajęte przekazywaniem „propagandy Hamasu”.

W ten sposób wojna informacyjna weszła w dużo intensywniejszą fazę, a Izrael stara się przejąć inicjatywę. Zdjęcia i materiały o panującym w Strefie Gazy głodzie uznawane są w tej narracji za kłamstwa rozpowszechniane przez media. Organizacje humanitarne wzywające do umożliwienia im pracy oskarża się o kolaborację z Hamasem, m.in. poprzez koordynację działań (lub to, że niektórzy pracownicy szkół prowadzonych przez UNRWA okazują się członkami Hamasu, co z punktu widzenia części palestyńskiego społeczeństwa nie jest kontrowersyjne, Hamas jest też organizacją polityczną pełniącą funkcję rządu w Gazie).



Nie ma głodu?

Izraelska narracja w sprawie głodu jest jednak niekonsekwentna. 27 lipca premier Netanjahu poinformował, że w Strefie Gazy nie ma mowy o klęsce głodu, zarazem obarczył Hamas odpowiedzialnością za kradzież pomocy humanitarnej. Tymczasem Lekarze bez Granic czy Polska Akcja Humanitarna podkreślają, że ich zespoły nie spotkały się z przypadkami okradania transportów pomocy humanitarnej przez Hamas.

Wersję premiera podważa również Agencja Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego (USAID). Jej pracownicy przeprowadzili analizę przypadków kradzieży pomocy dostarczanej przez organizacje humanitarne między październikiem 2023 r. a majem 2025 r. Efekt? Nie ma dowodów na to, że pomoc jest systematycznie rozkradana przez Hamas, choć pojawiły się dowody na kradzieże pomocy z mniejszych organizacji.

Z kolei Biuro Narodów Zjednoczonych ds. Usług Projektowych (UNOPS), analizując wjazdy do Gazy ciężarówek ONZ z pomocą humanitarną między majem a 6 sierpnia 2025 r., wskazuje, że 2,3 tys. z 2,6 tys. ciężarówek zostało przejętych „pokojujowo przez głodnych ludzi lub siłowo przez uzbrojonych aktorów podczas tranzytu w Gazie”. W ten sposób przechwycono 31 tys. ton żywności.

Informacja ta jest wykorzystywana jako dowód, że pomoc nie dociera do potrzebujących, choć 5 sierpnia Jacob Magid, dziennikarz portalu Times of Israel, powołując się na rozmowę z Olgą Cherevko z Biura Narodów Zjednoczonych ds. Koordynacji Pomocy Humanitarnej, podał, że znaczna część żywności jest rozkradana przez mieszkańców Strefy Gazy, a nie uzbrojone gangi. Problem ten nie istniał w styczniu, przed wprowadzeniem przez Izrael ścisłej blokady pomocy humanitarnej, kiedy przyjeżdżała większa liczba ciężarówek z żywnością.

Już sama liczba ciężarówek, które wjeżdżają do Strefy Gazy, od kiedy Izrael pozwolił na poluzowanie blokady, jest zbyt niska według wyliczeń ONZ. Jeszcze przed eskalacją konfliktu szacowano, że dziennie musi przyjeżdżać 500-600 ciężarówek z żywnością. Dzisiaj, gdyby taka liczba przyjeżdżała każdego dnia, byłby to jedynie początek walki z głodem w Gazie. Głodem, który Izrael neguje, jednocześnie winiąc za niego Hamas.

Izrael podejmuje celowe działania mające zniszczyć społeczeństwo palestyńskie w Strefie Gazy.

Biuro Koordynatora Działań Rządu na Terytoriach (COGAT), czyli jednostki Ministerstwa Obrony będącej w rzeczywistości administracją okupacji, opublikowało 4 sierpnia w mediach społecznościowych materiał filmowy (podany dalej także przez ambasadę Izraela w Warszawie) przekonujący, że w Gazie świetnie funkcjonują piekarnie. Znajdziemy tam wszystko, od pity po słodycze. Możemy też trafić na „tętniące życiem targi ze świeżymi produktami”, a pomoc humanitarna dociera codziennie w ramach transportu ciężarowego i zrzutów z powietrza.

Głód w Gazie jest jednak trudny do podważenia, nawet jeśli opierać się wyłącznie na materiałach filmowych i zdjęciach. Izraelska dyplomacja próbuje przekonać odbiorców, że zdjęcia zagłodzonych dzieci to w rzeczywistości inna historia. Symbolem tej walki informacyjnej stał się Muhammad Zakaria Ajjub al-Matuk, około półtoraroczny chłopiec, którego zdjęcia, wyraźnie wychudzonego, obiegły zachodnie media w lipcu 2025 r. Oficjalne konta w mediach społecznościowych izraelskiego MSZ również kolportowały jego zdjęcie, przedstawiające także starszego brata Muhammada. Podawały, że młodsze dziecko nie jest wygłodzone, tylko cierpi na chorobę zanikową mięśni. Rzeczywiście, matka chłopca zapytana przez media, takie jak NPR czy BBC, o stan zdrowia synka, potwierdziła przewlekłą chorobę, zaznaczając, że mogła kontrolować jego

stan, gdy mieli wystarczającą ilość jedzenia. Dziś go brakuje.

Według Światowego Programu Żywnościowego ponad 500 tys. mieszkańców Strefy Gazy doświadcza symptomów zagłodzenia, a co trzeci nie jadł od kilku dni. Liczba ciężarówek z pomocą wjeżdżających do Gazy daleka jest od codziennych potrzeb. Deklarowane przez same izraelskie instytucje środki, takie jak zrzuty z powietrza palet z pomocą humanitarną (według ambasad Izraela

w Warszawie 4 sierpnia zrzucano z samolotów 120 palet, we współpracy m.in. z Egiptem, Jordanią czy Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi), mają marginalne znaczenie, gdyż jedna ciężarówka z pomocą mieści ok. 20 standardowych palet.

Czy ludobójstwo da się obronić?

Pogarszająca się sytuacja w Strefie Gazy coraz częściej ściąga na Izrael oskarżenia o to, że prowadzone działania wojskowe, wykorzystywanie pomocy humanitarnej w celu wywierania presji na Hamas, niszczenie infrastruktury cywilnej i rosnąca liczba ofiar stanowią w istocie ludobójstwo. To oskarżenie już w grudniu 2024 r. padło w raporcie Amnesty International, który na 300 stronach dokumentuje izraelskie działania w Gazie. Wypowiedzi izraelskich polityków i wysokich rangą wojskowych również wskazują, że celem nie jest samo odbicie zakładników, ale zadanie jak największych strat Palestyńczykom.

Tak samo uważa izraelska organizacja B'Tselem, która w artykule „Nasze ludobójstwo” opublikowanym na jej stronie 27 lipca podaje: „Analiza polityki Izraela w Strefie Gazy i jej tragicznych skutków, wraz z oświadczeniami izraelskich polityków i dowódców wojskowych na temat celów ataku, prowadzi do jednoznacznego wniosku, że Izrael podejmuje skoordynowane, celowe działania mające zniszczyć społeczeństwo palestyńskie w Strefie

Produkty z magazynu Światowego Programu Żywnościowego ONZ w mieście Gaza, w centralnej części Strefy, 12 lipca 2025 r.

► Gazy. Innymi słowy, Izrael dopuszcza się ludobójstwa na Palestyńczykach”.

Uzasadnieniem dla zastosowanego terminu jest według działacza B’Tselem chociażby treść uchwalonej przez Zgromadzenie Ogólne ONZ w 1948 r. Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa, która podkreśla wagę zamiaru niszczenia grupy ludności lub jej części. Zdaniem organizacji wypowiedzi izraelskich decydentów wskazują, że kwestia zamiaru została wyczerpana, a rosnąca liczba ofiar i pogarszające się warunki życia Palestyńczyków są niepodważalne: „Jest to wyraźna i jawna próba zniszczenia społeczeństwa palestyńskiego w Strefie Gazy oraz stworzenia katastrofalnych warunków życia, które uniemożliwiają dalsze istnienie tego społeczeństwa w Strefie Gazy. To dokładnie definicja ludobójstwa”.

Użytkownicy mediów społecznościowych w Polsce oglądają materiały o Gazie sponsorowane przez izraelskie MSZ.

Coraz częściej także izraelscy badacze krytycznie patrzą na politykę rządu Netanjahu. 15 lipca na łamach „New York Timesa” Omer Bartov, historyk znany w Polsce przede wszystkim jako autor książki „Opowieści z pogranicza. Pisanie i wymazywanie galicyjskiej przeszłości”, opublikował esej „Jestem badaczem ludobójstwa. Rozpoznaję je, gdy je widzę”.

Pytany później w wywiadzie na antenie National Public Radio o to, jaki konkretnie dowód przekonał go, że mamy do czynienia z ludobójstwem, powiedział: „Było to w maju 2024 r. Siły Obronne Izraela (IDF) podjęły decyzję o wkroczeniu do ostatniego miasta w Strefie Gazy, Rafah, położonego na granicy z Egiptem w najbardziej wysuniętej na południe części Strefy Gazy. Wkroczyły tam mimo faktu, że mieszkało tam ok. 1 mln Palestyńczyków, z których większość została wysiedlona przez IDF i nakazano im przeniesienie się tam dla własnego bezpieczeństwa. Następnie IDF zdecydowały się mimo wszystko wkroczyć do miasta i przeniosły ok. 1 mln osób na obszar plaży, a potem wkroczyły do

Rafah i przystąpiły do jego niszczenia. Do sierpnia miasto zostało w większości zniszczone. W tym momencie zadałem sobie pytanie, jaki jest cel działań IDF”.

Europa chce zmian

Ciągnąca się wojna w Gazie sprawia też, że na Izrael inaczej patrzą partnerzy w Europie. Unia wciąż jest największym partnerem handlowym Izraelczyków, jeśli traktować ją jako jeden organizm polityczny. Co więcej, według holenderskiego Centrum Badań nad Korporacjami Międzynarodowymi (SOMO) UE jest największym inwestorem w Izraelu, a europejskie państwa w samym 2023 r. zainwestowały w izraelską gospodarkę ponad 72 mld euro – niemal dwukrotnie więcej niż Amerykanie. Izrael zainwestował w tym samym

czasie w Europie ponad 65 mld euro, siedem razy więcej niż w USA (8 mld). Te ogromne kwoty sprawiają, że w maju UE zapowiedziała rewizję umowy stowarzyszeniowej z Izraelem, która weszła w życie w 2000 r., regulując stosunki polityczne i dyplomatyczne.

Do zawieszenia umowy nie doszło, ale kolejne państwa w Unii domagają się nałożenia na Izrael sankcji lub zawieszenia części umowy stowarzyszeniowej, w celu zwiększenia presji gospodarczej na Izrael. Tego chce m.in. szwedzki premier Ulf Kristersson, a także rząd Holandii.

Reszta oczekuje jednak innych działań. Francja zapowiedziała, że we wrześniu podczas sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku uzna państwo palestyńskie, a prezydent Macron wezwał innych europejskich przywódców do podążania tą samą ścieżką. Do deklaracji wzywającej do uznania Palestyny przyłączyły się też Andora, Australia, Hiszpania, Irlandia czy Norwegia. Początkowo w podobnym tonie wyraziły się Islandia i Portugalia, lecz rządząca w obu krajach centroprawica wycofała się

z tego. Podział między rządzącymi Belgią partiami także nie pozwolił na zajęcie zdecydowanego stanowiska, ale 21 lipca król Belgów Filip podczas orędzia do narodu nazwał sytuację w Gazie „hańbą dla ludzkości”. Brytyjski premier Keir Starmer zapowiedział, że Zjednoczone Królestwo uzna Palestynę we wrześniu, jeżeli Izrael nie doprowadzi do zawieszenia broni.

Ta presja polityczna wywołuje jednak twarde reakcje Izraelczyków. Forum Rodzin Zakładników, organizacja pozarządowa, która od miesiący nadaje ton protestom na ulicach izraelskich miast, domagając się od rządu porozumienia z Palestyńczykami, przekonuje, że uznanie Palestyny przed odbiciem zakładników „na zawsze zostanie zapamiętane jako haniebny, antysemicki krok, który sprawia, że terror staje się akceptowalnym środkiem osiągnięcia celów politycznych”. 4 sierpnia izraelski minister spraw zagranicznych Gideon Saar powiedział, że działania na rzecz uznania Palestyny podjęte przez Kanadę, Francję i Wielką Brytanię stanowią „czystą nagrodę za terror”.

Europa pozostaje w tej kwestii podzielona, a niektóre rządy trzymają się asekuracyjnej polityki. Donald Tusk na portalu X zaznaczył 3 sierpnia: „Polska była, jest i będzie po stronie Izraela w jego konfrontacji z islamskim terroryzmem, ale nigdy po stronie polityków, których działania prowadzą do głodu i śmierci matek i dzieci. To musi być oczywiste dla narodów, które przeszły wspólnie przez piekło II wojny światowej”. Po tych słowach do izraelskiego MSZ wezwany został ambasador Maciej Hunia, a izraelski resort uznał wypowiedź Tuska za „zniesztalającą historię” i „hańbiącą pamięć o ofiarach Holokaustu”.

Atmosfera w Europie powoli się zmienia, a dyskusja o roli UE i oskarżenia o współudział w zbrodniach przeciwko ludzkości coraz częściej przebijają się do mainstreamu. Z punktu widzenia Palestyńczyków, a także organizacji humanitarnych dzieje się to jednak zdecydowanie zbyt wolno, by realnie poprawić jakość życia ludzi w Strefie Gazy, którzy są uzależnieni od potrzeb operacyjnych izraelskiego wojska.

Jakub Katulski

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Kumulacja najgorszych tradycji Rzeczypospolitej rozbita niczym w Lotto wyborem niegdysiejszego alfonsa Grand Hotelu w Sopocie, uczestnika bandyckich ustawek kibicowskich, któremu z twarzy nie schodzi uśmiech (wewnętrzny rechot) i słowo Rzeczpospolita, które to słowo jest w tym wykonaniu win odpuszczeniem, puszczeniem w niepamięć i triumfalizmem okraszonym narodową tromtadracją. Jest w jego mowie inauguracyjnej zaśpiew tęsknot monarchistycznych, rygoryzm katolickiej ortodoksji, marzenia o wielkości kogoś, kto wierzy, że nie tyle go wybrano, ile ukoronowano. Korona pychy nie jest aż tak niewidzialna jak ta nieistniejąca, dawna. Nawrocki sam się namaszcza bezprzytomnie swoim wyborem, sam mianuje się trybunem ludowym i generałem nad generałami, widzi się jako pomazaniec narodu. Co prawda, niegdysiejszego emerytowanego zbawcę narodu Jarosława Kaczyńskiego jakoś widok kwitnącego Nawrockiego nie cieszył w widoczny sposób, ale nie dziwota...

zapewne najstynniejszą i najlepszą książkę na ten temat, reportaży Johna Herseya „Hiroshima”, nazywany niekiedy najwybitniejszym amerykańskim tekstem reporterskim XX w. Podzielam tę opinię. Zapytacie państwo, co ma piernik (Nawrocki) do wiatraka (fala uderzeniowa pierwszej atomówki). Ma tyle, że z racji nagromadzenia wojennych energii (Rosja-Ukraina, Izrael-Gaza-Palestyna-Bliski Wschód) oraz nieobliczalności nowego-starego prezydenta USA świat po tych 80 latach nigdy nie był tak blisko użycia arsenału jądrowego, w konfrontacji wydarzeń i głosów choćby z sytuacją podczas tzw. kryzysu kubańskiego z początku lat 60. Widać, że lekcja nie jest ani odrobiona, ani przepracowana, po prostu została zapomniana. Książka Herseya, wydana niedługo po Hiroszimie (pisana w 1946 r.) w milionach egzemplarzy na całym świecie, ukształtowała zdystansowany ogląd tego „sukcesu militarnego”, była na dekady ostrzeżeniem i żywym głosem sprzeciwu.

Najjaśniejszy Pan Nasz, król Karol „bokser” Nawrocki I

Sam prezes zboląły, z opatrunkiem na palcu, słabowity ogólnie, wyraźnie widzi, że akcenty politycznych sygnałów nowego kierownika Pałacu Prezydenckiego wybrzmiewają raczej konfederacką, skrajną realnie nutą, niż miłą jego uchu pisowską kołysanką. Czy takiego delfina na swojej piersi chciał wyhodować? Chyba nie. Czy te oczy mogą kłamać? Owszem itp.

W swojej mowie szturmowej Nawrocki zdawał się wierzyć, że jest budowniczym portów komunikacyjnych, strażnikiem budżetu, ekspertem ds. lektur (polskich, pamiętajcie, polskich), człowiekiem, który ma w walizce czerwony guzik, choć nie ma żadnych atomówek. Zawsze w takim momencie odzywają się głosy, żeby zawierzyć, nie skreślać, dać kredyt zaufania. Żaden jednak akcent w tej elukubracji nie daje podstaw do takich poczynań. A co dopiero biografia i dokonania zawodowe. Brak kompetencji politycznych, brak kompetencji międzynarodowych, zadeklarowana naiwność chłopka roztropka, który nie potrafi zrzucić z siebie retoryki kampanii wyborczej. Za chwilę się okaże, że jedynym nowum będzie to, że żona prezydenta (nie potrafię kupić tej amerykańskiej pierwszej damy i jej kreacji) będzie się odzywać od czasu do czasu, czyli i tak nieskończenie więcej niż bezpośrednia poprzedniczka.

Dokładnie w dniu zaprzysiężenia Karola Nawrockiego mija 80. rocznica zrzucenia bomby atomowej przez USA na Hiroszimę, rocznica potwornej, ludobójczej śmierci tysięcy cywilów. Po natychmiastowej śmierci 100 tys. inni będą umierać latami. Wydawnictwo Znak wznowiło

Dzisiaj oglądamy niewidziany od lat konsensus militarny, apologię zmagani wojennych. I równocześnie narastający fenomen denializmu klimatycznego, a katastrofa związana z ociepleniem klimatu grozi czymś nieporównanie gorszym niż jądrowe harce Amerykanów w 1945 r.

Te konteksty, rzecz jasna, nie pojawiają się w mowie Nawrockiego, która podporządkowana jest starciu z rządem, Platformą i Tuskiem. Takie to wodzowskie zapędy na miarę szlacheckiego zajazdu. I tylko Polski żal. Daremny i bezsilne złorzeczenia.

Wśród wielu gróźb, które rzucał nowy lokator Pałacu Prezydenckiego, jedna wydaje się naprawdę złowroga. To zapowiedź rewolty konstytucyjnej. „Musimy zacząć działać nad rozwiązaniami nowej ustawy zasadniczej, która będzie gotowa do przyjęcia, mam nadzieję i wierzę, w roku 2030”. Dzisiaj wydaje się, że sił wciąż za mało na zmiany konstytucji, ale doświadczenia rządów PiS pokazują, że poszerzanie pola walki i zmiana niezmiennych, wydałoby się, filarów to jest to, co ta formacja polubiła ponad dopuszczalną miarę.

Jednak nie wszystko jest na nie. Akurat sprzeciw wobec wprowadzenia euro w Polsce uważam za słuszny. Problem w tym, że nie od prezydenta to zależy i z zupełnie innych racji niż antyeuropejskość Nawrockiego jest to niewskazane. Będzie marnie, może tylko strasznie albo jednak potwornie. „Niech Bóg błogosławi Polsce, niech żyje Polska!”. Niech bóg, którego nie ma, broni nas przed taką Polską. ■

OBŁAWA AUGUSTOWSKA

Fakty i kontrowersje

Już pierwsze zdanie Stanisława Kulikowskiego w artykule „Tragedia niedokończona” (nr 29/2025) budzi sprzeciw. Nie wiem, jacy to „historycy” mogą pisać, że „obławę augustowską przeprowadziły oddziały NKWD wspomagane przez funkcjonariuszy UB”. Jak słusznie podkreśla historyk dr Tadeusz Radziwonowicz, długoletni dyrektor Archiwum Państwowego w Suwałkach, człowiek, który chyba najgłębiej wgrzył się w temat, jest to nieporozumienie. Była to bowiem operacja wojskowa, przeprowadzona przez oddziały 2. Frontu Białoruskiego (głównie 50. Armii), pilotowana przez kontrwywiad wojskowy, czyli Smiersz. NKWD z UB miały najwyżej funkcje pomocnicze.

Nie widziałem autora publikacji na debacie przeprowadzonej 13 lipca 2025 r. w Domu Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej Instytutu Pileckiego, a szkoda. Zasłużony publicysta, który pierwszy pod koniec lat 80. XX w. w „Krajobrazach”, czyli w oficjalnym piśmie PZPR, podjął sprawę wraz z Ireneuszem Sewastianowiczem, dużo by na tej obecności skorzystał. Co do liczby zamordowanych także są kontrowersje. Podaje się liczby od 600 do 2 tys. Nie ulega wątpliwości, że podana przez rosyjską prokuraturę liczba 592 (na podstawie sztyfrogramu gen. Abakumowa) jest zaniżona, dotyczy tylko głównego etapu operacji, po którym nastąpiły jeszcze kolejne aresztowania i zabójstwa.

Mnie przekonują szacunki dr. Jerzego Milewskiego (autora określenia obława augustowska) z białostockiego IPN, oceniającego liczbę ofiar na 700-750. Z badań dr. Nikity Pietrowa wynika, że zachowało się 575 teczek osobowych, do których nie było ani nie ma teraz dostępu. W wyniku ustaleń Danuty i Zbigniewa Kaszlejów z nazwiska znanych jest i potwierdzonych 513 osób.

Na debacie podano również, że odsetek przypadkowo zabitych ludzi nie jest aż tak duży, jak pisze red. Kulikowski. Okazuje się, że z ustalonych nazwisk ok. 70%

ofiar miało powiązania z Armią Krajową, przynajmniej z siatką terenową AKO. Rodziny po prostu jeszcze po 1990 r. bały się do tego przyznać. Nie tylko przed panem redaktorem.

Włączenie tematu obławy augustowskiej w bieżące rozgrywki polityczne spowodowało, że nie wyjaśniono wielu spraw, w tym nie ujawniono miejsca pochówku „zaginionych”. W dobie poprawnych stosunków polsko-białoruskich istniała szansa na jego odnalezienie. Czynniki państwowe wołały jednak głośno demonstrować i pokrzykiwać, a nie ułatwiać po cichu wyjaśnienie problemu.

Nie ma co ukrywać, już od 2015 r. wiadomo, gdzie prawdopodobnie znajdują się groby. Wpadł na to, przeglądając zdjęcia satelitarne, Tomasz Kielczewski, obecny kierownik Muzeum Ziemi Augustowskiej, od razu poparty przez pracowników białostockiego oddziału IPN. Jest

Dlaczego okolice Puszczy Augustowskiej wybrano na tak szeroko zakrojoną operację?

to miejsce w pobliżu dawnej leśniczówki Giedź przy drodze z Rygola do Kalet, tuż za obecną granicą państwową w białoruskiej stronie granicznej.

Pozwolę tu sobie na akcent osobisty: wiosną 1981 r. spotkaliśmy z obecną moją żoną na ulicy Młyńskiej (wtedy Związków Zawodowych) podpitego Jana Szostaka (rzadko chodził trzeźwy). Zapytałem go wprost, co się stało z ludźmi aresztowanymi podczas obławy w lipcu 1945 r. Reakcja była łatwa do przewidzenia: „A to była jakaś obława? Kto to mówi?”. Odpowiedziałem standardowo: „Wszyscy mówią”. Zaskoczony odrzekł: „Myśmy się dowiadywali, jest wielka mogiła pod Sopoćkiniami”.

Nie bardzo rozumiałem tę odpowiedź. Dopiero znacznie później zorientowałem się, że pod koniec 1945 r. albo już w 1946 r. UB otrzymał od władz wojewódzkich zadanie uzyskania wyjaśnień. Rodziny zgłaszały się po pomoc, zasilki

i wsparcie w innych sprawach bytowych, wszak utracili żywicieli. Służby swoimi kanałami uzyskały tę odpowiedź strony radzieckiej i na tym poprzestano.

„Okolice” w tym przypadku rozumiane są szeroko. Istotnie Giedź znajduje się w kierunku na Sopoćkinie. Widać, że funkcjonariusze włączeni bezpośrednio w obławę nie mieli pojęcia ani o celu, ani o konsekwencjach operacji.

Skąd w ogóle wiedziałem o sprawie? W 1979 r. otrzymałem od sekretarza komitetu miejskiego PZPR zadanie opracowania wniosku do Rady Państwa w sprawie odznaczenia Augustowa Krzyżem Grunwaldu II klasy za postawę mieszkańców podczas II wojny światowej. Było to zadanie ekspresowe. Wszystko zostało omówione i zatwierdzone, tylko wniosek nie był przygotowany. Z przerażeniem skonstatowałem, że w mieście nie było w ogóle przygotowanej dokumentacji

historycznej. Do hasła „Augustów” w encyklopedii wpisano pojedynczą akcję partyzancką, zupełnie bez znaczenia (zdobyto maszynę do pisania i skórę na buty),

z której był dumny kierownik Żeglugi Augustowskiej i zarazem prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Augustowskiej Zbigniew Zdrodowski. Żadnych nazwisk. Podniosłem więc alarm i w akcję ustalania nazwisk ludzi, którzy utracili życie podczas II wojny światowej, włączyły się szkoły. Działo się to jednak późno i bardzo wycinkowo. Napisałem coś ogólnego, co poprawił „po linii i na bazie”, acz niegrammatycznie, jakiś instruktor w komitecie. Wystarczyło.

Przy tej okazji wyszła sprawa obław z lat 1944-1945. Pamiętam, że podczas wyjazdów terenowych w sprawach stricte muzealnych chętnie dzielono się ze mną wiadomościami, kto z danej wsi nie wrócił do domu. Na pewno było trudniej uzyskiwać informacje u samych rodzin, skutecznie zastraszone. Trzeba podkreślić, że obław na mniejszą skalę niż lipcowa było wiele, z tym że większość aresztowanych (poza tymi, których



zameczono „badaniami”, czyli torturami) przeżyła.

Do dziś historycy nie są w stanie odpowiedzieć na najprostsze pytania: dlaczego na tak szeroko zakrojoną operację wybrano okolice Puszczy Augustowskiej? Siły AK były tu stosunkowo słabe. Większy opór przeciwko władzy ludowej notowano w środkowej i południowej części województwa białostockiego, na Lubelszczyźnie i na północnym Mazowszu. Dlaczego zgromadzono tak potężne siły i środki, gdy według materiałów Komendy Głównej AK było tu 500 żołnierzy zaprzysiężonych i przygotowanych do działań wojskowych? Dlaczego pojmanych zgładzono, gdy w ZSRR wobec zniszczeń wojennych i strat każdy człowiek zdolny do pracy był na wagę złota? Dlaczego – tak jak uwięzieni w tej samej operacji Litwini – nie trafili oni do łagrów? Wiadomo, że stało się to na podstawie decyzji najwyższych czynników państwa radzieckiego, a więc Stalina.

Co do postaci Jana Szostaka, na którego spada główne odium za obławę, miałbym pewne wątpliwości. Gdy rozmawiałem z komendantem obwodu AK kpt. Bronisławem Jasińskim („Komar”,

„Łom”) i wymieniał to nazwisko, zobaczyłem jego wymowne spojrzenie, odpowiedź zaś brzmiała: „Byli gorsi”. Delatorów było na kopy.

Sam Szostak wyjaśnił mi, że przyczynił się zupełnie przypadkowo do przejęcia archiwum komendy obwodu AK u Zięcinów w Krasnoborkach. Materiały te trafiły w ręce Rosjan. Nie wykluczam, że ktoś z UB współpracował z podziemiem i mógł ostrzec dowództwo przed zbliżającą się obławą. Uratowała się cała obsada komend dwóch obwodów i większość partyzantów AKO z inspektorem mjr. Szabunią włącznie. Polaków do organizacji i tajemnic obławy nie dopuszczano. Do końca organa radzieckie nie miały do nich zaufania. Fakt, to Szostak i inni polscy funkcjonariusze byli przewodnikami Sowietów, którzy działali na podstawie wcześniej ustalonych list proskrypcyjnych. Kto je ustalał, na razie nie wiadomo, choć można się domyślać, że siatka Smiersz.

Warto podkreślić, że Szostak nigdy nie był komendantem PUBP, którym mógł być tylko oficer. Jego najwyższy stopień to sierżant. Jakiś czas był referentem ds. walki z bandytyz-

mem. W Elku pełnił funkcję zastępcy komendanta PUBP. Do Augustowa powrócił w 1947 r. w charakterze zastępcy komendanta i czasowo pełnił jego funkcję. Po niecałym roku został w trybie natychmiastowym odwołany za przekroczenie uprawnień i skierowany na funkcjonariusza komendy miejskiej w Białymstoku, a po miesiącu w ogóle usunięty ze służby. (...)

Konsekwencje oblavy augustowskiej skutecznie przesłoniły zbrodnie hitlerowskie, które na naszej ziemi były pokaźne. W okolicach miasta są miejsca masowych straceń – w Szczepie (ok. 7 tys.), w lesie Klonownica (ok. 5 tys.), tylko kilkadziesiąt ofiar pochowano na Dąbku i przy karniaku... 34 osoby, głównie harcerze, zostały stracone w Naumowiczach w lipcu 1943 r. Były i rozstrzeliwania dokonywane przez Niemców wcześniej i później. Większości nazwisk ofiar nie ustalono. Rozumiem tę sytuację – oblawa była ewenementem w skali kraju, gdy masowe zbrodnie hitlerowskie stały się zjawiskiem powszechnym.

Wojciech Batura,
emerytowany kustosz
Muzeum Ziemi Augustowskiej



**105. ROCZNICA BITWY WARSZAWSKIEJ
I UROCZYSTE OTWARCIE WYSTAWY
STAŁEJ W MUZEUM BITWY
WARSZAWSKIEJ 1920 ROKU
W RADZYMINIE**

W PROGRAMIE:

- SYMBOLICZNE PRZECIĘCIE WSTĘGI;
- PRZEMÓWIENIA OKOLICZNOŚCIOWE ZAPROSZONYCH GOŚCI;
- KONCERT PIEŚNI PATRIOTYCZNYCH;
- OPROWADZANIE KURATORSKIE;
- KĄCIK WARSZTATOWY „POCZTÓWKA DO ŻOŁNIERZA 1920 ROKU”;
- EDUKACYJNA GRA MUZEALNA „TROPICIELE TAJEMNIC”;
- STANOWISKO GRUPY REKONSTRUKCYJNEJ;
- NAMIOT Z GADGETAMI PROMOCYJNYMI;
- WYSTAWY CZASOWE.

15 SIERPNIĄ 2025
PIĄTEK

GODZ. 11.00

WSTEP WOLNY!

Muzeum Bitwy Warszawskiej 1920 roku w Radzyminie
Oddział Muzeum Niepodległości w Warszawie
Al. Jana Pawła II 64, 05-250 Radzymin

Niewypowiedziane pół świata

Żyję życiem moich bohaterek. Na wojnie jestem od pięciu lat i nic mnie już nie dziwi

Rozmawia Tomasz Miłkowski

„Nikt się nie dowie, jaką nam przyszłość zgotują bogowie”, pisał Horacy. Carpe diem, chwytaj dzień. Idziesz jego śladami?

– Mówisz pewnie o Festiwalu Sztuki Carpe Diem. Otóż byłam kiedyś w Czarnolesie ze spektaklem „Simona”. Zobaczyłam wtedy ogromny, wielohektarowy park, ze starodrzewem, z amfiteatrem, i pomyślałam, że to doskonałe miejsce, aby stworzyć tam festiwal. Muzeum kieruje Ireneusz Domański, bardzo otwarty, uważny gospodarz. Podchwycił ten pomysł z entuzjazmem i dołożył do niego swoją inwencję oraz głęboką znajomość regionu i historii. Dzięki temu pomysł zyskał nowe życie – i tak właśnie narodził się ten festiwal w cieniu czarnoleskiej lipy.

Lipa nadal rośnie?

– Tam jest dużo pięknych i starych lip, drzew naprawdę sędziwych. Panuje niezwykle klimat – to jakaś enklawa w środku niczego. Dojazd jest bardzo trudny, dlatego ludzie pytają, jak dojechać, ale zainteresowani znajdują drogę – w tym roku na festiwalu było 1,5 tys. osób.

W Czarnolesie zachęcasz do życia czasem teraźniejszym, z kolei w swoich monodramach próbujesz się uporać z przeszłością.

– Festiwal jest czymś odrębnym, innym od tego, czym się zajmuję na co dzień. Jest dla mnie rodzajem ulgi. Potrzebuję tego, żeby zyskać uważność na każdego widza, każdego gościa, żeby zająć się innymi, a nie sobą i moimi bohaterkami. To ja chwytałam się tego dnia w niezwyklej przestrzeni Czarnolasu.

Mówisz o duchu miejsca – do takich miejsc Igniesz. Grałaś Simonę



AGNIESZKA PRZEPÍÓRSKA

– aktorka filmowa i teatralna.

Obecnie w Teatrze Słowackiego w Krakowie; w latach 2006-2008 występowała w Teatrze im. Szaniawskiego w Wałbrzychu. Współpracowała m.in. z warszawskimi teatrami: IMKA, WARSawy, Powszechnym, Polonia, Żydowskim, a także z kabaretem Pożar w Burdelu.

w puszczy, Ginczankę na Mikołajewskiej w Krakowie, przedstawiałaś historię ocalonej Ireny K. w szkole im. Kottłątaja na warszawskiej Ochocie. Czy spektakle w takich

miejscach naznaczonych gra się inaczej?

– Towarzyszy temu uczucie podłączenia się pod energię takiego miejsca. Jadwiga Stańczakowa, bohaterka mojego ostatniego spektaklu, mówiła, że każda rzecz ma swoją pamięć. Mam wrażenie, że te miejsca zachowały taką szczególną pamięć. Granie w nich uaktywnia tę energię, mogę czerpać z tego źródła. To dla mnie bardzo mocne granie, czasem niezwykle trudne. Także dla widza, bo nie ma wówczas bezpiecznego układu: widz-aktor, światło-scena-widownia. Wszystko ulega wymieszaniu, scena i życie przenikają się.

Kto wie, może poezja pomaga się w tym odnaleźć. Zauważyłem, że w ostatnich latach bohaterkami twojego teatru biograficznego są poetki: Ginczanka, Sadowska, Stańczakowa, a po drodze zagrałaś jeszcze kameralny spektakl o Szymborskiej. Przypadek czy wybór?

– To bardzo dziwne. W poezję wciągnęła mnie Ania Gryszkówna, która czuje poezję, umie ją wypowiadać. Kończyłam szkołę aktorską w Petersburgu i w ogóle nie miałam do czynienia z polską poezją poza liceum, gdzie poezja była traktowana po macoszemu, na maturze nikt nie wybierał wiersza do analizy. Powoli otwierał się przede mną świat słów, metafor, myśli zawartych w wersach. I może też pod wpływem przytłaczającej codzienności poezja stała się dla mnie nowo odkrytą przestrzenią, przynoszącą rodzaj ulgi. Tak to się stało i rzeczywiście zaczęłam robić spektakle o poetkach, co już się układa w jakiś cykl. Nawet mam już nazwę: „Nieobecne obecne”.

Najbardziej zaskakująca w tym gronie jest obecność Jadwigi

Stańczakowej, uważanej za „panią od Mirona Białoszewskiego”. Tymczasem ty ją przywracasz jako poetkę.

– Przetłumała to wcześniej wspa-
niałą biografią Stańczakowej Justyna
Sobolewska.

Prywatnie wnuczka poetki.

– Kiedy przeczytałam jej książkę,
od razu pomyślałam, że to moja bo-
haterka, spełnia wszystkie wymogi:
jest na drugim planie, fokus jest na
niego, a nie na nią, okazuje też nie-
samowitą dzielność i determinację.
Poczułam, że to jest historia warta
opowiedzenia.

**A w jaki sposób bohaterki twoich
monodramów do Ciebie przychodzą,
skąd one się biorą? Czy szukasz ich
nerwowo, polujesz na nie?**

– Nie ma reguły, jak to się rodzi.
Na pewno nie jest tak, że czytam
biografię w poszukiwaniu bohater-
ki. Nic z tych rzeczy. Zwykle to one
już są tutaj i dobijają się do mnie.
Czasem zdarza się taka sytuacja,
że gram jakiś spektakl, a już poja-
wia się myśl o innej bohaterce. To
nie są czary-mary, ale pewien pro-
ces. Jak się gra spektakle, podczas
których następuje zatura emocjo-
nalna, to wchodzi się w jakiś pod-
ziemny prąd, który nie towarzyszy
nam na co dzień. To są szczególne
energije i moce w tych zaklętych
słowach, coś innego niż potocz-
na rzeczywistość. Dużo się otwie-
ra takich skojarzeń podczas grania
spektakli. Miałam taką sytuację,
kiedy grałam Irenkę w „Ocalonych”,
a już poczułam, że obok stoi i tupie
nogą Pola Nireńska. Te bohater-
ki do mnie przychodzą, z jakiegoś
powodu mnie wybierają i męczą
od rana do nocy. Intuicyjnie mi się
pojawiają. W przypadku Jadwigi
Stańczakowej przeczytałam bio-
grafię, Ginczanek zaproponował mi
Piotr Rowicki...

**...ale jak zawsze weszłaś w postać
z impetem.**

– Tak było i jest. Niedawno gra-
łam po raz pierwszy „Ginczanek” i przy-
pomniała się w tym spektaklu z taką
siłą, że aż nie mogłam nad nią zapa-
nować. Widocznie była zniecierpli-
wiona, że tak dawno nie była na sce-
nie, i rozszarpała mnie na kawałki.
Widownię też.

Tak więc rozmaicie bywa z ty-
mi inspiracjami – przeczytałam jakąś
książkę albo artykuł, jak wywiad Ce-
zarego Łazarewicz z Hanną Krall,
wiele lat temu. Wtedy po raz pierw-
szy pojawiła się myśl o zbliżeniu do
Barbary Sadowskiej, matki Grzego-
rza Przemyka.

**To było jeszcze przed spektaklem
w Polonii, „Żeby nie było śladów”,
w którym grałaś jej postać?**

– Wiele lat wcześniej. Bohaterki
się pojawiają, a kiedy to jakoś się
skleja, przychodzi czas na opowieść.
To bardzo zbalansowana wymiana.
Ja daję swoim bohaterkom głos,
znowu są czytane, słuchane, zaczy-
niają istnieć w przestrzeni publicznej,
a one pozwalają mi korzystać z ich
wspaniałości. Powstaje takie nie-
oczekiwane siostrzeństwo.

**Pracujesz niezwykle intensywnie.
Kiedy Katarzyna Flader-Rzeszowska
zaczynała pisać książkę „Bioteatr**

Często stoję z tyłu za moimi bohaterkami.

Chcę, żeby to one były w świetle, żeby o nich mówiono.

**Agnieszki Przepiórskiej”, miałaś za
sobą osiem monodramów. Podczas
jej tworzenia powstał dziewiąty,
a kiedy książka była gotowa, zda-
żyłaś dać premierę 10. monodra-
mu „Jadwiga” podczas Festiwalu
Persona w Mazowieckim Instytucie
Kultury. Trudno za tobą nadążyć.**

– Trochę tak, ja sama za sobą
nie nadążam.

Co Cię tak napędza?

– To pewnie motyw na długą roz-
mowę z terapeutą. Czy to jest lęk,
czy raczej nieprzeparta chęć opo-
wiadania historii? Poczucie, że pół
świata jest nieopowiedziane. Mam
wielką determinację, żeby te histo-
rie kobiecie opowiadać. Zwłaszcza
teraz, kiedy następuje odwrót od
spraw ważnych dla kobiet. I klu-
czowych, jeśli chcemy żyć w społe-
czeństwie, które jest równoprawne.
To mój sposób na dołożenie cegieł-
ki do walki o prawa kobiet. Dlatego
przywołuję te kobiety, stawiam je
w świetle, opowiadam tę nieopo-
wiedzaną część świata.

**Można mówić o rodzaju misji,
którą wypełniasz?**

– To coś większego ode mnie.
Często stoję z tyłu za moimi bohater-
kami. Chcę, żeby to one były w świe-
tle, żeby o nich mówiono. Mam po-
czucie, że ja, Agnieszka, wobec tych
wszystkich bohaterek nie mam nic
takiego ważnego do powiedzenia.
Nie umiałabym stanąć na scenie
i powiedzieć: teraz proszę patrzeć
i słuchać, Agnieszka Przepiórska
robi monodram o sobie i swoich
przemysłeniach.

To byłoby „Moje życie w sztuce”.

– No nie, one są milion razy bar-
dziej interesujące ode mnie. Ja się
trochę pod nie „podpinam”.

Rodzaj wampiryzmu?

– Tak, bo one są takie utalentowa-
ne i dzielne, i wiersze piszą. Może
coś na mnie spłynie?

**Czasem jednak twoja bohaterka,
choć ma imię, bywa ulepiona z lo-
sów wielu postaci. Tak było w „Oca-
lonych”, wyjątkowym monodramie,**

**przywracającym pamięć o kobietach
– bohaterkach, ofiarach bestialskich
gwałtów i mordów na ochockim
Zieleniaku podczas powstania
warszawskiego, dokonanych przez
zwyradniałców z oddziału RONA SS.
Odnoszę wrażenie, że część widzów
boi się tego monodramu.**

– Tak, „Ocalone” bywają wyklu-
czane. Powody są różne, czasem tak-
że polityczne. Ale nie chcę poświę-
cać temu swojej energii. Z mojego
doświadczenia wynika, że tematy
związane z krzywdą kobiet, z prze-
mocą, z pamięcią trudną i niewy-
godną często budzą opór. To chyba
naturalna reakcja na sytuację, z któ-
rymi trudno się oswoić. Tak postę-
puje też Irenka, bohaterka spektaklu,
która ocalała z rzezi, ale żeby żyć,
musiała od przeszłości się odciąć.
To się udziela widzom.

To Cię nie dziwi?

– Nie dziwi. Pod koniec spek-
taklu wzywam do apelu pamięci.
Rzadko się zdarza, że widzowie nie
wstają – tak było może raz czy dwa.
I w Hiszpanii, bo tam w ogóle nie
ma zwyczaju apelu poległych. Kiedy ▶

▶ widownia nie wstaje, część widzów ma potem poczucie winy, niestosowności zachowania. Tymczasem najważniejsze dla mnie, dla nas, którzy ten spektakl przygotowaliśmy, dla reżyserki Mai Kleczewskiej i dramaturga Piotra Rowickiego, jest to, że ta historia zostaje wysłuchana. I nie potrzebujemy niczego więcej. Nie potrzebujemy, żeby ktoś stał na baczność, żeby przeżywał traumę. Nie, najważniejsze, że ta historia zostaje wysłuchana. To jest nasz cel i marzenie. A wszystko, co się dzieje dalej, jakie emocje wywołuje w widzach, to rzecz mniej istotna. Najważniejsze, że Irenka, reprezentantka wszystkich kobiet z Zieleniaka, zostaje zakorzeniona w naszej rzeczywistości i obok bohaterów powstańców, małych powstańców i kultu wokół powstania robi się wreszcie miejsce na opowieść o tych bohaterskich kobietach.

Zależało ci, żeby w okresie rocznicy powstania pojawić się na Ochocie z tym monodramem?

– Bardzo mi zależało, żeby w tym roku też tam być, i udało się dzięki Kasi Puchalskiej z Domu Spotkań z Historią i dzięki Ośrodkowi Kultury



np. grać pięć spektakli na wyjeździe w ciągu miesiąca, a nie 25.

Chcesz trochę zwolnić?

– Trochę tak, ale nie przestać. Trochę też zadbać o siebie. Cały czas żyję życiem moich bohaterek. Na wojnie jestem od pięciu lat i nic mnie już nie dziwi. Czytam książki o wojnie i traumie, o Holokauście, Zieleniaku, powstaniu, to są moje lektury na wakacje.

brakuje, tej fenomenalnej reakcji: to, co się dzisiaj dzieje, od razu jest na scenie. Z ironicznym komentarzem. To było momentalne przetwarzanie rzeczywistości. I zarazem ogromne poczucie ulgi i sprawczości.

Oraz świadectwo, że drzemia w tobie ogromne pokłady komizmu, czego dowiodłaś także w spektaklu „Kocham Bałtyk”, jedynym twoim monodramie komediowym.

– Wracam teraz do niego.

W sam raz na wakacje.

– Nie grałam go chyba od trzech lat. Myślałam, że muszę się uczyć tekstu od początku, ale nie, okazało się, że pamiętam dużo. Jestem na etapie przygotowań.

Na scenie leżały jakieś dmuchane ryby, potwory...

– ...krokodyle! I ta wkurzona matka, gofry, kąpiąca bita śmietana.

Sama prawda. Niby banały, a życie.

– Taka codzienność wakacji, które miały być wymarzone, a stają się udręką.

Życzę ci takich chwil oderwania od ważnych rzeczy, które robisz. I żeby w tej ważności był wentyl bezpieczeństwa.

– Bardzo potrzebne są takie chwile oderwania.

Twoje spektakle kosztują wiele wysiłku psychicznego. To bolesne przeżycia. Wiem, że to aktorstwo, dystans, ale jesteś tak głęboko wessana w opowiadane historie, że czasem bierze strach. Czy pilnujesz się?

Krzywdza kobiet, przemoc i trudna pamięć budzą opór. To chyba naturalna reakcja na sytuację, z którymi trudno się oswoić.

Ochota. 14 sierpnia, w rocznicę wydarzeń w Zieleniaku, zagram w Liceum Kołtątaja. Już czuję przejmujący dreszcz.

Krążysz ze swoimi monodramami po całym kraju, tak jak wcześniej, grając w różnych spektaklach wieloobsadowych, od Wałbrzycha po Szczecin. Całe życie tak krążysz. Masz poczucie, że jesteś aktorką wędrowną?

– Tak, mam takie poczucie. I przyznam się, że po tylu latach odczuwam zmęczenie. Ciągłe pokonywanie setki kilometrów. Najtrudniejsze są te podróże, bo satysfakcja grania zawsze jest ogromna, ale potem trzeba znowu jechać. Zaczęło mi to ciążyć. Teraz, kiedy mam swoją przestrzeń na Saskiej Kępie, mogę tam przeżywać swoje *carpe diem*. Myślę również o narzuceniu sobie limitów, żeby

Raczej nierozrywkowe.

– No tak, ale pomyślałam: spokojnie, przecież jeszcze nie ma wojny.

Nie zawsze tak z tobą było, że przypomniałaś kilka lat twoich związków z kabaretem Pożar w Burdelu.

To był oddech wolny od tragizmu.

– Ciągłe o tym zapominam, to było wiele lat.

35 premier!

– Fakt. I za każdym razem był to dwugodzinny show. Z piosenkami, z tańcami.

Roboty huk, ale i dopływ innej energii.

– Brak mi jeszcze dostatecznego dystansu do tego doświadczenia. Wszystko działo się tak szybko, że nie było czasu na zastanowienie. Z Pożaru w Burdelu od razu wpadłam w ramiona moich bohaterek, ale to był wspaniały okres. Tego mi bardzo

– Zupełnie się nie pilnuję. Wchodzę w postać i nie daję sobie żadnych kół ratunkowych. Czekam, co się wydarzy. A jednocześnie technicznie ogarniam spektakl: gdzie światło, gdzie wyjście, nie tracę poczucia, że jestem aktorką i jestem w teatrze. Nie tracę kontaktu z rzeczywistością, ale czuję, że oddaję siebie w pełni. Bo też nie da się technicznie przespacerować przez żaden z moich spektakli. Ale mam taki dar, że kiedy wracam do domu, może trochę zakręcona, funkcjonuję normalnie. Moja rodzina się trzyma, idę na spacer z psem, rozmawiam o obiedzie, mam zdolność radzenia sobie z takimi sytuacjami. Chyba

nią enklawą, gdzie postacie mogą działać bezkarnie.

– Jednak Maja Kleczewska uprawia teatr wcieleniowy. Tam są role, relacje, pewnie dlatego tak mnie przyciąga. Bo tam jest budowany świat, jak choćby w jej „Weselu”. I Krystian Lupa, u niego też są te przestrzenie, w których pojawiają się napięcia między postaciami.

Ale u młodszych już nie.

– U młodszych jest inaczej, często nie ma gotowych ról, zbudowanego świata, który trzeba utrzymać. Ale wciąż jest otwartość, poruszenie, ciekawość. Może młodzi widzowie tego właśnie potrzebują. Życzliwie się temu przyglądam, choć sama



OCALONE

opanowałam to do perfekcji przez uporczywe powtarzanie trudnych sytuacji.

Jak coś się powtarza, to łatwiej.

– Już masz wydeptane ścieżki, wiesz, jak wrócić. Zupełnie inaczej pracuję ze swoimi studentami, bo oni mają dużo oporu przed wchodzeniem zbyt głęboko w postacie. Nie chcą, to nowe pokolenie. Uczę ich zasady: wchodzi i zaraz wraca. Wchodzisz do kostek do morza i wracasz. Potem do kolan i wracasz, potem do połowy ud i wracasz. Żeby cały czas mieć ścieżkę powrotu. A ja po prostu skaczę na główkę i nawet nie sprawdzam, jaki jest poziom wody. Wiem, że i tak wypłynę. To dla mnie ciekawa konfrontacja.

Dzisiejszy teatr ucieka od postaci. Monodram pozostał niemal ostat-

wolę grać w spektaklach, w których są role i są relacje, mocno osadzony świat. Ale rozumiem, że teatr musi się zmieniać: są rozmaite fale, rewolucje i zapewne tego trzeba, aby teatr wciąż trzymał rękę na pulsie.

Puls ten czuje się w zespole, w którym jesteś od kilku sezonów, w Teatrze Słowackiego.

– To świetny okres tego teatru. Powstały „Dziady”, „Wesele”, musical „1989”. Aktorzy błyszczą, są usatysfakcjonowani, bilety wyprzedane na pniu. Jesteśmy jednocześnie sceną narodową, więc i gratyfikacje wzrosły. Do tego czas solidarności z dyrektorem Krzysztofem Gluchowskim, który przez 800 dni pozostawał w stanie bliskim odwołania, scementował ten zespół niebywale. To była wspólna walka o wolność słowa, o wolność

wypowiedzi, a dla mnie lekcja obywatelskiego myślenia, chyba najważniejsza lekcja teatralna. Krzysztof Gluchowski jest dla mnie ucieleśnieniem idealnego szefa z niewzruszonym spokojem w sobie, nawet w najbardziej stresujących sytuacjach. Była taka bardzo nerwowa sytuacja podczas próby „Dziadów”, kiedy podest jechał w górę i nie zatrzymywał się, a to było naprawdę niebezpieczne – dyrektor działał wówczas jak oliwa na wzburzone fale. Jeśli masz lidera obdarzonego takim rodzajem spokoju i pewności, że wie, w jakim kierunku idzie, to twój zespół jest spokojny.

Słowacki to dla mnie bardzo szczęśliwe spotkanie, także spotkanie z Mają Kleczewską i Agatą Dudą-Graczą o bardzo wyrazistym własnym języku. Musiałam się nauczyć być zdyscyplinowanym instrumentem w orkiestrze.

Choć zwykle bywasz bardzo spontaniczna, jak podczas premiery „Jadwigi”, a było to w dniu drugiej tury wyborów, kiedy podczas oklasków dramaturg Piotr Rowicki powiedział ci, że wygrał Rafał Trzaskowski.

– Nie przypominaj mi o tym, wpadłam wtedy w dziką euforię, zwłaszcza że miałam złe przeczucia.

Miałas rację.

– Tym większe okazało się rozczarowanie. Zawsze jestem zbyt emocjonalna. Mój mąż jest oazą spokoju. Zawodowo trzyma rytm (jest świetnym perkusistą), prywatnie utrzymuje nas wszystkich w równowadze.

Nie chciałam grać w dniu wyborów, myślałam, że nikt nie przyjdzie, ale przekonano mnie, że wybierają się ludzie, którzy chcą ten czas przeżyć inaczej. Ja sama bym w taki dzień nie poszła do teatru. Niepotrzebnie się dowiedziałam o tej „wygranej”, na widowni przecież mogli być ludzie o rozmaitych poglądach, chociaż Krzysztof Gluchowski uważa, że brawa są dla aktorów. Dlatego mają prawo wychodzić z flagami, np. ukraińskimi dla poparcia walki Ukrainy, albo z bliskimi im hasłami. To jest czas dla nas. To daje nam poczucie sprawczości i ważności, wyrażenia siebie i tego, że nie jesteśmy tylko instrumentami, ale mamy prawo do własnej wypowiedzi.

Tomasz Miłkowski

31. Międzynarodowy Plenarowy Festiwal Jazz na Starówce New Bone Quintet – premiera Sorrow

Uznany kwintet założony i prowadzony przez trębacza Tomasza Kudyka zaprezentuje materiał z albumu „Sorrow”, który premierę miał w marcu. Muzyka na nowej płycie – autorskie kompozycje lidera i pozostałych członków zespołu – utrzymana jest w różnorodnej stylistyce współczesnego jazzu. Zawiera fragmenty liryczne, przeplatane dynamicznymi motywami z wykorzystaniem pełnej kolorystyki brzmienia zespołu, na którą prócz trąbki składają się saksofon Marcina Konieczkowicza, kontrabas Macieja Adamczaka, fortepian Dominika Wani i perkusja Dawida Fortuny. Niektóre utwory są dedykacjami, tak jak suita „Szu”, którą Tomasz Kudyk poświęcił Janowi Nowickiemu, wszystkie ukazują dojrzałość stylu. Koncert zachwyci zarówno miłośników jazzu, jak i tych, którzy dopiero odkrywają ten gatunek. (ap)



Więcej na: www.jazznastarowce.pl, www.facebook.com/festiwaljazznastarowce

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 16 sierpnia, godz. 19

NA EKRANACH

Fantastyczna 4: Pierwsze kroki, reż. Matt Shakman, już w kinach

Od pewnego czasu za sprawą filmów i seriali wypuszczanych przez koncerny filmowe widzowie czują się znużeni superbohaterszczyzną. W te wakacje coś jednak się zmieniło – najpierw widzów i krytyków na całym świecie zachwycił „Superman”, a teraz pora na pierwszą rodzinę ze świata Marvela, czyli fantastyczną czwórkę. Film broni się przede wszystkim formą – nie trzeba znać komiksów i poprzednich tytułów, aby zrozumieć, co się dzieje na ekranie, kim są postacie i o co toczy się gra. Do tego zobaczymy znane twarze,



m.in. Pedra Pascala i Vanesę Kirby. Warto podkreślić, że wszyscy wypadają przekonująco i tworzą interesującą patchworkową rodzinę. Najnowsza produkcja ze stajni Marvela zachwyca również rozmachem – audiowizualnie to pierwsza liga i być może jeden z najładniejszych tegorocznych blockbustów. Fantastyczna opcja na weekend dla całych rodzin – Marvel dostarczył świetną rozrywkę aż do napisów końcowych.

Jan Tracz

ZASŁUCHAJ SIĘ



Krzysztof Meisinger, MACV Spanish Night DUX

Wirtuoz gitary klasycznej przygotował z zespołem instrumentów dawnych Musicae Antiquae Collegium Varsoviense Warszawskiej Opery Kameralnej płytę z klasycznymi hitami hiszpańskimi. Do dźwięków gitary dodane są nastrojowe smyczki, czasem flet, ale niekiedy odzywają się także charakterystyczne kastaniety. Wszystko razem skłania nie tylko do tańca, ale także do zadumy i rozmarzenia.

Bronisław Tumitowicz

MIEDZY OKŁADKAMI

Joan de Déu Prats Barcelona. Opowieści o mieście tłum. Marta Pawłowska Znak, Kraków 2025

Nie jest to przewodnik, nie znajdziecie tu tras zwiedzania, listy muzeów ani gotowych planów spacerów. Zamiast tego – opowieść. Literacka, zmysłowa, pulsująca rytmem miasta, które zna każdy turysta, ale rozumieją tylko nieliczni. Joan de Déu Prats Pijoan, rodowity Katalończyk, zabiera nas w podróż nie po Barcelonie z pocztówek, lecz po mieście własnego serca. W tej książce Gaudí nie jest tylko wizjonerem architektury, ale żywą obecnością, cieniem rzucanym przez nieskończoną Sagradę Familię. Picasso nie pojawia się jako nazwisko w muzealnym katalogu, raczej jako młody chłopak rysujący w kawiarniach. Tu każda ulica ma coś do powiedzenia, każda fasada coś ukrywa, a każdy szczegół – kolor strojów Barcy, zapomniany napój Cacaolat czy katalońska rumba – staje się opowieścią łączącą przeszłość z teraźniejszością. Autor nie opisuje miasta – on je przywołuje. Dla czytelnika to rozmowa podsłuchana przypadkiem, ale taka, której nie chce się kończyć. Rafał Piłkuła



Kolumnę przygotowała
Agata Gogotkiewicz

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Migawki i obrazy

Bieszczady, blisko granicy ukraińskiej. Ból, że tak mało pamiętamy o wojnie, o zabitych i o naszych rannych braciach. Piękne krajobrazy z grzbietu zapory solińskiej, w wodzie kłębowski nadzwyczaj dużych karpi wąsatych, ludzie je dokarmiają ze szczytu zapory. Potem Sanok, zamek, a w nim muzeum. Rewelacyjne zbiory obrazów Zdzisława Beksińskiego. Pochodził z Sanoka, zapisał miastu w spadku swoje obrazy. Pamiętam, jak byłem w jego mieszkaniu na Służewie nad Dolinką. Mieszkanie i zarazem pracownia Beksińskiego znajdowały się w brzydkim bloku, tam został zamordowany. Słabo pamiętam malarza, najlepiej to, jak stoję w oknie i patrzę na krajobraz tej smętnej dzielnicy. Świetny film o nim „Ostatnia rodzina”.

Dwór w Komborni, luksusowy hotel z basenem, tam kilka dni. Niedaleko wieś Haczów, gdzie znajduje się najstarszy w Europie drewniany kościół gotycki. Jakim cudem ocalał? Zdumiewające, bo wokół pusto i głucho, a świątynia otwarta, nikt jej nie pilnuje, w środku tylko my. Wiele mroku i zapach drewna pociemniałego od upływu czasu. Obok niepiękny murowany kościół, o tyle oryginalny, że wzniesiony w 1944 r. Pamiętam czasy, gdy kościoły były zawsze otwarte, dzisiaj to dziwi. Wsiadamy do samochodu, gdy z nowego kościoła wychodzi ksiądz, otwiera drzwi auta, zdejmuje sutannę i od razu traci powagę. Mundur i sutanna mają moc.

Rzeszów, oszołomienie jego urodą i dostatkiem, piękny rynek, promienada. Franek, który ma słabość do wieżowców, zachwyca się niemal już ukończonym wysokościowcem, który stoi nad Wisłokiem, niedaleko starego miasta. Ten kontrast – wieżowiec i stare miasto. Budynek jest zaskakująco wzniosły i estetyczny. Frankowi od razu zapala się głowa, snuje plany przenosin do Rzeszowa. Sprzedamy nasz dom i kupimy w wieżowcu apartament, najlepiej na wysokim piętrze. W wieżowcu są siłownia i basen. Szczególnie ta siłownia go kusi, ale basen też miły sercu. Czasami zastanawiamy się, czy nasz Franek nie ma ADHD, codziennie nowe pomysły i nosi go po świecie, a jako małe dziecko był taki spokojny. Nie wiem, czy ADHD można nabyć z wiekiem. Może on jest tylko zafascynowany światem i głodny go, z pasją nim się teraz objada.

Znowu rocznica powstania warszawskiego, im więcej czasu upływa od jego wybuchu, tym większa celebra. I tym mocniejsze moje przekonanie, że to był heroiczny absurd, a ten absurd już niemal zjadł heroizm. Nasza

narodowa prawica tak nakręca patriotyczne wzmożenie i narodowy wyścig, że wszyscy muszą w nim uczestniczyć, by nie zostać w ogonie. Ten ogon jest nagi i tyś.

Ludzie czasami mówią mądre słowa – słuchać ich, bo tyle bredni unosi się w publicznym powietrzu. Donald Tusk: „Polska była, jest i będzie po stronie Izraela w jego konfrontacji z islamskim terroryzmem, ale nigdy po stronie polityków, których działania prowadzą do głodu i śmierci matek i dzieci. To musi być oczywiste dla narodów, które przeszły wspólnie przez piekło II wojny światowej”. Na fali wielkiego oburzenia na dramat Gazy zupełnie zapomniano, że wszystko zaczęło się od wielkiej zbrodni, jakiej dokonał Hamas. Zapomniano, czym jest Hamas, a jest jak SS. I że mieszkańcy Gazy pozwolili, by SS rządziło Gazą. Podobnie Izraelczycy pozwolili, by skrajna faszystująca prawica objęła władzę. Media rządzą naszymi emocjami. Telewizja pokazuje głodujące dzieci w Gazie (część zdjęć udostępnia Hamas, a dzieci wynędzniałe przez choroby genetyczne). Ludzie oburzają się na Izrael,

że zbrodniarze, potem dla kontrastu oglądamy izraelskich zakładników głodzonych na śmierć w tunelach terrorystów, zakrwawioną zakładniczkę, gwałconą i torturowaną, uświadamiamy to sobie i oburzamy się na Hamas.

Od tej huśtawki emocjonalnej liczni głupieją. Na pewno mamy lawinowy przyrost antysemityzmu, czyli była do tego pożywka. I na pewno nie da się o tym rozsądnie mówić, nie sięgając do historii, do Holocaustu i powstania Państwa Izrael, przecież na terenach, gdzie mieszkali różne ludy. W ramach wielkiej sprawiedliwości dziejowej działa się więc jakaś niesprawiedliwość. Teraz ten region za to płaci.

Zaskakujący głos naszego Kościoła, niestety odosobniony. Kard. Konrad Krajewski powiedział: „Jeśli »Polska ma być tylko dla Polaków«, to nie ma miejsca dla Chrystusa, był przecież uchodźcą”. To oczywiste, ale spora część narodu tego nie widzi ani nie czuje. I to uparte przekonanie, że Chrystus był Polakiem.

Kiedy wysyłam ten tekst, kończy swoją haniebną kadencję Duda, zaczyna haniebną kadencję Nawrocki. Będzie brzydko, a za dwa lata może być złowrogo. Nie musi. Aby wszystko było w naszych rękach, nie wolno nam ich opuszczać.

Karolina Dzimira-Zarzycka

Olga Boznańska nie ma wątpliwości: Kraków to nieznośne miasto, bo „powoli zdiera całą energię i indywidualność każdego człowieka, który tam przebywa”. W liście do ojca, pisanym we wrześniu 1892 r., przekonuje: „To się dopiero czuje poza jego murami, niech mi Tato wierzy. Widzę, jacy ludzie są w wielkim mieście, i widzę, jacy są w Krakowie. Tato z pewnością myśli, że jestem obałamuczoną Monachium, a ja Tacie powiem, że zaczynam dopiero być taką, jak powinnam być, i gdybym jakiś czas mogła w takich warunkach pozostać, w jakich się teraz znajduję, dostałabym trochę tej samodzielności i energii, jakie posiadają tutaj wszystkie moje koleżanki”.

Do Monachium Boznańska wyjechała kilka lat wcześniej, by rozpocząć naukę w prywatnej szkole malarskiej. Razem z młodszą siostrą Izą zamieszkała na pensji przy Schellingstrasse. W 1888 r. wynajęła atelier wspólnie z przyjaciółką, niemiecką malarką Hedwig Weiss, a rok później zdecydowała się już na własną pracownię przy Theresienstrasse 54. W 1894 r. przeniosiła się na Georgenstrasse – pod numer 45, na czwarte piętro.

Gdy prześledzimy adresy artystek (i artystów) mieszkających w tym czasie w Monachium, okaże się, że zwykle wybierali dwie przylegające do siebie dzielnice – Schwabing i Maxvorstadt, rozgraniczone właśnie Georgenstrasse. W sąsiedztwie znajdowały się najważniejsze instytucje naukowe i kulturalne: uniwersytet, Stara i Nowa Pinakoteka, Gliptoteka czy Akademia Sztuk Pięknych. W podobnej okolicy, oprócz Boznańskiej, mieszkaly i pracowały choćby Maria Dulębianka, Otolia Kraszewska czy Bronisława Janowska (później Rychter-Janowska).

Ta część miasta dopiero się rozrastała. Janowska, gdy wiosną 1899 r. znalazła mieszkanie na Kurfürstenstrasse, pisała do brata: „Obecnie jestem jak w raju, Stachu. Tak mi tu dobrze w tym pokoju, że się nie ruszę stąd do samego końca. Monachium od lat trzech zupełnie się w tej dzielnicy zmieniło (...)”.

W poszukiwaniu własnej pracowni

Brak odpowiedniego atelier wypychał artystów i artystki do Monachium, Wiednia i Paryża



Janowska podzielała entuzjazm Boznańskiej wobec bawarskiej stolicy. Kilka miesięcy później pisała do Krakowa: „Monachium pcha ludzi w górę, a gdy się jest w Secesji, śmiało można powiedzieć, że się trzyma rękę na pulsie sztuki europejskiej”.

Artystyczne sąsiedztwo działała stymulująco. Mniejsza nawet o muzea i galerie, ale te znajomości! Dla polskich malarzy obowiązkowym punktem pobytu w Monachium jest przede wszystkim wizyta w przepysznej pracowni Józefa Brandta, ale atelier Boznańskiej też staje się ważnym punktem na kulturalnej mapie miasta.

Wystrój pracowni Olgi Boznańskiej był prosty i ograniczał się właściwie do najpotrzebniejszych sprzętów. Na fotografiach widać niską kanapę i podest dla modela, a na jednym z obrazów malarki – szare ściany,

czarne biureczko pod oknem, zielone krzesło. To żywe wnętrze, w którym się pracuje, żadna dekoracja. Wypełnia je przede wszystkim sztuka: obrazy, szkice, rysunki. Na kolejnych zdjęciach widać, jak wędrują po ścianach i kątach, zmieniając co rusz wewnętrzzną konstelację.

Na fotografii wykonanej w pracowni przy Georgenstrasse Boznańska siedzi na niskiej kanapie. Nad prawym ramieniem malarki widać dwie podobne prace ukazujące malarkę przed sztalugą. Dolna to litografia czeskiej artystki Heleny Emingerovej, górna – pewnie jeden z wariantów kompozycji, może wstępny szkic. Gdy czasopismo „Ženský Svět” w lutym 1898 r. opublikuje artykuł o Boznańskiej napisany przez Julię Emingerovą, ilustrować go będzie właśnie litografią jej siostry.

Olga Boznańska
w pracowni
w Monachium...

....i w Paryżu



Autorka zapewni czeskie czytelniczki, że gdy Boznańska sięga po paletę i pędzle, sztuka pochłania ją całą: „I tak często skupiona w swej pracy, otoczona niebieskawym dymem papierosów, odpowiada z roz-targnieniem na pytania i uwagi znajomych, przybyłych do dużej pracowni, stanowiącej dla nich miły zakątek. Tu rozmawia się cicho, jedni po polsku, drudzy po francusku, ogląda się fotografie i szkice zawieszane na ścianach”.

Boznańska wspominała: „Jednego dnia skończyło się moje Monachium. Ojciec kazał wracać do Krakowa. Mówił, że nie ma pieniędzy, żeby nas, tj. Izię i mnie, trzymać za granicą. Płakałam wtedy całymi nocami. Ale musiałam pogodzić się. Wróciłam do Krakowa i wtedy ojciec wynajął mi pracownię (...). Przez okno mojej pracowni widać było kolej. A ja zawsze miałam sympatię dla kolei i do podróży dalekich. Ten widok był z początku chyba jedyną moją pociechą!”.

W mniejszych miastach wybór okolicy nie miał aż takiego znaczenia.

Bezpośrednie sąsiedztwo z galeriami czy akademią sztuk pięknych nie stanowiło priorytetu, bo wszędzie było stosunkowo blisko. Poza tym środowisko artystyczne było zbyt małe, żeby ukształtowała się cała dzielnica artystyczna.

„Kilku właścicieli domów przy ulicy Smolnej, korzystając z odpowiedniego światła, urządza w swoich kamienicach pokoje przeznaczone specjalnie na pracownię malarskie”, donosił

Dla polskich malarzy obowiązkowym punktem pobytu w Monachium jest wizyta w pracowni Józefa Brandta.

co prawda w lutym 1885 r. „Kurier Warszawski”, optymistycznie przewidując, że „z czasem ulicę Smolną będzie można nazwać ulicą malarzy... Obecnie mieszka ich tam pięciu czy sześciu”.

Były to jednak mrzonki. Wprost przeciwnie, w kolejnych latach warszawskie gazety wielokrotnie alarmowały, że w Warszawie brakuje

odpowiednich lokali na pracownię. W lutym 1898 r. miarka się przebrała. Jakiś anonimowy malarz wystąpił do „Kuriera Codziennego” artykuł, w którym dobitnie wyraził zdanie miejscowych artystów: „Żeby w mieście liczącym przeszło pół miliona ludności, w mieście, gdzie się buduje rokrocznie ok. 300 domów, nie można było znaleźć uczciwej pracowni malarskiej (nie mówiąc już o rzeźbiarskich!) – to jest fakt dziwny, świadczący bardzo smutnie o pp. Przedsiębiorcach (...)”.

Brak odpowiedniej pracowni – obok trudności z wynajęciem modeli czy słabo rozwiniętym rynkiem sztuki – wypychał artystów i artystki za granicę, do Monachium, Wiednia, Paryża. Aniela Pająkówna w 1890 r. przyznaje swojej patronce, Helenie Pawlikowskiej, że jej „cel to wyjazd do Paryża, jak najrychlej, np. za dwa lata. Dlatego pragnęłabym urządzić się we Lwowie jak najskromniej, po artystycznemu – nie przykuć się do Lwowa na wieki, bo mam szczerą i silną wolę rzucić go, jak tylko będzie można. Inaczej sił do pracy nie odnalazłabym”.

„W Paryżu są całe dzielnice zwane malarskimi, gdzie bardzo wiele domów posiada pracownię, a niektóre wyłącznie przez nie są zajęte”, zauważa Antoni Austen w 1894 r. Niewielkie pracownię można wynająć już za 300-400 franków rocznie, czyli 114-152 ruble, jak wylicza na łamach „Kuriera Warszawskiego”. Mniej więcej tyle samo kosztuje kiepska pracownia w Warszawie... Za naprawdę ładne i wygodne paryskie atelier trzeba zapłacić 1000 franków (380 rubli). (...)

W Paryżu wybór był ogromny. Wiele artystek przyciągał lewy brzeg Sekwany: Dzielnica Łacińska (fr. Quartier Latin) – zdominowana przez studentów i studentki Sorbony – oraz Montparnasse i okolice Ogrodu Luksemburskiego. Po tej stronie rzeki znajdowała się także Akademia Sztuk Pięknych. Wśród adresów polskich artystek będą powtarzały się ▶

► np. rue de la Tour d'Auvergne i rue Campagne Premiere. (...)

Na Montparnasse przyciągają umiarkowane ceny, artystyczne sąsiedztwo, nieźle pracownie. Pająkówna jest zachwycona. Nie dość, że sąsiadkami są jej koleżanki, Anna Bilińska i Tola Certowiczówna, to jeszcze znani francuscy malarze! Nie ma wątpliwości, że to wpłynie na nią pozytywnie. W listopadzie 1889 r. pisze Pawlikowskiej: „Jestem tu teraz otoczona taką kolonią artystów, że już jeżeli teraz moja dusza się nie przekieruje na artystyczną stronę, to już nigdy. (...) Panna Bilińska i kilka koleżanek od Carolusa w sąsiedztwie, no i panna Certowicz, z którą co dzień się widzę, bo przychodzi na śniadanie i często na obiad”.

Trzy lata wcześniej Pająkówna nie była jeszcze tak zorientowana. Do Paryża przyjechała po raz pierwszy pod koniec 1886 r. w towarzystwie Heleny Pawlikowskiej. Zaradna dama

malujących i gołego modela. Miał na sobie tylko wążutką przepaskę z czerwonej flaneli. (...) Ja wchodziłam naprzód i domyślasz się, że się cofnęłam mimo woli, bo mi się na ten niespodziany widok gorąco zrobiło, i ze strachu aż mi się w głowie zawróciło (...).

Cyprian Godebski, rzeźbiarz od lat związany z Paryżem, podsuwa im więc inny adres: atelier Carolusa-Durana przy quai Voltaire 17. Co prawda, uczennice malują tam jedynie od godz. 8 do 12 – zamiast całego dnia – ale to nie oszczędność, lecz filozofia wyznawana przez założyciela szkoły. Popołudnia należy spożytkować na samodzielne wizyty w galeriach, kopiowanie w Luwrze, lekturę itd.

Pawlikowskiej przypada do gustu taka koncepcja. „Przemawia to bardzo do mego przekonania, bo malować, i nic tylko malować przez godzin osiem, to maszyny malujące, a nie artystów wyrabiać musi”. (...)

Na Montparnasse przyciągają umiarkowane ceny, artystyczne sąsiedztwo i nieźle pracownie.

miała zamiar urządzić wychowanek na miejscu i po tygodniu lub dwóch wrócić do Krakowa. W pociągu Pawlikowska wdała się w pogawędkę z dobrze poinformowaną Portugalką. „Ona to dała nam masę adresów rozmaitych, a zainteresowawszy się Anielką, bardzo odradzała mieszkanie w środku miasta, blisko Sekwany, ze względu na zdrowie. Quartier Latin w ogóle bardzo odradzała, jako niestosowne dla młodej dziewczyny, zostającej samej (...)”.

Pawlikowska bierze sobie te rady do serca. O sprawy artystyczne wypytała wcześniej Leonę Bierkowską, krakowską znajomą i nauczycielkę z Kursów Baranieckiego, która poleciła Anieli Académie Julian. Ta rekomendacja okazała się jednak zupełnie niertrafiona, przynajmniej w oczach opiekunki.

W grudniu pisała mężowi: „Bida, bida, bidaaa! (...) Byłyśmy wczoraj w École Juliane i... bardzo nam się tam nie podobało, ale to bardzo! (...)”. Otwierają drzwi do pracowni, a tam zgroza: „Znalazłyśmy się wobec

Boznańska do Paryża przenosi się w 1898 r., już jako uznana malarzka. W pewien sposób wypełnia tam miejsce po Bilińskiej. Po jej śmierci zostaje właściwie jednogłośnie obwołana przez krytykę najważniejszą polską artystką. „Nawet malarze, którzy – jak wiadomo – są przeważnie zdecydowanymi antyfeministami i sądzą prace koleżanek po pędzlu z wrogiem uprzedzeniem, nawet malarze dla p. Boznańskiej czynili zawsze wyjątek”, zapewniał dziennikarz „Kraju” w 1899 r. Łaskawcy.

Malarka od kilkunastu lat mieszkała w Monachium, miała już wyrobione nazwisko i spore sukcesy artystyczne na koncie, ale wciąż drżała na myśl o paryskich perspektywach. W 1896 r. pisała do ojca: „Jestem dziś tak zbita nadmiarem szczęścia, jakie mnie w Paryżu zupełnie niespodzianie spotkało, że nie mam sił nawet na długi list. Obie prace zostały przyjęte [na Salon], dziś odebrałam wiadomość. Tatuś nie wie, co to dla mnie znaczy.

Otwiera się nowy kraj przede mną dla mojej sztuki, kraj taki, o którym marzyłam długie lata i który w końcu zdał mi się zupełnie nieprzystępnym”.

Przyjęcie obrazów na Salon znać było tyle, co powszechnie uznawana pieczęć jakości, dyplom prawdziwej artystki. Kto tego nie pragnie? (...)

Boznańska miała dobry punkt zaczepienia, czyli rodzinę od strony matki, z pochodzenia Francuzki. W dodatku kuzyn Olgi, Daniel Mordant, także był artystą, więc na początku w naturalny sposób stał się jej przewodnikiem na paryskim gruncie. Obiecał nawet pomoc kuzynce w wyszukaniu pracowni. Warunki? Miała być duża, jasna i z mieszkaniem. (...)

Boznańska wybiera ostatecznie klasyczną lokalizację: na Montparnassie. Najpierw wynajmuje na krótko pracownię przy rue Campagne Premiere 17, potem przez kilka lat – atelier przy rue de Vaugirard 114. „Pracownia Boznańskiej nic nie ma w sobie z tej nieco taniej i efekciarzkiej malowniczości, którą często znajdujemy w tzw. przepychu pracowni młodych mistrzów”, pisał korespondent „Kurieru Warszawskiego”, który odwiedził ją tam w 1903 r.

W tym samym czasie Boznańska napisze przyjaciółce: „Co do życia samego paryskiego, tak mało się sama udzielałam, że niewiele go znam. Pracuję cały dzień, o zmroku przychodzą znajomi, często na chwilę, albo wychodzę w moim quartier po jakieś sprawunki”. Wkrótce się to nieco zmieni, bo malarka sprowadzi do siebie ciężko chorego ojca, który umrze w jej pracowni w styczniu 1906 r.

12 października 1907 r. Boznańska przeprowadza się na boulevard du Montparnasse 49. Ta pracownia, w której zostanie do końca życia, najwyraźniej zapisze się we wspomnieniach jej gości. Z biegiem lat narosnie wokół niej wiele legend. Mnożyć się będą opowieści o niesamowitej atmosferze, ale też szalonym nieładzie, wszechobecnym kurzu i milionie myszy. (...)



Fragmenty książki Karoliny Dzimiry-Zarzyckiej *Własna pracownia. Gdzie tworzyły artystki przełomu wieków*, Marginesy, Warszawa 2025



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Nie zabił dla Nawrockiego

Zaprysiężenie krzywoprzysięzcy – to brzmi jak początek ćwiczenia na dykcję dla studentów akademii teatralnej, ale niestety wydarzyło się naprawdę w Sejmie RP, przez co 6 sierpnia od teraz powinien być czczony jak Święto Hańby Narodowej, czyli rodzaj celebry żałobnej, trochę jak Wielki Piątek dla katolików lub miesięcznica smoleńska dla pisowskich talibów. 6 sierpnia ostatecznie umarł bowiem śmiercią męczeńską majestat urzędu prezydenckiego w Polsce.

Rzeczpospolita nie miała szczęścia do prezydentów. Pierwszy został zastrzelony zaledwie kilkadziesiąt godzin po objęciu stanowiska, drugiemu kadencję przerwał zbrojny zamach stanu, trzeciemu wojna światowa, a Kaczyński – wiadomo, „poległ” w katastrofie lotniczej. W III RP narodowi zdarzało się wybierać kandydatów mimo ich niedoskonałości charakteru lub intelektu, ale nigdy dotąd suweren nie legitymizował regularnego chuligana, sutenera, naciągacza niewypierającego się koneksji z przestępczym półświatkiem (tym eufemizmem pozwolę sobie określić gangusów ustawkowych, zwanych także kibolami).

10 mln obywateli dało się uwieść „sile i twardości” kandydata – zaiste, Nawrocki ma aparycję sektorowego zapiewajty. Takżę jego ochrypiły głos każe się domyślać, że nie będzie sprawował swojego urzędu szeptem – już w pierwszych słowach orędzia wywrzeszczał słowo „naród” tak donośnie, że się wszystkie psiecka na Wiejskiej rozszczękały ze strachu. A kiedy na koniec ryknął do Boga, aby ten błogosławił Polskę, alarmy samochodowe się odezwały w limuzynach poselskich i nie było stychać, czy Bóg był posłuszny prezydenckiemu nakazowi. W dodatku Nawrocki ma problemy ze sobą, a ściślej z zaimkiem osobowym, w knajacki sposób połyka głoskę, wskutek czego dobitnie i uparcie podkreślał: „Suweren wybrał m i e”. Donald Tusk zauważył, że Nawrockiemu marzy się rząd, jakby zapomniał, że wygrał nie te wybory, co trzeba – prezydent ma reprezentować naród, premier ma rządzić.

Jeśli więc mamy czym się pocieszać, to tym właśnie faktem, bo cóżby nam przyszło z prezydencji Trzaskowskiego, gdyby to PiS miało władzę w Sejmie. To wciąż kaczyści są w kiepskiej sytuacji – fanfary na cześć Nawrockiego, wrzaskliwe hasła o rychłym powrocie do władzy to wszystko, co mają, będą więc fetować i krzyczeć, ile wlezie, ale na razie dostali tylko nagrodę pocieszenia. Jediną bronią ich prezydenta może być

permanentna obstrukcja, ale dla takiego harcownika brak sprawczości może być nie do wytrzymania. Bitnemu i butnemu wodzowi plemienia nie wystarczy kijek do wkładania w szprychy, on się nie spełni w roli sklepowej z Peerelu, która ze złośliwą satysfakcją odmawia sprzedaży towarów, choć coś tam ściubi pod ladą.

Duda to był typ zmolestowanego przez proboszcza ministranta z zaawansowanym syndromem sztokholmskim – przez 10 lat podpisywał wszystko jak leci, aby na ostatek wetować co popadnie – po to, by zaskarbić sobie łaskę prezesa, a i tak na nic, bo Kaczor bezbrzeżnie nim gardził. Nawrockiemu jako zwierzchnikowi Sił Zbrojnych prędzej zamarzy się pucz i rola naczelnika państwa niż podlizywanie się żoliborskiemu gnomowi

6 sierpnia ostatecznie umarł śmiercią męczeńską majestat urzędu prezydenckiego w Polsce.

wyłącznie blokowaniem ustaw. To niostoby niebezpieczeństwo wojny domowej, ale wedle moich intuicji ten kraj i tak nigdy się nie skleji, wojna domowa już trwa, wojna na gesty, wojna na słowa, wojna plemion dwóch. Być może dopiero wtedy, gdy Polak na Polaka maczetę podniesie i krwi upuści, naród zrozumie, że dał się zmanipulować fajdakom, i w końcu dojrzeje w społeczeństwo, ostatecznie likwidując partyjny duopol, który nas wyniszcza już dwie dekady.

A może społeczeństwo obudzi się wcześniej i zgasi pucz, zanim ten na dobre się rozżagwi, Nawrockiemu zaś pozostanie wypuścić lica powietrzem, bo się go nikt nie posłucha? Pierwszy bunt już zresztą się dokonał u samego świtu tej kaprawej prezydentury: któż by chciał zabijać dla Nawrockiego, skoro nawet Zygmunt dla niego nie zabił?

Niniejszym chciałem złożyć hołd bohaterskim dzwonnikom wawelskim, którzy niepomni na gniew arcyjełopa Jędraszewskiego urlopowali się zawczasu lub po prostu nie przyszli do roboty, aby największy polski dzwon nie zabrzmiał w tej haniebnej chwili, gdy prezydencką przysięgę składał gdański kafar z Ipeenu. Nawrocki nie zasłużył nawet na brzęk dzwonekórowerowych.



Dziwidło olbrzymie



Dziwidło i inne dziwadła

W Ogrodzie Botanicznym UW po czterech latach po raz drugi zakwitło dziwidło olbrzymie (*Amorphophallus titanum*) – roślina tropikalna, której kwiatostan można podziwiać raz na kilka lat. Pochodzi z wilgotnego lasu równikowego Sumatry. Dziwidło przyciąga owady, które mają zapylać jego kwiaty, intensywnym zapachem padliny. Podobnie nieprzyjemnie pachnie piestrzennik *Hydnora africana*. Kwiaty małej orchidei (*Dracula simia*) pachną z kolei jak dojrzałe pomarańcze. Nietypowy kształt, przypominający dziecko zawinięte w pieluszkę, ma storczyk *Anguloa uniflora* z lasów i gór Ameryki Południowej. *Stanhopea tigrina* rośnie zaś na dębach w dobrze nawodnionych, gęstych lasach Meksyku. Natomiast dzbaneczniki (*Nepenthes*) stanowią pułapkę dla owadów i małych zwierząt – te, które usiądą na brzegu dzbanka, ześlizgują się do środka, wprost do enzymów trawiennych.

Malpia orchidea



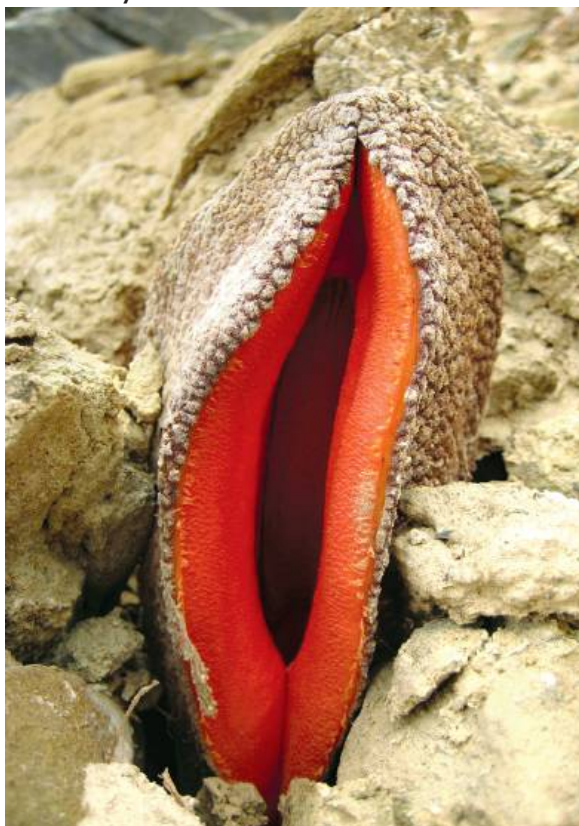
Storczyk Stanhopea tigrine



Dzbaneczniki



Piestrzennik Hydnora africana



Storczyk Anguloa uniflora



Maria Renaud

Korsyka zmagą się z różnymi problemami, większymi i mniejszymi, mającymi swoje krótkie epizody lub ciągnącymi się latami, o charakterze politycznym, gospodarczym lub społecznym. O każdym można byłoby napisać osobną książkę. Chcę jedynie trochę przybliżyć wydarzenia czy zjawiska, które my jako mieszkańcy wyspy zauważamy i mamy na językach. Susze i pożary są jednym z nich. Turystyka masowa również, która trochę jak syndrom sztokholmski z jednej strony negatywnie wpływa na środowisko, zanieczyszczając je i utrudniając życie mieszkańców, a z drugiej jest zjawiskiem, od którego Korsyka się uzależniła i jest dla niej niezbędny, ponieważ stanowi kluczowy element w jej gospodarce. Złożoność i wielowarstwowość tego zjawiska jest trudna w analizie, a znajdowanie najlepszych rozwiązań dla istniejących problemów skomplikowane.

Turystyka jest bez wątpienia ekonomiczną dźwignią wyspy. Pieńdże zostawiane tutaj przez przyjezdnych przynoszą korzyści zarówno dużym przedsiębiorstwom, jak i lokalnym producentom. Zarabiają na tym lotniska, porty, hotele, sklepy i restauracje. Dzięki temu jest zatrudnienie oraz wpływy podatkowe, które są niezbędne dla finansowania wydatków publicznych, np. infrastruktury.

Niestety frekwencja turystyczna na wyspie maleje z roku na rok i jest to coraz bardziej widoczne. Jeszcze kilka lat temu musieliśmy rezerwować stolik w restauracji, by mieć pewność, że będziemy mogli zjeść. W 2024 r. zrobiliśmy to tylko kilka razy, jednak praktycznie za każdym razem okazało się, że było to zbędne, ponieważ czasem nawet pętowa restauracja była pusta. W środku sezonu mieliśmy wrażenie, że jest czerwiec. Sprzedawcy skarżą się na spadek sprzedaży, hotele wynajmują coraz mniej pokoi, lokalni dostawcy świeżych produktów mają coraz mniejsze zamówienia. Jeśli liczba przybywających na wyspę turystów będzie się nadal zmniejszała, to skutki



Korsykanie opuszczają wyspę

Turystyka, śmieci i pustoszące wioski

dla tutejszej gospodarki mogą być poważne.

W zależności od tego, pod jakim kątem spojrzeć na turystykę, można powiedzieć: dużo turystów – źle, mało turystów – też źle.

W 2023 r. liczba podróżników docierających do wyspy samolotem lub statkiem wyniosła łącznie 1,67 mln, a to i tak był kilkuprocentowy spadek w porównaniu z rokiem 2022. Dotarcie do wyspy wiąże się z dość sporym wydatkiem. W ciągu ostatnich lat ceny biletów na prom czy samolot poszły w górę. Również produkty na Korsyce są o kilka procent wyższe niż na kontynencie.

Kwestia finansowa jest bardzo ważna dla wielu osób, dlatego coraz częściej decydują się na spędzanie wakacji w innym miejscu. Tańszym.

Jeśli odłożyć się na chwilę kwestię ekonomiczną, a weźmie pod uwagę wpływ na przyrodę i życie zwykłych mieszkańców w okresie wakacyjnym, to oczywiście jest, że tak ogromny napływ ludności ma negatywny skutek. Wyższe ceny towarów, korki na ulicach czy kolejki w sklepach to utrudnienia, które bezpośrednio dotyczą mieszkańców i są mocno zauważalne. Na ulicach zwiększa się diametralnie liczba samochodów, a na górskich szlakach spaceruje więcej ludzi. W okresach suszy nie tylko rośnie ryzyko wywołania pożaru, np. poprzez rzucony filtr papierosa na ziemię, ale również zwiększa się ilość zanieczyszczeń i produkowanych odpadów, a Korsyka od kilku dekad zmagą się z przewlekłym kryzysem związanym ze śmieciami.



Frekwencja turystyczna na wyspie maleje z roku na rok i jest to coraz bardziej widoczne.

Po stanie śmietników bardzo łatwo można zauważyć, że coś jest na rzeczy. Segregacja śmieci nie jest na porządku dziennym, mimo że wszędzie stoją śmietniki na różne rodzaje odpadów, a to dopiero początek góry problemów. Dosłownie góry, ponieważ jedyne dwa składowiska odpadów w Prunelli-di-Fiumorbo oraz Viggianello wkrótce będą całkowicie zapelnione, a spalarni brak na wyspie. Z tego względu co jakiś czas nawet dziesiątki tysięcy ton śmieci są wysyłane promem na kontynent. W 2021 r. Korsyka była pierwszym regionem Francji metropolitalnej pod względem produkcji odpadów komunalnych w przeliczeniu na jednego mieszkańca.

Dopiero w lipcu 2024 r. Zgromadzenie Korsyki przyjęło plan terytorialny dotyczący gospodarowania odpadami. Wyspa była do tej pory jedynym obszarem na Morzu Śródziemnym bez takiego planu. Mijamy nadzieję, że przyczyni się on do lepszego radzenia sobie z odpadami przez lokalne władze.

W bogatej, ale przede wszystkim trudnej historii Korsyki wyspa przechodziła przez okresy, kiedy jej mieszkańcy uciekali w głąb lądu, oddalając się od okupantów kontrolujących wybrzeże. Górzyście rejony wyspy były łatwiejsze do obrony i mniej

dostępne dla najeźdźców. Następnie, w czasach bardziej sprzyjających, wracali na nadbrzeżne tereny w poszukiwaniu pracy i lepszych warunków życia. Obecnie tendencja jest taka, że wyżej położone małe miejscowości pustoszeją. Te, w których obecnie żyje już tylko garstka ludzi,

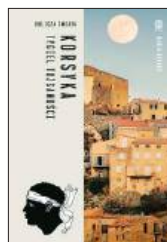
Korsyka od kilku dekad zмага się z przewlekłym kryzysem związanym ze śmieciami.

w niedalekiej przyszłości podzielić los miejscowości takich jak Occi czy Fiuminale, których ostatni mieszkańcy zapadli w wieczny sen w ubiegłym wieku, odpowiednio w 1918 i 1980 r.

Kamienne domy w tych opuszczonych wioskach, które dawniej tętniły życiem, uległy częściowemu zniszczeniu. Część dachów zapadła się pod ciężarem czasu, a ściany już dawno położyły, znużone martwą ciszą. Puste dziury po oknach i drzwiach przypominają twarze pogrążone w melancholii, które jak za sprawą neuronów lustrzanych wywołują w zwiedzających nostalgiczne odczucia. Nie wiadomo, czy to wiatr porusza liśćmi drzew, czy duch przeszłości,

który bezszelestnie krąży po okolicy i strzeże zapomnianej historii. Spacer po tym miejscu wycisza i uspokaja. Wioski, które zamieniły się w zimne kamienne mury bez życia, często znajdują się w trudnodostępnych miejscach, do których można dotrzeć tylko na piechotę, często ścieżką prowadzącą po zboczach góry lub przez las. Trud wędrówki jest alegorią trudu życia dawnych mieszkańców. A co z miejscowościami, w których część drewnianych okiennic zamknięto na zawsze, a grupa ostatnich zamieszkających emerytów powoli się wykrusza? Jaki czeka ich los?

Większość małych sklepików i piekarni od dawna nie funkcjonuje. Społeczeństwo się starzeje. Młodzi przeprowadzają się za pracą do nadmorskich miast lub zupełnie opuszczają wyspę. Jedyne uniwersytet na Korsyce daje ograniczony wybór kierunków studiowania. Co prawda, osiedla się tutaj coraz więcej Francuzów i obcokrajowców, ale jednak Korsykanie opuszczają wyspę.



Fragmenty książki Marii Renaud
Korsyka. Tygiel tożsamości,
Bezdroża, Gliwice 2025

PRAKTYCZNA WIEDZA KATA

JAK DAWNIEJ LECZONO

Nathan Belofsky

Dorabianie na boku

Kaci z Niemiec i Austrii dorabiali sobie jako uzdrowiciele, nie porzucając oficjalnej pracy, a ich wiedza z zakresu medycyny sądowej sprawiała, że świetnie nadawali się do leczenia poranionych i chorych. W przeciwieństwie do bardziej teoretycznie nastawionych lekarzy, kaci byli przyzwyczajeni do kontaktu z ludzkimi ciałami – żywymi, martwymi lub znajdującymi się w stanie przejściowym. Wiedzieli wszystko o bólu i mieli niezłe pojęcie o anatomii, krążeniu krwi oraz funkcjonowaniu organizmu. Często pielęgowali torturowanych, przywracając im zdrowie, aby można było dalej ich dręczyć.

Pacjenci cenili sobie fachowość katów, którzy dzięki temu stali się popularni zarówno wśród bogatych, jak i biednych. Specyfika tej profesji wymagała zdolności do zabijania jednego dnia i leczenia w dniu następnym, jednakże nie każdy kat mógł zostać uzdrowicielem. Podobnie jak lekarze, musieli oni mieć odpowiednie uprawnienia. Historyczka Kathy Stuart w książce „Defiled Trades and Social Outcasts” pisze o pewnym kandydacie do tego zawodu, twierdząc, że dobrze leczy konie, oraz o innych, przyznających, że są zbyt starzy, by ścinać ludziom głowy.

Kaci składali przysięgę, zapewniając, że nigdy nikogo nie zamordowali oraz że nie będą pracować z Żydami. Fryderyk Wielki nalegał, aby jego kaci-uzdrowiciele zdawali specjalne pisemne egzaminy.

Zdecydowanie sprzeciwiano się jednak uprzywilejowanej pozycji katów – głównie dlatego, że pośród dużej konkurencji mieli oni prawo pierwszeństwa do zabierania najbardziej pożądanых części i składników ludzkiego ciała, które były towarem



Pieter van Mierevelt, „Lekcja anatomii doktora Willema van der Meera w Delft”, 1617 r.

rynkowym. Na przykład *Armsunderfett* (tłuszcz biednego grzesznika) sprzedawano do aptek w porcjach o wadze funta, a także handlowano nim na straganach ulicznych.

Medycyna katów podupadła ok. XVII w., ale ich praktyki nie zagięły w kolejnych stuleciach.

Książka o chorobie z miłości

W 1610 r. Jacques Ferrand napisał swój słynny traktat o chorobie z miłości „*Treatise on Lovesickness*”. Na szczęście tylko ta książka, a nie jej autor, została spalona przez inkwizycję. Zdaniem autora tego dzieła miłość jest podstępna: „Gdy jakiś wąż przychodzi szepnąć do ucha kilka kuszących słów i proponuje taki czy inny flirt swoimi namowami i pochlebstwami albo przybywa jakiś bazyliśzek, rzucając lubieżne spojrzenie, puszczając oko lub spoglądając z ciętym uwielbieniem, wtedy takie serca bardzo szybko dają się pojąć

i zatruć. Także demon miłości i rozpusty bawi się na początku z tymi, którymi chce zawładnąć”.

Ferrand uważał, że miłosna choroba pojawia się wtedy, gdy ciepło rozgorączkowanego kochanka wybiła krew, przemieniając ją w nasienie. Gdy pozwolimy temu płynowi gnąć, wtedy „pozostanie on w swoich zbiornikach, rozłoży się i przez kręgosłup oraz inne sekretne kanały przetoczy się mnóstwo trujących oparów do mózgu”. Popierał przy tym tradycyjną metodę rozwiązywania tego problemu, polegającą na przymocowywaniu metalowego pierścienia do napletka, ale sprzeciwiał się okładaniu pacjentów chorych z miłości cienkimi tabliczkami z ołowiu. Uważał też, że „Bernard z Gordon posuwa się za daleko, twierdząc, iż zakochanemu powinno się zadawać razy i biczować go, aż z całego jego ciała woń zacznie bić niemita”. (...)

W dziele „Chirurgiczne leczenie melancholii erotycznej” Ferrand przyjął bardziej praktyczne podejście. Zalecał upuszczanie krwi trzy do czterech razy w roku, zwłaszcza kiedy zakochany był „dostatecznie tęgi, dobrze odżywiony i pulchny”.

Niekiedy trzeba było podjąć bardziej drastyczne kroki: „Kiedy wyobraźnia pacjenta jest już zaburzona, wolę raczej otworzyć żyłę środkową; jeśli wypływa z niej krew czarna, ciężka i gęsta, można upuścić jej

Kaci wiedzieli wszystko o bólu i mieli niezłe pojęcie o anatomii.

sporo. Następnie upuszczam krew przy kostce u nogi, zwłaszcza u kobiet, a niektóre z nich cierpią na histeryczne duszności lub wpadają w furję wywoływaną przez macicę. Albo też wywołuję jeszcze bardziej odpowiednie upuszczanie krwi z hemoroidów – otwarcie tych żył to najpewniejszy sposób na zapobieganie i leczenie melancholii odmian wszelakich”.

Ferrand proponował też przycinanie nadmiernie długiej techtaczkii i przypalanie kobiecych ud kwasem. W przypadku tak silnej choroby z miłości, że zagrażała przekształceniem się w wilkołactwo, zalecał upuszczanie krwi z żył na rękach do chwili wystąpienia całkowitej niewydolności serca, a następnie przyżeganie czoła i twarzy rozpalonym żelazem.

Widoczne oznaki grzechu

Czasami dowody czyjejs grzesznej natury były oczywiste, np. wygląd nosa lub tego, co z niego pozostało. Wykorzystywanie nosa jako czegoś w rodzaju „szkarłatnej litery” pochodzi co najmniej z epoki starożytnych Egipcjan, kiedy to obcinano nosy (i uszy) lubieżnym sędziom w czasach wielkiego spisku haremowego. W starożytnym Rzymie i Grecji odcinano nosy cudzołożnikom, a pojedynki i wojny również przyczyniały się do uszkodzania tej części ciała. Aby nie stać się ofiarą napaści na tle seksualnym, kobiety niekiedy same odcinały sobie nosy. W IX w. tak właśnie zrobili mniszki z pewnego

francuskiego zakonu, żeby uniknąć ataku ze strony najeżdżających ich kraj Saracenów. Były okaleczone, ale za to uniknęły zgwałcenia.

W okresie renesansu wielu ludzi traciło nosy z powodu kiły. Rekonstrukcja nosów za pomocą dawnych, lecz skutecznych technik wywodzących się z Indii, stała się dobrym interesem. W 1442 r. włoski poeta Elisio Calenzio napisał do przyjaciela: „Orpianusie, jeśli chcesz odtworzyć sobie nos, przybądź tutaj. Branca z Sycylii, człek wielce utalentowany, odkrył sposób przywracania nosów, a wyrabia je z ramienia lub pożyczka od niewolników. Powrócisz do domu z takim nosem, jaki ci się spodoba. Przybywaj!”.

W końcu jednak władze duchowne zaczęły sprzeciwiać się naprawianiu twarzy. Nosa grzesznych syfilityków miały bowiem pozostawać w niezmienionym stanie. Niekiedy tego rodzaju rekonstrukcje przeprowadzano więc w tajemnicy. (...)

W XVI w. Gaspere Tagliacozzi opracował procedurę pozwalającą przeszczepiać do rekonstrukcji nosa skórę z ramienia. Zakładał on pacjentom dziwnie wyglądający kask umożliwiający przymocowanie ręki do nosa, zmuszając ich do wielotygodniowego salutowania. Kościół uważał, że jest to próba ingerencji zwykłego śmiertelnika w wolę boską, szczególnie taką, która prowadzi do okaleczenia i oszpecenia. Pewnie dlatego wiele nosów zrekonstruowanych przez Tagliacozziego odpadło z powodu „widocznej oznaki grzechu, jaką był syfilis”.

Tagliacozzi znalazł się na wygnaniu. Atakowali go tacy geniusze medycyny jak Pare, a po jego śmierci szydził z niego Wolter. Został ekskomunikowany przez Kościół, a jego znakomite metody przeprowadzania operacji w dużej mierze popadły w zapomnienie na setki lat.

Dzień anatomii

Nawet z martwego ciała można zrobić przedstawienie, a uczęszczanie na publiczne sekcje zwłok w wiekach XVI i XVII było zarówno modne, jak i uważane za rozrywkę.

Dla tych, którzy mieli dostatecznie dużo szczęścia, żeby zdobyć bilet, dzień anatomii był czasem zabawy. Wygłaszano wtedy przemówienia, organizowano parady i grano muzykę. Na pewnym włoskim afiszu z 1597 r. wspomina się o towarzyszącej takiemu spektaklowi parady muzyków grających na lutniach oraz o „wrzawie i tupocie” czynionym przez gapiów.

Aby sprostać rosnącemu zainteresowaniu, „sale widowiskowe” przeznaczone na sekcje zwłok powstawały w całej Europie. We włoskiej Padwie, która stała się „anatomicznym centrum rozrywek”, pokazy urządzone przez anatoma Hieronymusa Fabriciusa (Girolamo Fabrizio) okazały się taką atrakcją, że trzeba było wznieść nowe, bardziej przestronne forum. Miejsca takich imprez były starannie urządzone, wykładane szlachetnym drewnem i dekorowane drogimi dziełami sztuki. Wprowadzający gości pilnowali porządku, a widzowie bez biletów, zaglądający przez okna i zza kolumn, byli wypraszani przez odźwiernych. Za to wszystkich z biletami – dostojników,

Publiczne sekcje zwłok w XVI i XVII w. były modne i uważane za rozrywkę.

studentów medycyny, sprzedawców solonych ryb, a nawet Żydów – mile widziano.

W czasie pokazów pozwalano publiczności na zadawanie pytań, ale raczej nie zachęcano do zbyt głośnych śmiechów. Widzowie podawali sobie różne części ciała zmarłego do obejrzenia z bliska, zakazywano jednak zabierania cegokolwiek na pamiątkę, a za pogwałcenie tych zasad pobierane były wysokie grzywny. Z pieniędzy ze sprzedaży biletów urządzano wystawne przyjęcia, na których zbierano datki na zapłatę dla katów. (...)



Fragmenty książki Nathana Belofsky'ego *Jak dawniej leczono. Czyli plomby z mchu i inne historie*, tłum. Grzegorz Siwek, Wydawnictwo RM, Warszawa 2025

Mateusz Adamczyk

Zezwierzęcieć, zejść na psy, skundlić. Jeśli przybysze z obcej planety ocenią nasz stosunek do zwierząt na podstawie języka, to nie wypadniemy najlepiej. W polszczyźnie aż roi się (kolejna zwierzęca metafora, ale raczej nieszkodliwa) od określeń, które pokazują, że zwierzę to istota niższa, podległa człowiekowi.

I nie ma w tym nic dziwnego – taką wizję świata przechowują również inne języki i jest ona dość oczywista ze względu na to, że język jest antropocentryczny, stawia człowieka w centrum. A to dlatego, że powstał, byśmy mogli opowiadać o sobie. Gdy poszperamy głębiej, szybko zobaczymy, że nasz językowy stosunek do zwierząt jest w dużej części pogardliwy, a często także pełny przemocy. I widać to choćby w przywołanych przykładach. Jeśli potępiamy jakieś zachowania, uznajemy je za okrutne i zwyczajnie „niegodne człowieka”, to mówimy właśnie o *zezwierzęceniu* albo *zbydlęceniu obyczajów* – tak, jakby wszystko, co złe (niemoralne), było właściwe zwierzętom.

Wprawdzie mówimy, że *pies jest najlepszym przyjacielem człowieka*, ale wartość tej przyjaźni mierzona jest chyba wyłącznie tym, że psy okazują nam wierność (*wierny jak pies, psie przywiązanie*) i są nam posłuszne (*psi obowiązek*). Wtedy (i tylko wtedy) jesteśmy w stanie przypisać im pozytywne cechy oraz okazać współczucie. Dlatego np. mówimy, że ktoś *czuje się jak zbity pies* albo wie, że *psi los*, wyrażając w ten sposób przekonanie, że to sytuacja pełna cierpienia i trudności.

Pozostałe określenia dotyczą już wyłącznie negatywnego stereotypu psa. O kłamcy powiemy, że *łże jak pies*, a o kimś, kto stracił renomę, podupał moralnie – że *zszedł na psy*. Kiedy chcemy obrazić kobietę i zasugerować jej „złe prowadzenie się” albo złośliwość, używamy słowa *suka*. W przypadku mężczyzny będą to kolejno *pies na baby* i *sukinsyn*. To, że psom przypisujemy rozwiązłość, widać też w wyrazie... *psocić*, który (tak, tak!) pochodzi od słowa



PIESKIE ŻYCIE

Co język mówi o naszym stosunku do zwierząt

pies i oznaczał dawniej „cudzołożyc”. Dlaczego? Ponieważ nasi przodkowie kojarzyli rozwiązłość z zachowaniem suki w czasie rui.

Seks to od wieków społeczne tabu, dlatego wszelkie „zachowania odstające od normy” chętnie przypisujemy zwierzętom jako tym, które ze względu na brak kultury kierują się

oberwało się także samej kurze, która „nie stroni” od przygodnego seksu z takim amantem, a dodatkowo czerpie z tego korzyści, bo kogut nie tylko pozwala się kurom rozmnożyć, ale też ich broni. Dlatego po pewnym czasie neutralna *kurwa* stała się „kobietą lekkich obyczajów”. Podobny proces zaszedł też w języku francuskim, w którym znajdziemy wyraz *cocotte* („kurka” oraz „kobieta lekkich obyczajów”).

Ale wróćmy do psów. Z polszczyzny można wyczytać bowiem także, że pies to zwierzę agresywne. Ktoś może być przecież *zły jak pies* lub można *kochać kogoś jak psy dziada w ciasnej ulicy* („nie znosić kogoś, być agresywnym w stosunku do kogoś”). Taki stereotyp wiąże się też z wyrazem *psikus*, który dziś wprawdzie nie kojarzy się z agresją, ale pochodzi od połączenia *psi kus*, w którym *kus* to wariant słowa *kęs*. Całość oznaczała pierwotnie „ugryzienie psa”, następnie „podstępne, wredne

Słowo *psocić* pochodzi od słowa *pies* i oznaczało dawniej „cudzołożyc”.

wyłącznie instynktem – chucią, której tak się wstydzimy. Obrazuje to także nasz „ulubiony” wulgaryzm *kurwa*, który jest żeńskim odpowiednikiem słowa *kur* w rozumieniu „kogut” i który pierwotnie oznaczał kurę czy kokoszkę. Jak wiemy, koguty nie mają stałych partnerek i spółkują z wieloma kurami w gospodarstwie. Przez analogię do kogucich zachowań

ugryzienie", a w końcu – „złośliwy żart". A skoro jesteśmy już przy gryzieniu, a więc w pewnym sensie i niszczeniu, to dodam, że od wyrazu *pies* pochodzi również czasownik... *psuć*. Niestety, pieskie życie w języku wiodą również koty. (...)

Koty mają się w polszczyźnie chyba nawet gorzej niż psy. Pewnie dlatego, że nie są nam posłuszne.

Kot występuje w naszym języku jako symbol czegoś fałszywego, grzesznego właśnie – i widać to w takich pogardliwych określeniach jak *kocia wiara* („wiera fałszywa, nieprawdziwa") czy *życie na kociej łapie*, czyli „życie w związku nieformalnym, bez ślubu", które do niedawna powszechnie uznawane było za grzeszne.

Ponadto kot, jako zwierzę dobrze radzące sobie w ciemnościach, od wieków kojarzony był z diabłem.

Kiedy ktoś odwiedza w pośpiechu wiele miejsc, próbując nerwowo coś załatwić, to mówimy, że *biega jak kot z pęcherzem*. Wbrew naszym makabrycznym skojarzeniom nie chodzi na szczęście o narząd... choć właściwie chodzi o narząd, ale nie koci i nie żywego, ale zabitego wcześniej zwierzęcia. Pochodzenie tego frazeologizmu wiąże się z okrutną zabawą naszych przodków, którzy przywiązywali do kociego ogona świński pęcherz z grochem w środku – a wszystko po to, by wypędzić z kota złe moce. Przestraszone zwierzę biegało bezmyślnie w różne strony, byleby pozbyć się woreczka. I choć, na szczęście, sama „zabawa" nie przetrwała do czasów współczesnych, to niechlubny frazeologizm pozostał.

Z diabłem może mieć związek także powiedzenie *kupić kota w worku*, czyli „kupić coś lub zdecydować się na coś, nie sprawdzwszy tego". Jedno z dawnych ludowych podań mówi o inkluzie, czyli tajemniczej (najczęściej diabelskiej) sile zaklętej w jakimś przedmiocie, przynoszącej szczęście osobie, która ten przedmiot posiada. Natomiast posiadaczem inkluza może być jedynie ten mężczyzna, który o północy w Nowy Rok (lub noc świętojańską) wybierze się do kościoła z kotem w worku. Ważne, aby worek był zawiązany

99 sznurkami. Po trzykrotnym obejściu kościoła trzeba zastukać do drzwi. Zakrystian w kapturze (to przebrany diabeł) otworzy kościół. Na pytanie, co jest w worku, powinien usłyszeć: mam zająca za talar na sprzedaż. Gdy zakrystian-diabeł zapłaci, czyli wyda inkluza, trzeba uciekać, gdyż rzuci się w pogoń po odkryciu, że zamiast zająca kupił kota.

Psy stały się dla nas tak cenne, że grozi im dognapping, czyli porwanie z żądaniem okupu!

Mała wartość kotów widoczna jest też w powiedzeniu *pierwsze koty za płoty*, które – wymawiane z lekkością – ma oznaczać, że pewne trudności mamy już za sobą, ale nie ma się specjalnie czym przejmować, bo pierwsze próby zawsze są nieudane. Tak jak zresztą – zdaniem naszych przodków – pierwsze kocięta z miotu. Uważano je za słabsze i wyrzucano. Niekoniecznie jednak za płoty, bo te są tu raczej symboliczne i występują ze względu na rym.

Koty od wieków są także symbolem głupoty. Ktoś może mieć *koci łeb* („być głupim"), *dostać kota* albo *mieć kota w głowie*, co oznacza, że „zachowuje się w sposób

niezrównoważony". Koty są też leniwe (*leniwy jak kot*) i okrutne – stąd powiedzenie *bawić się z kimś jak kot z myszką*, czyli „drażnić, męczyć lub zwodzić kogoś". Wzięło się ono od zachowania kotów, które najpierw męczą swoją ofiarę, zanim ją zjedzą.

A czy o kotach można powiedzieć coś dobrego? Tak, choć niewiele. Pozytywnymi skojarzeniami cieszy się kocica, która symbolizuje „czułość i pogodną macierzyństwo". Poza tym cenimy u kotów spryt i zaradność (kot *zawsze spada na cztery łapy, chodzi własnymi ścieżkami*) czy sposób poruszania się (*kocie ruchy*, czyli „zmysłowy chód").

Jak widać, zwierzęta najczęściej zasługują na nasz językowy szacunek, kiedy są... podobne do nas. Taka sowa uchodzi za symbol mądrości, choć tak naprawdę wcale nie należy do najbardziej inteligentnych ptaków. Niektórzy naukowcy uważają nawet, że jest mniej rozbudowana od gołębia. Dlaczego więc już od starożytności przypisuje się jej intelekt? Ponieważ ma oczy z przodu głowy i spłaszczoną „twarz", która kojarzy się z tą ludzką. A skoro przypomina człowieka, to MUSI być inteligentna. Tak właśnie działa antropocentryzm. Z naszej ludzkiej perspektywy oceniamy też tryb życia sowy. W związku z tym, ▶

**Dzień Dawcy szpiku
w Twoim miejscu pracy**

Twoje miejsce pracy może stać się początkiem
czyjejś szczęśliwej historii –
zorganizuj Dzień Dawcy szpiku w swojej firmie!

Wspólnie możemy podarować komuś szansę na dalsze życie!

Zeskanuj QR kod
i dowiedz się więcej

► że jest to ptak polujący nocą, w ciągu dnia nie wykazuje specjalnej aktywności. I stąd właśnie czasownik *osowieć*, czyli „stać się smutnym i mniej aktywnym niż zwykle”, i pochodzący od niego przymiotnik *osowiały*.

Co ciekawe, ptaki nie mają się w polszczyźnie tak źle jak psy i koty. Choć na ogół nie przypisujemy im mądrości (*ptasi mózdzek*), to jednak te drapieżne kojarzymy z siłą, wolnością i intelektem. Najwyżej

Żadne zwierzę hodowlane nie zostało tak bardzo skrzywdzone w języku jak świnia.

cenimy chyba orła, który stał się nawet jednym z naszych narodowych symboli. Z kolei zdecydowanie gorzej traktowane są ptaki hodowlane, czyli nam bliskie i w jakiś sposób od nas zależne. Kura to symbol głupoty (*ktoś zna się na czymś jak kura na rachunkach*; *kwoka* jako „mało inteligentna kobieta”; *kurzy mózdzek*), nierozgarnięcia (*trafiło się jak ślepej kurze ziarno*) i krótkiej pamięci (*pamięć jak u kury*).

Gęś także nie grzeszy inteligencją (*głupi jak gęś*), a jednocześnie jest zarozumiała (*szarogęsić się*) i agresywna (*niech cię gęś kopnie*). Wyjątkiem jest gołąb jako symbol miłości (*gruchać jak dwa gołąbki*), szczerości i łagodności (*gołębie serce*).

A jeśli jesteśmy już przy zwierzętach hodowlanych, to chyba żadne z nich nie zostało tak bardzo skrzywdzone w języku jak świnia. Przez to m.in., że tapla się w błocie i chrumka (również przy jedzeniu), kojarzona jest ze wszystkim, co brudne, a przez to niegodne człowieka. Widać to m.in. w słowach *świnić* czy *świntuszyć*. Jeśli nazywamy kogoś świnia lub mówimy mu, że *zachowuje się jak świnia*, przypisujemy tej osobie wszystko, co najgorsze. Jak świnia można jeść (lub raczej żreć), pić lub upić się, a nawet spocić się jak to zwierzę, ale tu nasze nieczyste skojarzenia idą tak daleko, że za nic mają sobie fakty. Bo uwaga: świnia nie ma gruczołów potowych! Swoje

ciało schładza właśnie za pomocą błota lub wody (którą zresztą woli). To bardzo czyste zwierzę – dba o to, by miejsca do spania, jedzenia i wydalania były od siebie oddalone.

Świnia uważana jest także za najgorsze ze wszystkich zwierząt gospodarskich. A to dlatego, że jako jedyna hodowana jest wyłącznie na ubój. I widać to w takich powiedzeniach jak: *coś pasuje komuś jak świnii chomąto/siodło/żłób*; *coś pasuje do czegoś jak świnia do karety*. Nasz lekceważący stosunek do świnii widać również we frazeologizmach dotyczących samego zabijania tych zwierząt: *kwiczeć jak zarzynana świnia/zarzynane prosię*. A jeśli świnia

znajduje się na ostatnim szczeblu drabiny wartości wśród zwierząt, to jednocześnie staje się całkowitym zaprzeczeniem tego, co ludzkie, a więc „dobre”. Naprawdę trudno znaleźć jakiegokolwiek pozytywne określenie dotyczące świnii. Ba! Profesor Maciej Rak zwraca nawet uwagę, że „pogarda, z jaką człowiek odnosi się do świnii, sprawia, że na próżno szukać frazeologizmów pokazujących stosunek świnii do człowieka”.

Mam jednak dla Ciebie dobre wieści! Nasz stosunek do zwierząt się zmienia, a zaraz za tym idą także

Nasz stosunek do zwierząt się zmienia, a za tym idą zmiany w języku. Coraz częściej traktujemy psy czy koty jak członków rodziny.

zmiany w języku. Coraz częściej traktujemy psy czy koty jak członków rodziny – niektóre osoby nazywają je nawet *psynkami* (i mówią o *psiacierzyństwie*) czy *kocórkami* (zajmuje się nimi *kocia mama*), które to określenia żartobliwie, ale nie prześmiewczo, nawiązują do relacji międzyludzkich. Nowe słowa tworzą obraz, w którym nasze pupile są uczłowieczane, co wcale nie oznacza, że są stawiane na równi z człowiekiem, i świadczą o tym np. określenia *osoba nieludzka* czy *osoba zwierzęca* – mówiące o podmiotowości, ale jeszcze nie o człowieczeństwie.

Co ciekawe, nowe zabarwienie zyskuje tu przymiotnik *nieludzki*, który dotychczas oznaczał „niezgodny z przyjętymi zasadami dotyczącymi współżycia ludzi i traktowania istot żywych”. Podoba mi się ta zmiana!

Coraz rzadziej także *przygarniamy* jakieś zwierzę, raczej je *adoptujemy* i nazywamy *adopciakiem* lub – w przypadku psów – *adopsiakiem*. Możemy też co roku świętować ten wyjątkowy dzień, obchodząc *adopcyny*. Zwierzaki raczej się już nie *wabia*, ale – tak jak ludzie – *nazywają się*. Mają swoje hotele i salony urody, a psy nawet własnych *dogsitterów* i *dogsitterki*, czyli osoby, które zajmują się nimi pod nieobecność... no właśnie: *właścicieli*? To określenie też zaczyna nam zgrzytać, dlatego coraz częściej sięgamy po *opiekunów*, którzy zamiast tresować – wychowują.

Psy stały się dla nas tak cenne, że grozi im niestety *dognapping*, czyli porwanie z żądaniem okupu! Na szczęście jednak większość z nich dożyje spokojnej starości, a kiedy przyjdzie czas... *umrze* lub *odejdzie*, a nie *zdechnie*, bo nie jest już tak, jak pisała Wisława Szymborska, że „dla naszego spokoju, śmiercią jakby płytszą / nie umierają, ale zdychają zwierzęta”. A kiedy to się stanie, spocznie na jednym z psich cmentarzy

i *pójdzie za tęczowy most, do krainy wiecznych łowów*, co pokazuje, że wiara w życie pozagrobowe naszych zwierzątek nie jest nam obca.

Tworzenie nowych określeń to jednak nie wszystko. Warto też mieć na uwadze pochodzenie tych starszych i – na tyle, na ile to możliwe – unikać ich używania. Bo to nie tylko słowa. Język kształtuje nasze myślenie o świecie i wpływa na nasze zachowanie. A przecież zwierzęta już dość się przez człowieka nacierpiały.

Fragment książki Mateusza Adamczyka *Jak słowo daje. Współczesny poradnik językowy. Znak Jednym Słowem*, Kraków 2025



Dom Polski

Są sprawy, które szczęścia nie mają. Symbolem tego lata całe była budowa ambasady RP w Berlinie. W pewnym momencie wydawało się, że ta budowa nigdy się nie skończy, że już zawsze przy Unter den Linden straszyć będzie szkieletor. No i proszę, ambasadę zbudowaliśmy.

A gdy ją zbudowaliśmy, pojawiły się inne budowy, które chwały Polsce nie przynoszą i które trwają, a ich końca nie widać. Wśród nich jedna zdecydowanie się wyróżnia – to budowa Domu Polskiego we Lwowie.

Ta sprawa ciągnie się od maja 2013 r. Polska uzyskała budynek i działkę, gdzie mogła stosowny dom postawić. Miał on imponować. Pokazywać siłę Polski. Dodajmy, że tytułem rewanżu Ukraińcy dostali działkę w Przemyślu na swój dom. Który zbudowali. Ale wróćmy do Lwowa.

„We Lwowie powstaje Dom Polski. Przekazana przez władze ukraińskie parcela z budynkami przy ul. Szewczenki jest początkiem placówki o pełnej nazwie Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego we Lwowie”, chwaliło się na swojej stronie Stowarzyszenie Wspólnota Polska. Chwaliło się jeszcze, że budynek zaprojektowano tak, że będzie dysponował „pełną strukturą konferencyjną z trzema salami”, a także „salą widowiskową na koncerty, przedstawienia teatralne i projekcje filmowe, gdyż stowarzyszenie chce, aby dom tętnił polską kulturą”.

I co z tym tętnieniem? Najpierw budowa była w gestii MSZ. Ministerstwo wydało na nią prawie 5 mln zł. Potem, w latach 2016-2019, przeszła do Wspólnoty Polskiej. W związku z tym Senat wydał na budowę 23 mln zł. Mówiono wtedy, że budynek ma być gotowy

w 2018 r. Nie udało się. Choć gdy w 2018 r. na posiedzeniu komisji senackiej omawiano tę sprawę, prezes Stowarzyszenia Wspólnota Polska Dariusz Bonisławski zapewniał: „Naszym założeniem jest, by w 2020 r. zakończyć budowę Domu Polskiego we Lwowie. Jesteśmy przekonani, że to jest rok realny”.

Parę minut po nim głos zabrał ówczesny wicemarszałek Senatu Bogdan Borusewicz. On z kolei mówił, że szanse, by budynek został ukończony w 2020 r., są zerowe. I że stan zaawansowania budowy to najwyżej jedna trzecia. Okazało się, że nie tylko miał rację, ale że jest jeszcze gorzej. W 2019 r. budynek wrócił do MSZ i teraz nic się nie dzieje, trzeba tylko rocznie płacić 2 mln zł za zabezpieczenie placu.

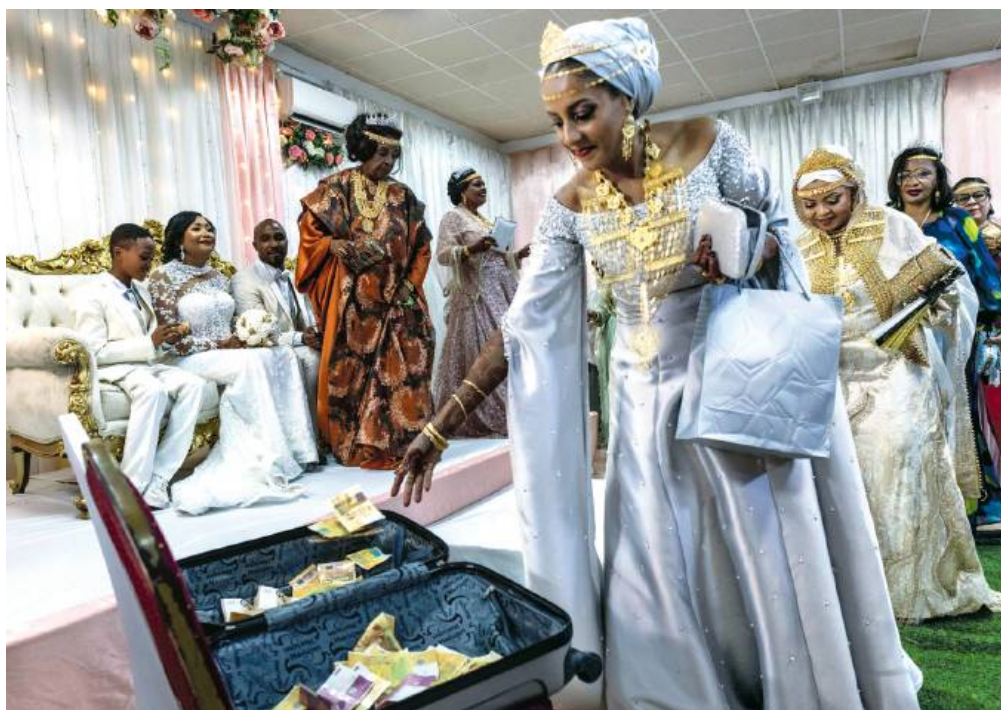
I tak to trwa. W 2021 r. portal Polityka informował, że na miejscu budowy „straszy betonowa konstrukcja”. „Wszystko to kosztowało polskiego podatnika już ponad 20 mln zł. A będzie kosztować przynajmniej dwa razy tyle. Oczywiście, gdy budowa kiedyś ruszy, bo od dwóch lat nie dzieje się tam nic”.

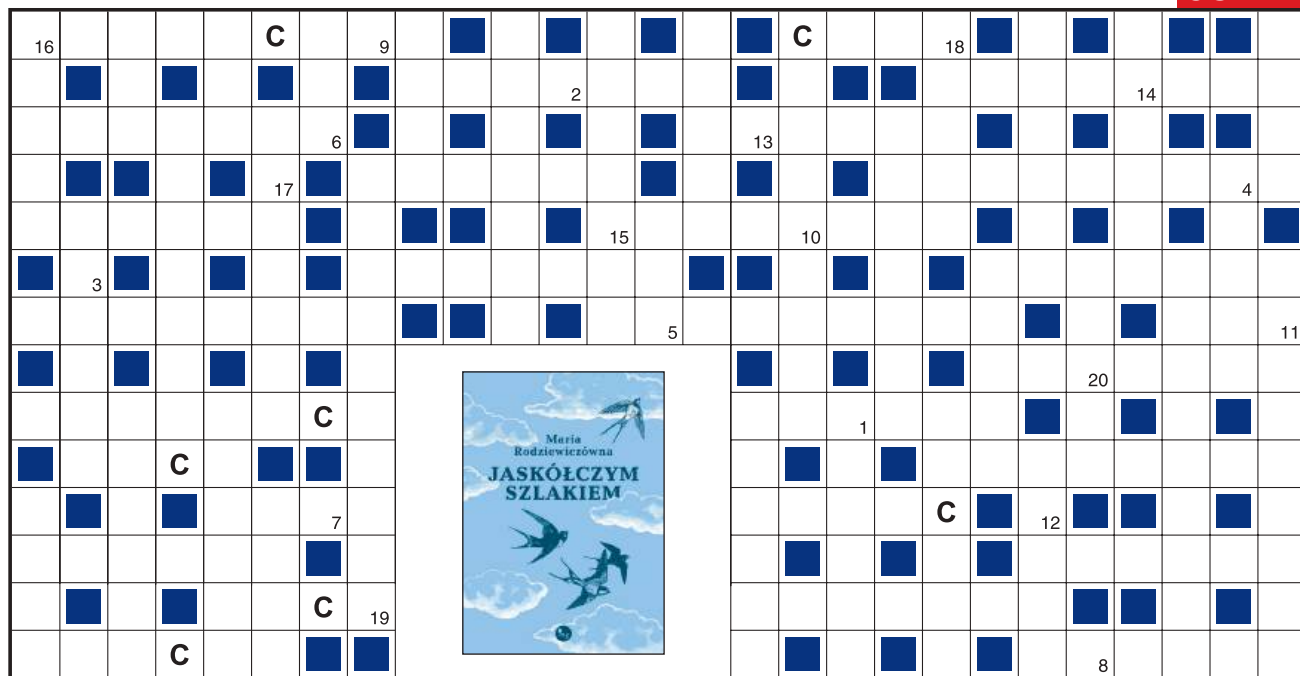
Potem wybuchła wojna i tym, że na budowie nie dzieje się nic, nikt już się nie przejmował. Aczkolwiek nie do końca, gdyż w związku z budową w kwietniu 2024 r. kontrolę w siedzibie MSZ przeprowadzili funkcjonariusze CBA.

Poza tym wszystko stoi. I nikt się nie kwapi, by sprawę ruszyć. Bo po co, kiedy na Lwów mogą polecieć rakiety? A gdy postawie próbowali zachęcić NIK do kontroli, usłyszeli, że izba odmawia, bo na Ukrainie jest wojna i nikt tam nie pojedzie. Prawda, że piękne wytłumaczenie?

Attaché

Ukumbi, przyjęcie dla kobiet kończące obchody Wielkiego Ślubu. Wielki Ślub to rodzaj rytuału przejścia z jednej grupy pokoleniowej do drugiej. Pan młody obdarowuje żonę m.in. złotem. Ten kosztowny zwyczaj bywa celem życia i przyciąga dziesiątki członków diaspory Komorów. Stolica Komorów Moroni, 20 lipca 2025 r.





1 2 3 4 5

6 7 8 9 10 11 12

13 14 15 16 17 18 19 20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery C ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- „...to nie wypada!”
- cudzoziemski zdradza obcokrajowca
- cyrkowiec lub sportowiec gimnastyk
- sztuka odgrywania ról
- środek przeciwbólowy
- jeden z 12 uczniów Chrystusa

- duża, barwna papuga
- ostrze nasadzone na lufę karabinu
- znany utwór Ravela
- silne uderzenie
- awansów, cudów lub honorów domu
- ...świata to Tybet
- rozwiłtiki

- sklep z dziełami sztuki i antykami
- gdy oszlifowany, to brylant
- ludowy obchód witania wiosny
- oddział stacjonujący w mieście, twierdzy
- wyspiarski stan USA
- sucha... – technika graficzna
- drugie imię Sztudyngera
- ...Leno, amerykański komik
- najniższy stopień wojskowy w artylerii
- twór pseudomalara, bezguście
- oprzęd z poczwarką
- tumany pyłu, śniegu
- pasmo skręconych włosów

- robotnik napelniający wozy, przenośniki
- hułtajstwo, totrostwo
- ryba o różowopomarańczowym mięsie
- krezus, bogacz
- przeciwnik w dyskusji
- miele nim gaduła
- miasto studiów Kopernika i Kochanowskiego
- na serdecznym obrączka
- filatelistyczne lub kosmetyczne szczypczyki
- Teofil stworzony przez Wiecha
- nazwa tego żaglowca eskortowego od drewna sosnowego
- niedawno wylęgły ptak
- pod myśzką i szklanką
- na statku lub w kopalni
- ułoży podłogę
- wywierany nacisk
- dwa razy w roku: wiosenna i jesienna

- z tego kraju Radu Jude
- dostała na tacy głowę Jana Chrzciciela
- z Tuły, do herbaty
- wron, krów lub lwów
- żywica balsamiczna, benzoin
- bardzo mocny i cienki sznur
- srebrzy trawę zimą
- rozpinany worek do spania
- włoski taniec ludowy
- budująca tanie mieszkania spółka lub spółdzielnia (w skrócie)
- fryzjerskie rozjaśnianie
- odmiana ochry
- szkocka wódka
- budowla
- spiętrząca wodę
- psi na Alasce
- głośnomówiący – dla kierowców
- zagli lub manatków

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

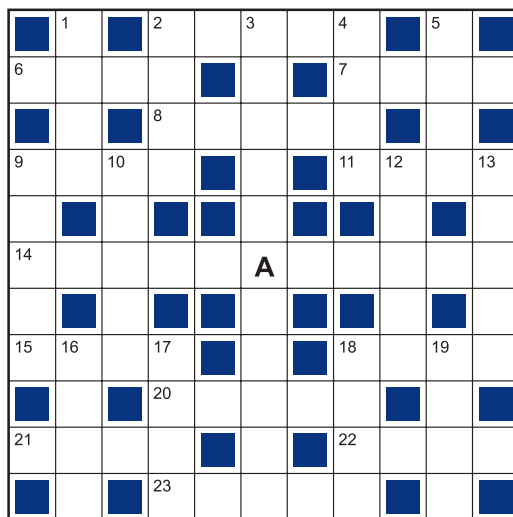
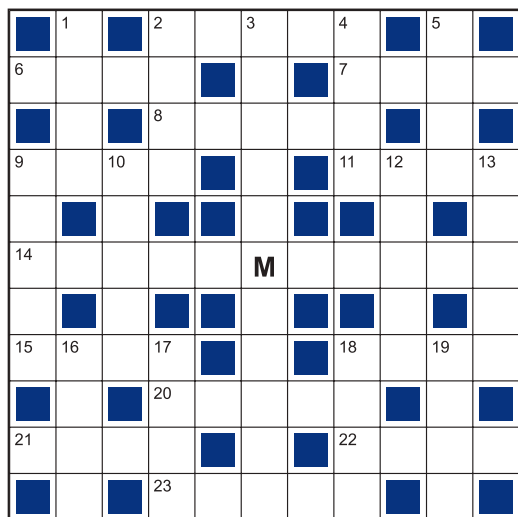
data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1234”. Do rozlosowania książki „Jaskółczym szlakiem” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 17 sierpnia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1231” z nr. 30: *Zło nie zna miłości.*
Nagrody otrzymują: Danuta Góra z Warszawy, Ewelina Okoń z Wrocławia, Aleksandra Pyra ze Stalowej Woli.

Objaśnienia zostały podane pod wspólnym oznaczeniem. Zdecyduj, do którego diagramu wpisać odgadnięte słowo.



Poziomo:

- 2) jego mauzoleum na placu Czerwonym ■ dosłownie go nie tłumacz
- 6) udawał babcię Czerwonego Kapturka ■ skorupiaki z polskich wód
- 7) paliwo jądrowe ■ łapcie z niego wypłatane
- 8) łoskot, zgiełk ■ resztki zamczyska
- 9) ...spadkowa – to odziedziczą spadkobiercy ■ durowy lub molowy szereg dźwięków
- 11) założenie wymagające dowodu ■ sieć zastawna na flądry
- 14) samica bonobo ■ komputerowi spece
- 15) chalcedon o barwnych pasmach ■ pieśń Toski lub Aidy
- 18) zielona na pustyni ■ malowana... – ładna, ale pusta i głupia
- 20) Bartosiewicz lub Górnjak ■ kontury, niezbyt wyraźny kształt
- 21) kawowe do wróżenia ■ o wodzie płynącej otwartym korytem
- 22) stan USA z Cleveland ■ pod niego – w przeciwnym kierunku
- 23) roślina jak lina ■ nie dostał zbroi po Achillesie

Pionowo:

- 1) „stolarska” ryba ■ widzenie senne, zjawy
- 2) atrybut Terpsychory ■ rybnie jajeczka
- 3) pomysłodawczyni, inspiratorka ■ zbieranie starych monet
- 4) trend jak bieg rzeki ■ był w nim czarny baran
- 5) nazywany śląskim brydżem ■ muzyka Milesa Davisa
- 9) pod rządami wójta ■ ważne zadanie, posłannictwo
- 10) obowiązuje w niej omerta ■ zwierane lub krzyżowane, mieszane
- 12) grupa remontowa lub filmowa ■ ...i Jan Drostowie – projektanci szkła
- 13) płynie w Weronie ■ imię aktorki Kuleszy
- 16) aluminium ■ w sporcie na matę lub do kosza
- 17) wysępka dla pieszych na jezdni ■ minister może być bez niej
- 18) Wientian jego stolicą ■ czarna lub wietrzna
- 19) młody potomek króla zwierząt ■ przenikliwy chłód

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

1			5	9		2		4
	7				2			
4		6				5	3	
3	6	9						
			4			3		
		7						8
	9			8	5	1		2
	1		7	2			8	5
8	5		9					

ŚREDNIE

	9							7
			8			3		
2				9	5	1		
	4	6		3				5
3		2		4		7		
7	8	9		2		6		
			6					8
8					4			6
		4						

TRUDNE

				3			2	
9		6	2					
			7		5			4
	5	9				6		
7	2							1
		4						5
1	6		8					2
		3	5				9	
				7				

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – to myśl, której autorem jest Immanuel Kant.

ZAWIĄZANE HASSO PRZYSTĘPNAŁO CZŁOWIEKOWI TAKO JAK SAM
ZWIĄZANE HASSO PRZYSTĘPNAŁO CZŁOWIEKOWI TAKO JAK SAM
WŁASCIWIE, A NIE TYLKO ŚRODEK DO CELU.



PENETRACJE

Plus Minus

BOGUSŁAW CHRABOTA,
PUBLICYSTA

Dziś Polską rządzi Donald Tusk. W porównaniu z prezydentem elektem jest nie tyle matuzalemem, ile politycznym arcy mistrzem. Zapowiedzi Antoniego Dudka, że da się ograć Nawrockiemu, mnie zatem śmieszą. Odwrotnie, Nawrocki potrzebuje lat w dziedzinie rozumienia państwa, by podjąć na minimalnych warunkach grę z Tuskiem. (...) Nie chowajcie więc go do grobu, tuskożercy. To wciąż jedyny poważny lider obozu liberalnego. Wciąż dominuje i niespecjalnie wierzę, że w najbliższych latach przestanie. Jeśli będzie musiał wystawić nowego premiera, to wystawi. Ale nie zniknie. I bez wątpienia powróci, by znów postawić na swoim.

press

MARTY BARON,
BYŁY REDAKTOR NACZELNY
„THE WASHINGTON POST” I „THE BOSTON GLOBE”

Co było największym wyzwaniem podczas ośmioletniego kierowania „The Washington Post”?

– Na pewno podjęcie decyzji, czy ujawniać, że amerykańskie służby inwigilują internet na masową skalę. Po tym, co się wydarzyło 11 września 2001 r., bałem się ujawnić tego rodzaju informacje i potencjalnie narazić Amerykę na niebezpieczeństwo. Ale z drugiej strony miałem świadomość, że jeżeli zrezygnujemy z publikacji, to służby dalej będą naruszały prawo do prywatności amerykańskich obywateli. (...) Drugim największym wyzwaniem było dla mnie kierowanie redakcją w czasie rządów Trumpa i jego ciągłych ataków na prasę. Chciał w ten sposób podważyć zaufanie Amerykanów do mediów, co zresztą po części mu się udało. W tych trudnych warunkach, gdy Trump atakował nie tylko „The Washington Post”, ale także działalność biznesową naszego właściciela – Jeffa Bezosa, musieliśmy dalej patrzeć nowej administracji na ręce.

VIVA!

JULIA PIETRUCHA,
AKTORKA I PIOSENKARKA

Kobiety są wyjątkowe, noszą w sobie siłę i delikatność, opiekuńczość i zaradność. W moim rodzie jest kilka bardzo silnych kobiet, a na mojej drodze, od lat, pojawiają się cudowne, inspirujące babki. W różnych momentach mojego życia pomagały mi, wspierały, pokazały swoim przykładem, w jakim kierunku chciałabym podążać. I one wszystkie krążą wokół mnie, i czuję ich obecność i moc. Te relacje oczywiście się zmieniają. Czasami są bliższe, czasami dalsze. Mam poczucie, że od kilku lat na całym świecie otwieramy oczy i budzimy się jako kobiety, częściej wspieramy i dopingujemy, niż porównujemy czy rywalizujemy ze sobą. Mówimy o siostrzeństwie i o sile tych kobiecych relacji. Dobrze, że świat idzie w tym kierunku.

na szczyście

DARIUSZ CEGŁOWSKI,
GOSPODARZ BACÓWKI PTTK NA HALI RYCERZOWEJ

13 września planujecie 50. urodziny bacówki.

– Bardzo kocham to miejsce i postanowiłem uczcić okrągłą rocznicę z przytupem. Chcemy to zrobić w formie pikniku. Planujemy zabawy, gry, loterie, pokaz slajdów z historii bacówki. Imprezę zakończymy wieczornym koncertem „Gitarą i Grulem”, a gwiazdą będzie Piotr Bukartyk. Tradycyjnie nie zabraknie ogniska i pieczonych ziemniaków. Organizujemy na ten cel zrzutkę i szukamy sponsorów. Mamy różne pomysły, ale wiadomo – proza życia, wszystko rozbija się o koszty.

ROZWIĄZANIA

█	M	█	L	E	N	I	N	J	█	█	P	█	I	D	I	O	M	█	S	█			
R	A	K	I	█	U	█	R	A	N	█	W	I	L	K	█	N	█	Ł	Y	K	O		
█	R	█	R	U	█	M	O	█	R	Z	█	L	█	R	U	I	█	N	█	Y	A		
█	G	A	M	█	I	█	T	E	Z	A	█	M	A	S	A	█	C	█	N	E	T	A	
M	█	A	█	█	Z	█	█	R	C	D	█	I	█	Z	█	J	█	█	K	█	G		
I	N	F	O	R	M	A	T	Y	C	Y	█	S	Z	Y	M	P	A	N	S	I	C	A	
N	█	I	█	█	A	█	K	█	G	█	J	█	K	█	█	T	█	█	P	█	T		
A	G	A	T	█	█	T	█	L	A	L	A	█	A	R	I	A	█	O	█	O	A	Z	A
█	L	█	E	D	Y	T	█	A	█	W	█	█	Z	█	Z	A	R	Y	S	█	I	█	
C	I	E	K	█	K	█	O	H	I	O	█	F	U	S	Y	█	K	█	P	R	A	D	
█	N	█	A	J	A	K	S	█	E	█	█	T	█	L	I	A	N	A	█	█	B	█	

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
1	3	8	5	9	6	2	7	4			
9	7	5	3	4	2	8	1	6			
4	2	6	1	7	8	5	3	9			
3	6	9	8	5	7	4	2	1			
2	8	1	4	6	9	3	5	7			
5	4	7	2	3	1	6	9	8			
7	9	3	6	8	5	1	4	2			
6	1	4	7	2	3	9	8	5			
8	5	2	9	1	4	7	6	3			

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
6	9	3	4	1	2	8	5	7			
4	1	5	8	6	7	3	2	9			
2	7	8	3	9	5	1	6	4			
1	4	6	7	3	8	2	9	5			
3	5	2	9	4	6	7	8	1			
7	8	9	5	2	1	6	4	3			
5	2	1	6	7	9	4	3	8			
8	3	7	2	5	4	9	1	6			
9	6	4	1	8	3	5	7	2			

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
5	4	1	6	3	8	7	2	9			
9	7	6	2	1	4	5	8	3			
8	3	2	7	9	5	1	6	4			
3	5	9	1	2	7	6	4	8			
7	2	8	4	5	6	9	3	1			
6	1	4	9	8	3	2	7	5			
1	6	7	8	4	9	3	5	2			
2	8	3	5	6	1	4	9	7			
4	9	5	3	7	2	8	1	6			

ZAWSZE MASZ TRAKTOWAĆ CZŁOWIEKA JAKO CEL SAM W SOBIE, A NIE TYLKO ŚRODEK DO CELU.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl
listy@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogółkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morzół i.morzol@tygodnikprzegląd.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,
Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,
Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Palkiewicz, Rafał Piłkuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszc, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,
Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,
Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Łuska, Rafał Pyszna
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzegląd.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Aby język giętki...

RYSZARD KOZIOŁEK O OBIETNICACH

Chciałbym doczekać polityka, który starałby się o moje dobro, a nie o głos. I miałby odwagę nic mi nie obiecać.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

O KAROLU NAWROCKIM

Okazało się, że takie podejście – po trupach do celu – to dobry przepis na karierę.

JACEK DĘBIEC O NOWEJ KONTRKULTURZE

Taka, która skutecznie rzuci wyzwanie obecnym warunkom życia – agresywnemu kapitalizmowi, dezinformującemu marketingowi i bezdusznemu wyzyskowi drugiego człowieka.

AGATA PASSENT

O STUDIACH NA HARVARDZIE

W pokoju ze mną mieszkała koleżanka z Irlandii i Chinka.

RADOSŁAW PIWOWARSKI O KOBIETACH

Są nieprzewidywalne, nieodgadnione, zaskakujące. Do tego zmienne.

MANUELA GRETKOWSKA

O KOLORZE NIEBIESKIM

Niebieski pomaga mi, leczy, potrzebuję go na co dzień – mam koce, obrazy, poduszki w odcieniach indygo, szafiru, błękitu.

AGATA KULESZA

O KLUCZACH DO AKTORSTWA

Obserwacja, wrażliwość, umiejętność słuchania, dialogowanie przez skojarzenia.

MARIUSZ SZCZYGIEŁ O SZCZĘŚCIU

Szczęście można przywabić. Czym? Uspokojeniem. Ludzie lubią pogodnych.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPPLP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



STRÓŻKA. KOLOR – PAMIĘĆ – EMOCJE

Dialog I



Stróżka C



Stróżka VII



Głównym motywem malarstwa Magdaleny Nałęcz jest martwa natura – temat pozornie klasyczny, ale w tym ujęciu głęboko osobisty i symboliczny. Dwuczęściowa wystawa to szeroka prezentacja niemal 30 lat twórczości artystki, obejmuje zarówno prace powstałe między rokiem 1996 a 2024, jak i premierowy cykl obrazów „Stróżka”. Pozwala prześledzić ewolucję języka malarskiego – od studenckich prac po dojrzałe kompozycje pełne światła, barwy i znaczeń. „Stróżka” to synteza doświadczeń – złożona z symboli i metafor, poruszająca kwestie pamięci, przemijania i duchowej obecności.

Stróżka III



Biała Galeria CENTRUM
Kraków, al. Jana Pawła II 232

od 12 sierpnia do 1 września
wernisaż 12 sierpnia o godz. 18



poluzjanci

BADACH • GÓRNY • JABŁOŃSKI • LUTY • ŻACZEK • BELCYR

trasa koncertowa

16.10	ŁÓDŹ WYTWÓRNIĄ	24.10	KRAKÓW KWADRAT
17.10	WARSZAWA STODOŁA	25.10	KATOWICE P23
18.10	POZNAŃ TAMA	26.10	WROCŁAW A2
19.10	GDĄŃSK STARY MANEŻ		

JOHN PORTER

HELICOPTERS '45

11.11.2025
STARY MANEŻ
GDĄŃSK

26.11.2025
STODOŁA
WARSZAWA

KULT

24.10
Warszawa

15.11
Katowice

BILETY DOSTĘPNE NA: [TICKETCLUB.PL](https://ticketclub.pl) | [STODOŁA.PL](https://stodola.pl)

eprasa.pl c5bd3a959f



“WSPANIAŁE KINO GANGSTERSKIE”

HOLLYWOOD REPORTER

“REWELACYJNA GHJUVANNA BENEDETTI”

VARIETY

“MOCNY I URZEKAJĄCY”

INDIEWIRE

“PRAWDZIWY FILM, Z NIESAMOWITĄ SIŁĄ PRZEKAZU WARTOŚCI”

THE TIMES

NASZE KRÓLESTWO



W KINACH OD 22 SIERPNIA

